

# ENOOLA HOLMES

NANCY SPRINGER



## SPRAWA ZAGINIONEGO MARKIZA

MILLIE  
BOBBY  
BROWN  
JAKO ENOLA  
JUŻ WKRÓTCE  
W KINACH

*„Pełna mocy, zdolna i inteligentna... Z ważnym przesłaniem:  
możesz zrobić, co tylko zechcesz, wystarczy, że się na to zdecydujesz”.*

- MILLIE BOBBY BROWN - JEDENASTKA ZE STRANGER THINGS

TOM - 1 -



 Poradnia K

**NANCY SPRINGER**

**ENOLA  
HOLMES**

**SPRAWA  
ZAGINIONEGO  
MARKIZA**

**PRZETŁUMACZYŁA ELŻBIETA GAŁĄZKA-SALAMON**



Poradnia K

**Dla mojej matki**

**N.S.**

## LONDYŃSKI EAST END PO ZMIERZCHU, SIERPIEŃ 1888 ROKU

Jedyne światło, które oświetla ulicę, sączy się z paru nierozbitych jeszcze latarni gazowych i z wiszących nad kocimi łbami kociołków z żarem, przy których krzątają się staruszkowie sprzedający gotowane ślimaki morskie przed pubami. Nieznana nikomu kobieta, odziana od stóp do głów w czerń, przemyka się z cienia w cień, jakby sama też była cieniem, niewidzialna dla innych. Skąd się mogła wziąć? To nie do pomyślenia, żeby przedstawicielka płci żeńskiej wychodziła po zmierzchu na ulice bez eskorty męża, ojca czy brata. Jednak robi wszystko, co w jej mocy, by odszukać tego, który zaginął.

Szeroko otwarte oczy wypatrują, lustrują, obserwują zza czarnej woalki wszystko, co da się dostrzec po drodze. Ich właścicielka zauważa stłuczone szkło na splekanym chodniku. Widzi szczury, które przemykają bez żenady po ulicy, wlokąc za sobą swoje obrzydliwe bezwłose ogony. Dostrzega obdarte dzieci, biegające boso między szczurami i odłamkami szkła. Widzi pary, mężczyzn w czerwonych flanelowych kamizelkach i kobiety w tanich słomkowych czepcach, idące pod rękę zygżakiem. Dostrzega osobnika leżącego pod ścianą, kogoś, kto się upił i zasnął wśród ulicznych szczurów. A może nawet umarł.

Rozglądając się, kobieta nasłuchuje. Gdzieś odzywa się katarynka, śląc skoczne dźwięki w gęste od sadzy powietrze. Poszukiwaczka w czarnym welonie słyszy tę fałszywą muzykę. Słyszy głos dziewczynki wołającej: „Tatusiu! Tatku!” – przed wejściem do pubu.

Słyszy wrzaski, śmiech, pijackie pohukiwania, głos ulicznego sprzedawcy: „Świeżutkie ostrygi! Podlewajcie octem i łykajcie w całości! Okazałe, cztery sztuki za pensa!”.

Czuje zapach octu. Czuje woń dżinu, gotowanej kapusty i smażonej kielbasy, słonawy podmuch z pobliskiego portu i smród Tamizy. Czuje zapach gnijących ryb. Czuje odór płynących ścieków.

Przyspiesza kroku. Nie może przystanąć, bo nie dość, że kogoś szuka, to i sama jest poszukiwana. Zawołowaną łowczynię w czerni tropią inni łowcy. Musi się poruszać na tyle szybko, by ścigający nie mogli jej dopaść.

W blasku kolejnej latarni dostrzega kobietę o wymalowanych wargach i z rozmazanym tuszem pod oczami, stojącą w sieni kamienicy. Po chwili obok niej zatrzymuje się przejeżdżająca ulicą dorożka. Wysiada z niej mężczyzna we fraku i lśniącym cylindrze. Chociaż kobieta w sieni ma na sobie wydekoltowaną suknię wieczorową, która mogła kiedyś należeć do damy ze środowiska dżentelmena, obserwatorka w czerni nie podejrzewa, by pasażer dorożki przyjechał zabrać ją na bal. Widzi wymizerowaną twarz i jej podszyte strachem spojrzenie, mimo że czerwone usta wyginają się w uśmiechu. Jedną z parających się jej fachem znaleziono niedawno martwą, z rozprutym brzuchem, o kilka przecznic dalej. Poszukiwaczka w czerni unika spojrzenia ulicznicy i idzie dalej.

Mruga na nią nieogolony mężczyzna, oparty o ścianę budynku.

– Sze pani, co paniusia tu robi całkiem sama? Nie potrzeba paniusi towarzystwa?

Gdyby był dżentelmenem, nie odezwałby się do niej, nie zostawszy jej wcześniej przedstawionym. Postać w czerni ignoruje go i przemyka obok. Nie wolno jej się do nikogo odezwać. Jest w obcym dla siebie środowisku. Jednak świadomość tego faktu nie robi na niej wrażenia, ponieważ zawsze i wszędzie czuła się wyobcowana. I w pewnym sensie zawsze była sama. Mimo to czuje ukłucie w sercu, spoglądając trwożnie na cienie, ponieważ nie ma już domu i jest kimś obcym w największym mieście świata, i nie wie, gdzie tej nocy przyjdzie jej złożyć głowę do snu.

A gdyby – jeśli Bóg pozwoli – udało jej się przetrwać do rana, może mieć tylko nadzieję, że odnajdzie bliską jej osobę, której teraz wypatruje.

Wchodzi coraz głębiej w mrok i portowe rudery Wschodniego Londynu. Sama.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bardzo chciałam wiedzieć, dlaczego mama wybrała mi imię „Enola”, które czytane wspak daje angielskie słowo „alone”, czyli „sama”. Mama uwielbiała, i prawdopodobnie nadal uwielbia, anagramy i szyfry, więc musiała jej przyświecać jakaś myśl. Może było to przeczucie, może jakieś leworęczne błogosławieństwo albo plany, chociaż mój ojciec jeszcze wówczas żył.

Tak czy inaczej: „Doskonale sobie poradzisz sama, Enolu” – powtarzała mi niemal każdego dnia, kiedy byłam już podlotkiem. Tymi słowami zresztą żegnała się zazwyczaj ze mną w roztargnieniu, kiedy wychodziła ze szkicownikiem, pędzelkami i akwarelami na włóczęgę po wiejskich bezdrożach. I rzeczywiście, zostałam całkiem sama, kiedy pewnego lipcowego wieczoru, w dniu moich urodzin, nie wróciła do Ferndell Hall, gdzie mieszkaliśmy.

Ponieważ zdążyłam już nieco poświętować w towarzystwie Lane’a, kamerdynera, i jego żony, kucharki, początkowo nieszczególnie przejęłam się nieobecnością swojej rodzicielki. Chociaż łączyły nas serdeczne więzi, rzadko kiedy jedna wtrącała się w życie drugiej. Doszłam do wniosku, że zatrzymały ją gdzieś jakieś pilne sprawy, tym bardziej że przykazała przedtem pani Lane, by ta wręczyła mi podczas podwieczorku kilka prezentów.

Dostałam od mamy, co następuje:

Zestaw do rysowania: papier, ołówki, scyzoryk do ich ostrzenia oraz gumki do wycierania, ułożone w sprytnie pomyślanej, płaskiej drewnianej skrzynce, która po otwarciu zamieniała się w sztalugę.

Opasły tom, zatytułowany *Mowa kwiatów*, z dołączonymi uwagami o sekretnym języku wachlarzy, chusteczek, woskowych pieczęci i znaczków pocztowych.

O wiele cieńszy zeszyt z zaszyfrowanymi tekstami.

Chociaż moje umiejętności plastyczne były raczej przeciętne, mama zachęcała mnie, bym wykorzystywała nawet tak skromny talent. Znała moje zamiłowanie zarówno do szkicowania, jak i do czytania prawie każdej dostępnej książki na dowolny temat – ale akurat szyfrowane zagadki nieszczególnie mnie pociągały. Mimo to sama sporządziła dla mnie zawierającą je książeczkę, pozszywała jej karty i ozdobiła delikatnymi akwarelowymi kwiatuśkami.

Było oczywiście, że poświęciła sporo czasu na przygotowanie tego podarku. Więc jednak bywają chwile, że o mnie myśli, powtarzałam sobie raz po raz tego wieczoru. Chociaż nie miałam pojęcia, gdzie mogła się podziwiać, przypuszczałam, że albo niebawem wróci, albo prześle nam w nocy jakąś wiadomość. Spałam zatem dość spokojnie.

A jednak nazajutrz Lane potrząsnął smutno głową. Nie, pani domu nie wróciła. Nie, nie ma od niej żadnych wiadomości.

Za oknem było szaro i deszczowo, jakby pogoda chciała się dostroić do mojego coraz bardziej nieswojego nastroju.

Po śniadaniu podreptałam z powrotem na górę do swojej sypialni, całkiem przyjemnego azylu, do którego wstawiono szafę, stolik do mycia, bieliźniarkę i inne meble, pomalowane na biało i ozdobione w narożnikach naniesionymi z szablonu błękitnymi i różowymi bukietkami. „Wsiowe meble”, jak mawiano, nadające się jedynie do pokoju dzieciennego, jednakże bardzo je lubiałam. Zazwyczaj.

Ale nie dziś.



Nie mogłabym usiedzieć w domu; doprawdy usiadłam tylko po to, żeby wciągnąć na buty kalosze. Miałam na sobie koszulę i pumpy, wygodne ubranie odziedziczone po moich starszych braciach. Narzuciłam na to wszystko płaszcz przeciwdeszczowy. Cała ogumowana, pognałam z tupotem na dół i chwyciłam parasol ze stojaka w holu, a następnie wyszłam przez kuchnię na zewnątrz, mówiąc pani Lane:

– Idę się rozejrzeć. – Dziwne, niemal zawsze tak właśnie mówiłam, wychodząc z domu, oświadczałam, że wybieram się na poszukiwania, chociaż zasadniczo nie wiedziałam czego. Czegokolwiek. Wspinałam się na drzewa, żeby sprawdzić, co tam w górze zastanę: a to paskowane na bordowo i żółto skorupy ślimaków, a to kiść orzechów laskowych, a to ptasie gniazdo. A kiedy traślałam na domostwo sroki, często znajdowałam w nim rozmaite przedmioty: guziczki od butów, lśniące wstążeczki, czyjś utracony kolczyk. Udawałam, że zginęło coś ogromnej wartości i wybieram się na poszukiwania. Tyle że tym razem nie udawałam.

Pani Lane także wyczuła, że sytuacja jest zupełnie inna. Zazwyczaj pytała: „A gdzie to kapeluszek panienki, panno Enolu?”, ponieważ zawsze wychodziłam z gołą głową. Tym razem odprowadziła mnie tylko wzrokiem do drzwi bez żadnego komentarza.

Idę się rozejrzeć za moją matką.

Naprawdę uważałam, że sama potrafię ją odszukać.

Upewniwszy się, że już mnie nie widać z kuchni, zaczęłam biegać w tę i z powrotem, niczym pies myśliwski, wypatrując śladów, które mogła zostawić mama. Poprzedniego dnia rano, z okazji urodzin, pozwolono mi się wylegiwać do późna w łóżku, więc nie widziałam, jak mama wychodzi. Ale zakładając, że jak zwykle poświęciła kilka godzin na malowanie szkiców kwiatów i roślin, szukałam jej najpierw na terenie posiadłości Ferndell.

Zarządzająca majątkiem mama dawała roślinom pełną swobodę. Błąkałam się wśród dziczyalnych ogrodów kwiatowych, krążyłam po trawnikach, na których rozpanoszyły się janowce i jeżyny, i po zagajnikach pełnych obrośniętych winem i bluszczem drzew. A szare niebo bez wytchnienia roniło nade mną deszczowe łzy.

Przez jakiś czas dreptał u mego boku Reginald, sędziwy owczarek szkocki, w końcu jednak się zmęczył i poszedł poszukać sobie schronienia. Rozsądne stworzenie. Przemoczywszy spodnie po kolana, powinnam zrobić to samo, ale nie potrafiłam. Mój niepokój wzrastał z każdym krokiem. Do tej pory strach wiódł mnie jak na smyczy. Strach, że mama leży gdzieś ranna, chora albo – tej obawy nie umiałam od siebie odegnąć, bo mama już od dawna nie była pierwszej młodości – powalił ją nagły zawał serca. Że – ale nie mogłam tego nazwać wprost, były inne słowa... Odeszła. Zgasła. Połączyła się z moim tatą.

Nie. Błagam.

Ktoś mógłby pomyśleć, że skoro nie byłam z mamą „blisko”, to jej zniknięcie nie powinno na mnie zrobić większego wrażenia. Było jednak inaczej. Czułam się okropnie, ponieważ miałam wrażenie, że jeśli stało jej się coś złego, to z mojej winy. Zawsze czułam się winna – wszystkiego, nawet tego, że oddycham – bo pojawiłam się w życiu matki nieprzyzwoicie późno. Skandal, niepotrzebny ciężar. I zawsze obiecywałam sobie, że kiedy dorosnę, uda mi się jakoś to wszystko naprawić. Że przyjdzie dzień, w którym fakt mego istnienia stanie się jasnym promykiem, wyzwającym nas z mroków hańby.

I że wówczas mama mnie wreszcie pokocha.

Więc musi żyć.

A ja muszę ją odnaleźć.

W swoich poszukiwaniach zapędziłam się aż do lasu, w którym całe pokolenia jaśnie panów polowały na zające i kuropatwy; zapuściłam się do opadającej skalnymi półkami, porośniętej paprociami kotliny, od której wzięła nazwę nasza posiadłość i w której uwielbiałam przesiadywać, jednak dziś nie traciłam tam czasu. Przeszłam dalej, aż do granicy Ferndell Park, gdzie kończył się las i zaczynały pola uprawne.

Postanowiłam zapuścić się jeszcze dalej, podejrzewałam bowiem, że mama mogła się udać na

przechadzkę po porośniętych kwiatami polach. Ze względu na bliskość miasta, mieszkańcy Ferndell porzucili uprawę warzyw i zaczęli sadzić dzwonki, bratki i lilie, których codzienna dostawa do Covent Garden okazała się znacznie intratniejszym zajęciem. Rosły tu rzędy róż, zagony nacyłków, płonące ognistymi barwami łąny cynii i maków – wszystko na potrzeby londyńczyków. Widok tych ukwieconych łąk pobudzał mnie zwykle do marzeń, wyobrażałam sobie wielkie miasto, uśmiechnięte pokojówki przystrajające dzień w dzień pomieszczenia wielkopańskich rezydencji świeżymi bukietami, damy błękitnej lub królewskiej krwi, zdobiące włosy i suknie zawilcami i wonnymi fiołkami, Londyn, w którym...

Jednak dziś porastające rozległe pola kwiaty powieszały główki pod ciężarem deszczu, a moje londyńskie marzenia rozpierzchły się po paru minutach i zniknęły jak unosząca się nad polami mgła. Nad rozległymi polami. Nad ciągnącymi się całymi milami uprawami.

Gdzie jest mama?

W marzeniach – mówię teraz o marzeniach o mamie, nie tych londyńskich – widziałam siebie jako bohaterkę, na którą wyratowana przez nią matka spogląda z wdzięcznością i uwielbieniem.

Ale to były tylko marzenia, a ja byłam głuptasem.

Jak dotąd przeszukałam zaledwie jedną czwartą posiadłości i niewielki fragment pól. Gdyby mama leżała gdzieś ranna, wyzionęłaby ducha, zanim sama bym do niej dotarła.

Zawróciłam i pospieszyłam z powrotem do dworu.

Lane i jego żona zaczęli krążyć wokół mnie jak para turkawek nad gniazdem: on odebrał ode mnie ociekającą wodą parasolkę i przemoczzone kalosze, ona zapędziła mnie do kuchni, żebym się ogrzała. I chociaż nie miała prawa mnie besztać, dała upust temu, co o tym wszystkim sądziła.

– Ktoś, kto łązi godzinami po deszczu, ma chyba nie po kolei w głowie – poinformowała wielki piec kuchenny, zdejmując jedną z fajerek. – I ten ktoś, czy jest dobrze, czy źle urodzony, może się z tego wszystkiego zaziębić na śmierć – usłyszał stawiany na piecu czajnik. – Suchoty nie uszanują ani urodzenia, ani okoliczności – oznajmiła puszcze z herbatą. Nie czułam się w obowiązku odpowiadać, ponieważ nie mówiła do mnie. I nie wolno by jej było robić mi tego rodzaju uwag. – Można sobie być wolnym i niezależnym, ale żeby zaraz latać po polach i dorobić się zapalenia migdałków, oskrzeli, płuc albo i czego gorszego? – O tym dowiedziały się filiżanki. A potem pani Lane odwróciła się do mnie i nagle zmieniła ton. – Za pozwoleniem panienki, czy panienka zje obiad? Może zechce się panienka przysunąć z krzesłem do pieca?

– Spiekłabym się wtedy jak bułeczka. Nie, dziękuję za obiad. Czy nie było żadnych wiadomości od mojej mamy? – Mimo że znałam już odpowiedź, ponieważ Lane lub pani Lane od razu by mnie poinformowali, gdyby cokolwiek dotarło do ich uszu, nie mogłam się oprzeć, by nie zadać tego pytania.

– Żadnych, proszę panienki. – Pani Lane zwinęła dłonie w fartuch, jakby przewijała niemowlę. Wstałam.

– Muszę więc napisać kilka listów.

– Ale w bibliotece nie jest napalone, panienko. Przyniosę papier i przybory do stołu, panienko.

Poczułam ulgę, że ominie mnie wątpliwa przyjemność siedzenia w wielkim skórzanym fotelu w ponurym pomieszczeniu. Pani Lane wróciła do ciepłej kuchni, niosąc pióro ze stalówką i papier listowy z nadrukowanym herbem naszego rodu oraz kilka arkuszy bibuły.

Zanurzając raz po raz stalówkę w kałamarzu, skreśliłam na kremowobiałych kartach kilka słów, adresowanych do miejscowego posterunku policji, informując o zaginięciu mojej matki i uprzejmie prosząc o zarządzenie poszukiwań.

A potem się zamyśliłam: czy to naprawdę konieczne?

Niestety tak. Nie można tego dłużej odwlekać.

Trochę więcej czasu poświęciłam na sformułowanie drugiej wiadomości, która miała niebawem dostać skrzydeł i pomknąć po drutach do położonego o wiele mil stąd dalekotypu, w którym zmaterializowałyby się w postaci depeszy:

LADY EUDORIA VERNET HOLMES ZAGINIONA OD WCZORAJ STOP PROSZĘ

O RADEŻ STOP ENOLA HOLMES

Adres: Mycroft Holmes, Pall Mall, Londyn.

Drugi telegram o identycznej treści skierowałam do Sherlocka Holmesa z Baker Street, także w Londynie.

Dwie depesze do moich braci.





## ROZDZIAŁ DRUGI

Po wypiciu wmuszonej we mnie przez panią Lane herbaty zmieniałam pumpy na suche, żeby dostarczyć korespondencję do wioski.

– Ale w taki deszcz niech lepiej zrobi to Dick – zaoferowała pani Lane, ponownie wycierając rękę w fartuch.

Miała na myśli swego dorosłego syna, który imał się u nas różnych dorywczych prac pod okiem nieco bardziej rozgarniętego niż on owczarka Reginalda. Nie chcąc mówić pani Lane, że wołałabym nie powierzać tak ważnej misji jej synowi, odparłam:

– Mam tam przy okazji do załatwienia inne sprawy, więc pojedę na rowerze.

Nie był to jakiś staroświecki trzęsignat na wysokich kołach, ale nowoczesny „karłowaty” rower z pompowanymi dętkami, całkowicie bezpieczny.

Popedałowałam niepomna mżawki, zatrzymując się na chwilę w stróżówce. Nasz dwór jest stosunkowo niewielki i bardziej przypomina zwyczajny kamienny dom z rozdętą klatką piersiową, że się tak wyrażę, jednak dworska posiadłość musi mieć podjazd i bramę, a co za tym idzie – także stróżówkę.

– Cooper – zwróciłam się do stróża – byłbyś łaskaw otworzyć mi bramę? A przy okazji, pamiętasz może, czy otwierałeś ją wczoraj dla mojej mamy?

Na to ostatnie pytanie, nie maskując zbyt swego zdziwienia, odpowiedział przecząco. Lady Eudoria Holmes nie opuszczała tędy posiadłości o żadnej porze ubiegłego dnia.

Wypuścił mnie, a ja pojechałam, pedałując zawzięcie, w krótką trasę dzielącą nas od wioski Kineford.

Udałam się na pocztę i nadałam telegramy. Potem zostawiłam swój liścik na posterunku policji i porozmawiałam z funkcjonariuszem, a następnie zajęłam się załatwianiem pozostałych spraw. Zatrzymałam się na plebanii, w sklepie warzywnym, w piekarni, w cukierni, u rzeźnika, w sklepie rybnym i tak dalej, rozpytując w możliwie najdyskretniejszy sposób o moją matkę. Nikt jej nie widział. Żona pastora – i nie ona jedna – uniosła na mój widok zdumione brwi. Sądzę, że stało się tak za sprawą moich spodni. Udując się na przejażdżkę w miejsce publiczne, powinnam mieć na sobie pantalonny i wodoodporną spódnicę – albo jakąkolwiek spódnicę na tyle długą, by nie gorszyć przechodniów gołymi kostkami. I wiedziałam, że to mama ponosi winę za brak dostatecznej troski o przysyłanie nieprzystojnych widoków, takich jak kubły na węgiel, tył jej pianina czy ja.

Budziłam zgorzenie i tyle.

Nigdy nie wnikałam w przyczyny mojej niesławy, ponieważ musiałabym wówczas dotknąć spraw, których „porządna” dziewczyna powinna być w stu procentach nieświadoma. Zaobserwowałam jednak, że większość mężatek zaszywa się co rok lub dwa w domowych pieleszach, by kilka miesięcy później zaprezentować się szerszemu gronu z nowym potomkiem. Cykl ten powtarza się mniej więcej tuzin razy, aż w końcu kobiety albo dają sobie z tym spokój, albo kończą swój żywot. Moja matka nie poszła w ich ślady, wydając na świat zaledwie dwóch synów, czyli moich o wiele starszych braci. W jakiś przedziwny sposób ta wcześniejsza powściągliwość sprawiła, że moje późne przyjście na świat stało się tym bardziej wstydlwym epizodem w życiu dżentelmena, racjonalisty i logika oraz jego artystycznie uzdolnionej żony z dobrego domu.

Unaszacze brwi pochylili się ku sobie i zaczęli szeptać, a ja ponownie popedałowałam przez

Kineford, by zasięgnąć języka w gospodzie, w kuźni, w trafice i w pubie, czyli miejscach, do których „porządne” panie rzadko zaglądały.

I nie dowiedziałam się niczego.

A mimo silenia się na najpiękniejszy uśmiech i udawaną obojętność, niemalże słyszałam crescendo rozemocjonowanych plotek, domysłów i pomówień, szalejących za moimi plecami, kiedy wracałam do Ferndell Hall w raczej nieszczęśliwym stanie ducha.

– Nikt jej nie widział – odpowiedziałam pani Lane na jej pytające spojrzenie. – I nikt się nie domyśla, gdzie może przebywać.

Odrzuciwszy jej kolejne zaproszenie do obiadowego stołu – chociaż była już prawie pora podwieczorku – powlokłam się na górę do pokoi mamy i stanęłam w korytarzu przy prowadzących do nich drzwiach. Zamyśliłam się. Mama zawsze zamykała drzwi na klucz. Prawdopodobnie żeby oszczędzić pani Lane fatygi. Ponieważ Lane i jego małżonka byli w naszym domu jedynymi służącymi, mama sprzątała u siebie na pokojach sama. Rzadko kiedy pozwalała tam komuś zajrzeć, ale zważywszy na okoliczności...

Postanowiłam wejść.

Ujęłam gałkę w przekonaniu, że za chwilę będę musiała poszukać Lane’a i poprosić go o klucz.

Ale gałka poddała się bez oporu i przekręciła.

Drzwi były otwarte.

I w tej samej chwili dotarło do mnie – choć przeczuwałam to już wcześniej – że wszystko się zmieniło.

Rozglądając się po spowitym w ciszę saloniku mojej matki, poczułam, że ogarnia mnie nabożna cześć, większa niż gdybym była w kaplicy. Czytałam podręczniki logiki z księgozbioru ojca, znałam dzieła Malthusa i Darwina; podzielałam racjonalistyczne i naukowe poglądy rodziców – a jednak znalazłszy się w pokoju mamy, poczułam pragnienie wiary. W cokolwiek. Choćby w duszę. Albo może w upiora.

Mama zrobiła z tego pomieszczenia świątynię artystycznego ducha. W oknach wisały rolety z japońskiego jedwabiu malowanego w kwiaty lotosu, podciągnięte, by lepiej oświetlić filigranowe meble z klonowego drewna rzeźbionego w pędy bambusa, jakże odmienne od ciemnych mahoniowych sprzętów w salonie na parterze. Na dole wszystkie meble były fornirowane, w oknach wisały ciężkie draperie, a z olejnych portretów na ścianach spoglądali ponuro przodkowie. W królestwie mamy mebelki lśniły bielą, a na pastelowych ścianach wisiła setka delikatnych akwarel jej autorstwa: eteryczne, dopracowane z czułością w każdym szczególe wizerunki kwiatów. Obrazki nie większe od kartki papieru listowego, oprawione w lekkie ramki.

Przez chwilę miałam wrażenie, że mama jest w pokoju i że w ogóle go tego dnia nie opuszczała.

Ach, gdybyż tak było!

Po cichutku, jakby w obawie, że jej przeszkodzę, przeszłam na palcach do sąsiedniego pokoju, czyli do jej pracowni: zwykłego pomieszczenia z oknami pozbawionymi zasłon – z troski o oświetlenie – i dębową podłogą nieprzykrytą dywanem – z troski o łatwość sprzątania. Przebiegłam spojrzeniem po sztalugach, stole, półkach z papierem i przyborami. Nagle spostrzegłam drewnianą skrzynkę i zmarszczyłam brwi.

Dokądkolwiek udała się mama, nie zabrała ze sobą swojego zestawu do malowania akwarelami.

A ja przecież zakładałam...

Ale ze mnie głuptas. Powinnam tu od razu zajrzeć. Jej wyjście nie miało żadnego związku ze studiowaniem kwiatów. Udała się dokądś... gdzieś, nie wiadomo jak i po co. Jak mogłam się łudzić myślą, że zdołam ją sama odszukać? Okazałam się głupia, głupia, głupia do kwadratu.

Moje kroki straciły lekkość. Przeszłam ciężko do kolejnych drzwi, wiodących do sypialni mamy.

I znieruchomiałam ze zdziwienia, wywołanego przez kilka przyczyn. Po pierwsze i najważniejsze, zaskoczył mnie stan lśniącego mosiężnego łóżka. Było nieposłane. Odkąd pamiętam,

każdego ranka mama pilnowała, żebym zaraz po śniadaniu pościeliła łóżko i zrobiła porządek w sypialni; z pewnością sama nigdy nie pozostawiłaby zmiętego prześcieradła, porozrzucanych poduszek i puchowej kołdry, osuwającej się na perski dywan.

Po drugie, pozostawiła w nieładzie także zdjęte wcześniej ubrania. Jej brązowy tweedowy komplet spacerowy wisiał zarzucony bez troski na tondo.

Ale skoro zrezygnowała ze swojego ulubionego stroju do przechadzek, ze spódnicą, którą można było upiąć wyżej, tak by ryzyko zamoczenia czy zabrudzenia objęło jedynie halki, i którą można było szybkim ruchem opuścić, gdyby na horyzoncie pojawił się przedstawiciel płci przeciwnej – jeśli nie wybrała się w plener, przywdziawszy swoją praktyczną, nowomodną kombinację, to w co, na Boga, była ubrana?!

Rozsunęłam welurowe zasłony, by wpuścić do wnętrza nieco światła, i otworzyłam na oścież drzwi garderoby, a potem stanęłam przed nią, starając się znaleźć jakiś sens w nagromadzonych tam ubraniach: wełna, wełna czesankowa, muślin, bawełna, a także adamaszek, jedwab, tiul i aksamit. Trzeba wiedzieć, że mama była wolnomyślicielką, kobietą z charakterem, orędowniczką emancypacji kobiet i radykalnej zmiany mody na rzecz lejących się, ascetycznych szat propagowanych przez Ruskina. Była też jednak zarazem – czy jej się to podobało, czy nie – wdową po szlachcicu, z czym wiązały się pewne obowiązki. Miała zatem w szafie stroje spacerowe i „reformowane”, sąsiadujące z tradycyjnymi sukniami wizytowymi, wydekoltowaną suknię na wieczorne bankiety, peleryną na wizyty w operze i rdzawopurpurową suknię balową, którą zakładała od lat na każdy bal, nie przejmując się wymogami mody. Mama niczego nie wyrzucała. Dostrzegłam w szafie czarną „wdowią krepę”, którą nosiła przez cały rok po śmierci mojego ojca. Był tam też brązowo-zielony strój do jazdy konnej, pamiątka dawnych dni i polowań na lisy. Dostrzegłam również zamiatacz trotuarów z szarą peleryną na wizyty w mieście. Patrzyłam na pelisy, pikowane satynowe kurteczki, wzorzyste spódnice, całe sterty bluzek... i za nic nie potrafiłam ustalić, których ubiorów brakuje w tej oszłamiającej karuzeli pudrowego różu, rdzawych czerwieni, szarych błękitów, odcieni lawendy, oliwek, czerni, bursztynu i brązu.

Zamknęłam drzwi garderoby i zupełnie zdezorientowana, rozejrzałam się po pokoju. Wszędzie panował nieład. Dwie połówki gorsetu leżały bezwstydnie, rzucone na marmurowy blat umywalki obok innych „niewymownych”. Na toaletce zaś przycupnął przedziwny przedmiot: ni to poduszka, ni to puf – skonstruowany z kilku obręczy i białego końskiego włosia. Uniosłam to dziwo, które okazało się dość elastyczne w dotyku, i nie mogąc się domyślić jego przeznaczenia, niosłam je w rękę, przechodząc do kolejnych pomieszczeń w apartamentach mamy.

Wróciwszy na dół, natknęłam się w holu na Lane’a, zajętego polerowaniem drewnianych sprzętów. Pokazałam mu swoje znalezisko i spytałam:

– Lane, co to takiego?

Jak na kamerdynera przystało, uczynił wszystko, by zachować obojętny wyraz twarzy, jednak zająknął się lekko, udzielając mi odpowiedzi:

– To jest, proszę pani, tak zwany wypychacz pod suknię.

Wypychacz?

Ale chyba nie chodzi o front sukni. Więc wynika z tego, że nosi się toto z tyłu.

Oj.

Trzymałam w dłoni, na widoku, w ogólnodostępnej części holu, w obecności osobnika płci męskiej, wstydlivy przedmiot skrywany pod ogonami sukien szlachetnie urodzonych dam dla podkreślenia kunsztownych fałd i drapowań.

– Najmocniej przepraszam! – zawołałam, czując, jak gorący rumieniec oblewa mi twarz pasem.

– Nie miałam pojęcia. – Sama nigdy czegoś takiego nie nosiłam, więc była to dla mnie zupełna nowość. – Stokrotnie cię przepraszam. – Ale nagle pojawiła się myśl, która odsunęła zażenowanie na drugi plan. – Lane – spytałam – jak była ubrana moja mama, kiedy wczoraj rano opuszczała dom?

– Jakoś trudno mi sobie przypomnieć, panienko.

– Czy miała w rękę bagaż lub pakunek?

– Nie, proszę panienki.

– Może woreczek z robótką albo torebkę?

– Nie, proszę panienki. – Mama rzadko nosiła tego typu fintifluszki. – Myślę, że zauważyłbym, gdyby coś takiego miała.

– A czy przypadkiem nie miała na sobie stroju wymagającego... – Słowo „wypychacz” wydało mi się niezbyt fortunate w rozmowie z mężczyzną. „Stroju z trenem”? „Z tiurniurą”?

Co byłoby zupełnie do niej niepodobne.

Ale w oczach Lane’a zamigotał przebłysk odzyskanej pamięci. Pokiwał głową.

– Dokładnie nie pamiętam, ale przypominam sobie, że miała na sobie kurteczkę z głębokim rozcięciem z tyłu.

Czyli płaszczyk, pod którym mieści się tiurniura.

– I ten szary kapelusz z wysokim denkiem.

Znam ten kapelusz. Miał udawać wojskowe nakrycie głowy i przypominał odwróconą doniczkę. Ludzie nieokrzesani mówili o czymś takim „trzy piętra z podpiwniczeniem”.

– I zabrała swoją spacerową parasolkę.

Długie czarne utensylium, służące do podpierania się podczas marszu, solidne niczym laseczka dżentelmena.

Dziwne, że mama wyszła z niemal męskim parasolem, w niemal męskim kapeluszu, ale z uwodzicielskim, kobiecym kuperkiem, czyli tiurniurą.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Tuż przed kolacją chłopak przyniósł odpowiedź od moich braci:

**PRZYJEŹDŹAMY PIERWSZYM PORANNYM POCIĄGIEM CHAUCERLEA STOP  
WYJEDŹ NA STACJĘ STOP M & S HOLMES**

Chaucerlea, najbliższe miasto z dworcem kolejowym, dzieliła od Kineford odległość dziesięciu mil.

Żeby zdążyć przed przyjazdem tak wczesnego pociągu, musiałabym wyruszyć z domu o świcie.

Szykując się do wyjazdu, wzięłam kąpiel. Było z tym trochę zawracania głowy: wyciągnięcie metalowej wanny spod łóżka, ustawienie jej przed kominkiem, targanie na górę wiader wody i dolewanie z czajnika wrzątku, by ją ogrzać. Pani Lane nie przyszła mi z pomocą, ponieważ – mimo że było lato – musiała rozpaść w mojej sypialni ogień, oświadczając kolejno podpałce, węglom i płomieniom, że żadna osoba przy zdrowych zmysłach nie bierze kąpieli w tak wilgotnym dniu. Chciałam także umyć głowę, ale wymagałoby to współpracy dwóch osób, a pani Lane doznała nagłego ataku reumatyzmu w rękach i oznajmiła ogrzewanym przez siebie ręcznikom:

– Od ostatniego mycia minęły zaledwie trzy tygodnie, a dzień jest nader chłodny.

Zawinęłam się w kołdrę zaraz po kąpieli, a pani Lane, wciąż burcząc coś pod nosem, wsunęła pod pościel w nogach łóżka butelki z gorącą wodą.

Nazajutrz wyszczotkowałam włosy równo sto razy, starając się przywrócić im połysk, a następnie związałam je białą, pasującą do sukienki wstążką. Dziewczęta z wyższych sfer muszą się nosić na biało, żeby było widać najdrobniejsze zabrudzenie. Wybrałam najnowszą i najmniej poplamioną sukienkę z bardzo ładnymi, obszytymi białą koronką pantalonami oraz tradycyjne czarne pończochy i czarne sznurowane trzewiki świeżo wypastowane przez Lane'a.

Ubieranie się o tak nieludzko wczesnej porze mocno się przeciągnęło, więc nie miałam czasu zjeść śniadania. Chwyciłam ze stojącego w holu wieszaka szal – rano był przejmująco chłodny – wskoczyłam na rower i zaczęłam pedałowac co sił w nogach, nie chcąc się spóźnić.

Już dawno temu odkryłam, że jazda na rowerze umożliwia człowiekowi myślenie bez obawy, że ktoś będzie się przypatrywał wyrazowi jego twarzy.

Z ulgą, chociaż nie przynosiła zbyt dużego ukojenia, oddałam się analizie wydarzeń ostatnich godzin, pędząc przez Kineford w stronę drogi do Chaucerlea.

Zachodziłam w głowę, co też się mogło stać z moją matką.

Starając się nie drażyć zbyt tego problemu, zmieniałam temat rozmyślań.

Czy uda mi się bez trudu odszukać dworzec i moich braci?

Zastanawiające, dlaczego mama wybrała im imiona Mycroft i Sherlock. Czytane wspaniale brzmiały „Tforcym” i „Kcolrehs”.

Ciekawe, czy z mamą wszystko dobrze.

Lepiej skup się na Mycrofcie i Sherlocku.

Ciekawe, czy rozpoznam ich na stacji. Ostatni raz widziałam ich, kiedy miałam cztery lata, na pogrzebie ojca, i pamiętałam jedynie, że w swoich przewiązanych czarną krepą cylindrach wydawali się bardzo wysocy, a czarne fraki, czarne rękawiczki, czarne opaski na rękawach oraz lśniące czarne buty z lakierowanej skóry przydawały im surowości.

Ciekawe, czy ojciec naprawdę oddał ducha ze wstydu, wywołanego faktem mojego istnienia,

jak ochoczo opowiadały mi wiejskie dzieci, czy też zmoęła go gorączka i zapalenie opłucnej, jak twierdziła mama.

Ciekawe, czy bracia rozpoznają mnie po dziesięcioletnim niewidzeniu.

Oczywiście znałam powód, dla którego nie odwiedzali matki i siostry, i dla którego same nie składałyśmy im wizyt: była nim hańba, jaką okryłam rodzinę, przychodząc na świat. Bracia nie mogli sobie pozwolić na zadawanie się z takimi osobami. Mycroft był przedsiębiorczym, wpływowym dżentelmenem, robiącym karierę na rządowym stanowisku w Londynie, natomiast mój drugi brat, Sherlock, był sławnym detektywem i bohaterem powieści *Studium w szkarlacie* autorstwa jego przyjaciela i współlokatora, doktora Johna Watsona. Mama kupiła nawet egzemplarz książki...

Nie myśl o mamie.

...i obie ją przeczytałyśmy. Od tamtej pory marzyłam o Londynie, wielkim morskim porcie, siedzibie monarchii, tyglu socjety, a jednocześnie, jak napisał doktor Watson: „wielkim dole kloacznym, do którego ciągną nieodparcie wszyscy wałkonie i próżniacy Imperium”. O Londynie, w którym panowie w białych fularach w towarzystwie obwieszonych brylantami pań udawali się na spektakle operowe, podczas gdy na ulicach pozbawieni serca dorożkarze zajeżdżali konie na śmierć, jak twierdziła autorka innej z moich ukochanych powieści, *Czarny Księżę*. O Londynie, w którym uczeni przesiadywali w czytelni Muzeum Brytyjskiego, a tłumy szturmowały teatry, by przeżyć hipnotyzujące chwile. O Londynie, w którym sławni ludzie urządzali seanse spirytystyczne w celu nawiązania kontaktu z duchami zmarłych, a jeszcze inni sławni ludzie usiłowali wyjaśnić w naukowy sposób, jak to się stało, że pewien spirytysta uniósł się w powietrze i przefrunął z okna do czekającego nań powozu.

Do Londynu, w którym mali, niemający grosza przy duszy chłopcy odziani w łachmany biegali samopas po ulicach i nie wiedzieli, co to szkoła. Gdzie złoczyńcy zabijali „królowe nocy” – nie miałam jasnego pojęcia, kim były – i odbierali im dzieci, żeby je potem sprzedać do niewolniczej pracy. O Londynie, w którym mieszkała i rodzina królewska, i doborowa kadra rzezimieszków. O Londynie, w którym można było spotkać mistrzów muzyki, mistrzów sztuki i mistrzów zbrodni, uprowadzających dzieci i zmuszających je do ciężkiej pracy w jaskiniach występku. Niezbyt dobrze orientowałam się, o jakie miejsca konkretnie chodzi. Ale wiedziałam, że mój brat Sherlock, zatrudniany czasami przez rodzinę królewską, zapuszczał się do owych jaskiń występku, by zaprząć tam umysł do walki z łotrzykami, złodziejami i księżętami zbrodni. Mój brat Sherlock był bohaterem.

Przypomniała mi się lista jego osiągnięć, opisanych przez doktora Watsona: uczony, chemik, świetny skrzypek, strzelec wyborowy, szermierz, mistrz walki na palcaty, pięściarz i arcy mistrz rozumowania dedukcyjnego.

Zaraz potem ułożyłam sobie w głowie listę moich własnych osiągnięć: umiejętność czytania i pisania, dodawania liczb, znajdowania ptasich gniazd, wykopywania robali, wędkowania oraz, rzecz jasna, umiejętność jazdy na rowerze.

Porównanie wypadło tak przygnębiająco, że poniechałam dalszych rozmyślań, skupiając całą swoją uwagę na drodze, ponieważ dojechałam już do granic Chaucerlea.

Widok ruchliwych brukowanych ulic trochę mnie przytłoczył. Musiałam lawirować między pieszymi i pojazdami, których nie sposób spotkać na polnych drogach Kineford. Wymijałam mężczyzn, sprzedających z wózków owoce, kobiety z koszami oferujące słodczyce, nianki pchające przed sobą wózki, nazbyt licznych pieszych usiłujących nie wpaść pod nazbyt liczne wozy, dyliżanse i bryczki, beczkowsy z piwem i wozy wyładowane węglem, wozy pełne drewna, powozy, a nawet omnibus zaprzężony w czwórkę koni. Jak w tym rozgardiaszu odnajdę drogę na dworzec?

Chwileczkę. Coś zobaczyłam. Unosząc się ponad dachami kamienic, jak strusie pióro na damskim kapeluszu, białą smugę na szarym niebie. Dym z komina parowozu.

Zaczęłam pedałowac zawzięcie w jego stronę i usłyszałam niebawem ryk, pisk i hurgot wtaczającej się na stację lokomotywy. Pociąg wjechał na peron jednocześnie ze mną.

Wagony opuściła za ledwie garstka pasażerów, więc bez trudu wypatrzyłam wśród nich dwóch postawnych londyńczyków, którzy z całą pewnością byli moimi braćmi. Mieli na sobie stroje, w jakie



zazwyczaj ubierają się dżentelmeni, udający się na wieś: ciemne tweedowe garnitury obszyte lamówką, miękkie fulary, meloniki na głowie. I rękawiczki z kozłowej skóry. Tylko szlachetnie urodzeni nosili w pełni lata rękawiczki. Jeden z moich braci nieco przytył, spod marynarki wystawała spora połać jedwabnej kamizelki. Domyśliłam się, że to starszy o siedem lat od brata Mycroft. Sherlock, wyprostowany jak struna i chudy jak chart, przystanął obok niego w antracytowym garniturze i czarnych butach z cholewami.

Wymachując laseczkami, rozglądali się to w jedną, to w drugą stronę, najwyraźniej czegoś wypatrując. Jednak nie zwrócili na mnie uwagi.

Tymczasem wszyscy znajdujący się na peronie ludzie rzucali im ukradkowe spojrzenia.

Ku swojej irytacji, zeskakując z roweru, zauważyłam, że drzę. Koronkowe obszycie nogawki moich pantalonów – niech diabli wezmą te delikatne ozdóbki – wplątało się w łańcuch, oderwało od materiału i dyndało nad moim lewym trzewikiem.

Przy próbie upchania go pod spódnicą upuściłam na ziemię szal.

Tak nie można. Wzięłam głęboki wdech, przewiesiłam szal przez ramę, oparłam rower o ścianę budynku dworca, wyprostowałam się i ruszyłam w stronę londyńczyków z niezbyt przekonująco uniesioną głową.

– Pan Holmes? – spytałam. – I pan Holmes?

Dwie pary bystrych szarych oczu przewierciły mnie spojrzeniem. Dwie pary arystokratycznych brwi uniosły się w górę.

Powiedziałam:

– Prosimi mnie panowie, żebym tu po nich wyszła.

– Enola? – zakrzyknęli jednocześnie. A potem zmienili nagle ton: – Co ty tu robisz? Dlaczego nie przysłałaś po nas powozu?

– Że też jej nie poznaliśmy, przecież wygląda zupełnie jak ty, Sherlocku.

Wyższy i szczuplejszy z braci był zatem Sherlockiem. Podobała mi się jego koścista twarz, sokole oczy i nos przypominający zakrzywiony dziób, ale jednocześnie czułam, że domniemane podobieństwo nie jest dla mnie zbyt pochlebne.

– Wziąłem ją za dziecko ulicy.

– Na rowerze?

– Dlaczego na rowerze? Gdzie jest powóz, Enolo?

Zamrugłam oczyma. Powóz? W wozowni stały wprawdzie i porastały kurzem lando i faeton, ale stajnie stały puste od wielu lat, odkąd należący do mamy stary koń do polowań przeniósł się na zieleńsze pastwiska.

– Pewnie mogłabym wynająć konie – powiedziałam powoli. – Ale nie potrafiłabym ich zaprzęcać ani nimi powozić.

Przysadzisty brat, Mycroft, wykrzyknął:

– No to za co płacimy chłopcu stajennemu i koniuszemu?

– Słucham?

– Mówisz mi, że nie ma koni?

– Później, Mycrofcie. Ty! – Sherlock przywołał władcym tonem wałęsającego się chłopaka. – Leć wynająć nam powóz jednokonny. – Rzucił podrostkowi monetę, a ten uchylił czapki i pobiegł w podskokach.

– Lepiej zaczekajmy wewnątrz – powiedział Mycroft. – Na tym wietrze fryzura Enoli zaczyna się coraz bardziej upodabniać do gniazda kawek. Gdzie masz kapelusz, Enolu?

Było już nieco za późno, żeby im powiedzieć: „Jakże mi miło”, albo żeby oni mi powiedzieli: „Miło cię znów zobaczyć, moja droga”, albo na wymianę przyjaznych uścisków dłoni czy coś w tym rodzaju, mimo że byłam przyczyną wstydu dla rodziny. Ale zaczęło do mnie docierać, że WYJEDŹ PO NAS NA DWORZEC oznaczało prośbę o zapewnienie im środka transportu, a nie o moje osobiste stawienie się na peronie.

Cóż, skoro nie życzyli sobie zaznać przyjemności rozmowy ze mną, dobrze się składało, bo

stałam tam oniemiała i otumaniona.

– Albo rękawiczki – sarknęła Sherlock, ujmując mnie pod ramię i popychając w stronę dworca.

– I w ogóle dlaczego nie jesteś ubrana przyzwoicie, jak na młodą damę przystało?

To stwierdzenie przywróciło mi utracony głos.

– Dopiero co skończyłam czternaście lat.

Mycroft zamruczał głosem pełnym żalości:

– Ale przecież opłacam wam krawcową.

Sherlock zwrócił się do mnie i oświadczył swoim władczym tonem:

– Panienci noszą długie spódnice od dwunastego roku życia. Co też sobie twoja matka wyobraża? Tak, domyślałam się, że sufrażystki przekabaciły ją do reszty.

– Nie wiem, dokąd się udała – powiedziałam i ku własnemu zaskoczeniu, bo do tej pory powstrzymywałam się od łez, wybuchnęłam płaczem.

Dalsze wzmianki o mamie zostały odłożone na czas, gdy wszyscy znaleźliśmy się w wynajętym powozie i, po przytroczeniu z tyłu mojego roweru, ruszyliśmy w stronę Kineford.

– Ale z nas para bezdusznych brutalni – rzucił po pewnym czasie Sherlock w stronę Mycrofta, podając mi dużą, sztywno nakrochmaloną chusteczkę, która była słabą pociechą dla nosa. Jestem pewna, iż uznali, że oplakuję mamę – bo tak właśnie było. Ale szczerze mówiąc, płakałam także nad sobą.

Enola.

Samotna.

Zasiadłszy ramię w ramię naprzeciwko mnie, moi bracia omijali mnie starannie wzrokiem. Byli najwyraźniej zakłopotani moją obecnością.

Udało mi się opanować siąkanie w ciągu paru minut po wyjeździe ze stacji, jednak nie miałam pomysłu na to, jak zagaić rozmowę. Wynajęty powozik, będący w sumie osadzoną na kołach skrzynką z maleńkimi oknami, nie zachęca do prowadzenia konwersacji, choćbym nawet miała ochotę zachwycać się pięknem przyrody za szybką, ale akurat tej ochoty nie wykazywałam w najmniejszym stopniu.

– A zatem, Enolu – odezwał się po chwili szorstko Mycroft – czy czujesz się już na siłach, żeby nam powiedzieć, co się stało?

Czułam się już na siłach, ale miałam do dodania bardzo niewiele do tego, co bracia już wiedzieli. Mama wyszła z domu wczesnym rankiem we wtorek i ślad po niej zaginął. Nie, nie zostawiła mi żadnej wiadomości ani nie udzieliła przedtem wyjaśnień. Nie, nie było powodu podejrzewać, że nagle zachorowała, ponieważ cieszyła się doskonałym zdrowiem. Nie, od tamtej pory nikt nie zgłosił o niej żadnych informacji. Nie, na pytania Sherlocka odpowiedziałam, że nie znaleziono śladów krwi, śladów stóp, śladów włamania, a ja sama nie zauważyłam, by w okolicy kręciły się jakieś podejrzane nieznanym indywidua. Nie, nie przysłano żądania okupu. Jeśli mama miała jakichś wrogów, to nic mi o nich nie wiadomo. Tak, złożyłam powiadomienie na posterunku policji w Kineford.

– Właśnie widzę – powiedział Sherlock, pochylając się lekko, by wyrzeć przez okienko powozu, który wjechał już na teren Park Ferndell – bo przysłali tu wszystkich gamoni z wioski, którzy przeszukują krzaki i rozglądają się w całkiem bezproduktywny sposób.

– Czyżby spodziewali się znaleźć ją przycupniętą pod krzewem głogu? – Stęknąwszy lekko ze względu na przeszkadzający mu brzuch, Mycroft również się pochylił się, by wyrzeć przez okienko. Jego nastroszone brwi uniosły się pod rondem kapelusza. – Co też oni zrobili z tym terenem?! – wykrzyknął.

Zaskoczona, wyjaśniłam:

– Nic!

– No właśnie, widzę, że nie zrobiono tu przez te lata absolutnie nic! Wszystko pozarastało...

– Interesujące – zamruczał Sherlock.

– Barbarzyńcy! – prychnął Mycroft. – Trawa wysoka na łokieć, a w niej samosiejki, janowce,

jeżyny...

– To akurat dzikie róże. – Lubiłam je.

– Rosnące na trawniku przed domem? Możesz mi łaskawie wyjaśnić, za co ogrodnik pobiera pensję?

– Ogrodnik? Nie ma tu żadnego ogrodnika.

Mycroft wpił się we mnie spojrzeniem niczym kołujący jastrząb.

– Przecież zatrudniacie ogrodnika! Osobnika o nazwisku Ruggles, któremu od dziesięciu lat płacę dwanaście szylingów tygodniowo!

Zdaje się, że otworzyłam szeroko usta, i to z kilku powodów. Dlaczego Mycroft tkwi w absurdalnym przekonaniu, że mamy tu ogrodnika? Nie słyszałam o nikim, kto by nosił nazwisko Ruggles. Co więcej, nie miałam pojęcia, że Mycroft przysyłał nam pieniądze. Zakładałam do tej pory, że fundusze, podobnie jak balustrady, świeczniki i inne sprzęty, są nieodłączną częścią gospodarstwa.

Sherlock wpadł bratu w słowo:

– Gdyby taki osobnik istniał, to z pewnością Enola wiedziałaby o jego istnieniu.

– Ba! Nie wiedziała nawet...

Sherlock ponownie przerwał Mycroftowi, zwracając się tym razem do mnie:

– Enolu, nie przejmuj się nim. Mycroft traci humor, kiedy ktoś go wyrwie z ustalonej orbity pomiędzy jego apartamentami, biurem a klubem Diogenesa.

Mycroft, puszczając te wyjaśnienia mimo uszu, pochylił się ku mnie i spytał:

– Enolu, czy w majątku naprawdę nie ma koni, koniuszego i chłopca stajennego?

– Nie. To znaczy, tak. – Rzeczywiście ich nie było.

– To w końcu tak czy nie?

– Mycroftie – wtrącił się Sherlock. – Zauważ, że dziewczyna ma nieproporcjonalnie małą głowę w stosunku do swojego nad wyraz wybujałego wzrostu. Daj jej spokój. Nie mąćmy jej w głowie i nie denerwujmy, skoro sam się wkrótce przekonasz, jak się sprawy mają.

I w tej samej chwili wynajęty powozik zajechał przed frontowe drzwi Ferndell Hall.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wchodząc w towarzystwie braci do pokoi mamy, zauważyłam na stoliku herbacianym japoński wazon z kwiatami, których płatki zaczynały już brązowieć. Wygląda na to, że mama wstawiła bukiet do wody dzień lub dwa przed swoim zniknięciem.

Podniosłam wazon i przytuliłam bukiet do piersi.

Sherlock Holmes prześlizgnął się obok mnie. Nie odpowiedział na powitanie Lane'a i wzgardził propozycją pani Lane, oferującej mu herbatę, tak mu było spieszno do rozpoczęcia śledztwa. Rozejrzał się po jasnym przestronnym saloniku, ozdobionym akwarelowymi wizerunkami kwiatów, przeszedł do gabinetu, a następnie do części sypialnej, skąd dobiegł mnie jego nagły, ostry okrzyk.

– Co się dzieje? – zawołał Mycroft, który wszedł z lekkim opóźnieniem, ponieważ uciał sobie pogawędkę z Lane'em, powierzając jego opiece laskę, melonik i rękawiczki.

– Ubolewania godne! – odrzyknął Sherlock z głębi mieszkania. Uznałam, że chodzi mu o bałagan w ogólności i o niewymowne części garderoby w szczególności. – Skandal! – Tak, z pewnością chodziło o ineksprymable. Brat opuścił sypialnię i wszedł ponownie do gabinetu. – Wygląda na to, że wyszła w wielkim pośpiechu.

Na to wygląda, pomyślałam.

– A może zaczęła się zaniedbywać w codziennych zabiegach wokół siebie – dodał spokojniejszym tonem. – Było nie było, ma na karku sześćdziesiąt cztery lata.

Z utrzymanego przeze mnie wazonu wydobywał się niemiły zapach zastalej wody i gnijących łądy. Ale tuż po zerwaniu bukiet musiał pachnieć upojnie. Rozpoznałam w przywiedłych kwiatach groszek pachnący.

I osty.

– Groszek pachnący i osty? – zawołałam. – Dziwne.

Panowie spojrzeli na mnie z pewną dozą irytacji.

– Twoja matka w ogóle była dziwna – szorstko zauważył Sherlock.

– I prawdopodobnie wciąż jest taka – dodał łagodniejszym tonem Mycroft. Przez wzgląd na mnie, jak się domyśliłam po jego ostrzegawczym spojrzeniu rzuconym bratu.

Więc i oni obawiali się, że... zakończyła życie.

Tym samym oschłym tonem Sherlock stwierdził:

– Z tego, co tu widzę, można wnioskować, że jej dziwactwa przerodziły się w starczą demencję.

Czy był bohaterem, czy nie, jego zachowanie zaczęło mnie drażnić. I niepokoić, ponieważ moja matka była także jego matką. Jak więc mógł o niej mówić w tak zimny sposób?

Wtedy jeszcze nie wiedziałam – no bo skąd? – że życie Sherlocka Holmesa spowijał mroczny cień. Brat cierpiał na melancholię, która brała go we władanie w tak zaborczy sposób, że czasem przez cały tydzień nie miał sił, by zwlec się z łóżka.

– Demencja? – spytał Mycroft. – Nie możesz wydedukować czegoś bardziej użytecznego?

– Na przykład?

– Jesteś detektywem. Wyciągnij tę swoją lupę.

– Już to zrobiłem. Nic tu nie znalazłem.

– No to może poszukaj na zewnątrz?

– Po trwających całą dobę opadach? Zmyły każdy ślad, jaki mogła pozostawić. Nierozsądna kobieta.

Zasmucona jego tonem i ostatnim komentarzem, zeszałam do kuchni, zabierając z sobą wazon ze zwiędłymi kwiatami.

Na dole zastałam panią Lane, zajętą szorowaniem podłogi szczeciniastą szczotką. Tarła nią dębowe deski tak zawzięcie, że domyśliłam się, iż także ona walczy z dręczącymi ją myślami.

Wyrzuciłam zawartość japońskiego wazonu do drewnianego szaflika na odpady, gdzie spoczywały już obierki jarzyn i inne resztki.

Pani Lane, na czworakach, zwierzyła się podłodze:

– A tak się cieszyłam, że znów zobaczę pana Mycrofta i pana Sherlocka.

Postawiłam pokryty zielonym nalotem wazon w drewnianym zlewie, obitym ołowianą blachą, odkręciłam kurek znajdującego się nad nim zbiornika i zalałam naczynie wodą.

Pani Lane ciągnęła tymczasem:

– A oni wciąż od lat to samo, ta sama głupia kłótnia, nie potrafią wspomnieć dobrym słowem o rodzonej matce, kiedy biedaczka być może leży już gdzieś...

Głos jej się autentycznie załamał. Nie odezwałam się słowem, żeby jej jeszcze bardziej nie denerwować.

Pociągając nosem i nie przerywając szorowania, pani Lane oświadczyła:

– Nic dziwnego, że są starymi kawalerami. Wszystko musi się dziać po ich myśli. Uważają, że to im się od życia należy. Nie znieśliby obecności pewnej siebie kobiety.

Nagle zakołysał się jeden z dzwonek, wiszących na sprężynach nad piecem.

– No tak. Dzwonią z pokoju dziennego. Pewnie życzą sobie zjeść obiad, a ja mam ręce uwalane po łokcie przez tę brudną podłogę.

Ponieważ nie jadłam śniadania, marzyłam już o obiedzie. Chciałam też wiedzieć, co się dzieje. Wyszłam z kuchni i udałam się do pokoju dziennego.

Przy stoliku zobaczyłam Sherlocka z fajką w zębach, wpatrującego się w siedzącego naprzeciwko Mycrofta.

– Dwa najtęższe umysły Anglii powinny rozwikłać tę zagadkę – mówił Mycroft. – Czy mama wyszła stąd dobrowolnie? Czy planowała powrót? Nieporządek w jej sypialni...

– ...wskazywałby na to, że wyszła stamtąd w pośpiechu pod wpływem jakiegoś impulsu. Choć równie dobrze może być po prostu przejawem wrodzonego kobietom nieporządku umysłowego – wpadł mu w słowo Sherlock. – Rozum jest bezsilny, gdy w grę wchodzi czyny kobiety, i to najprawdopodobniej dotkniętej dziecięcinnieniem.

Kiedy weszłam, obaj podnieśli na mnie oczy, licząc zapewne, że to pokojówka, choć powinni już wiedzieć, że takowej w domu nie ma.

– Obiad? – spytał Mycroft.

– Wola niebios – odparłam, zajmując miejsce przy stole. – Pani Lane jest w bardzo rozchwianym stanie ducha.

– W rzeczy samej.

Przyglądałam się badawczo moim wysokim, przystojnym (przynajmniej dla mnie) i genialnym braciom. Podziwiałam ich. Chciałam ich polubić. Chciałam, żeby oni...

Nonsens, Enolu. Doskonale sobie poradzisz sama.

A bracia przestali zwracać na mnie jakąkolwiek uwagę.

– Zapewniam cię, że nasza matka nie jest ani dziecięcinniała, ani stetryczała – oświadczył Sherlockowi Mycroft. – Dotknięta demencją kobieta nie byłaby w stanie prowadzić w sposób tak klarowny i metodyczny rachunków, które mi od dziesięciu lat przysyłała, donosząc o kosztach budowy łazienki...

– Która nie istnieje – zauważył Sherlock z przekąsem.

– I splukiwanej ubikacji...

– Również nieistniejącej.

– Oraz ciągle podwyższanych płacach, pobieranych przez lokajów, pokojówki, pannę kuchenną...

– Nieistniejących.

– ...ogrodnika, młodszego ogrodnika, majsterklepki...

– Również nieistniejących, chyba że uznamy za takiego Dicka...

– Któremu raczej brakuje klepki – stwierdził Mycroft. Żarcik, a jednak na twarzach moich braci nie pojawił się nawet cień uśmiechu. – Aż dziw bierze, że mama nie wymieniła wśród nich Reginalda Collie, który pełni tu niejako obowiązki służącego. Wyszczególniała nieistniejące konie i kuce, wyimaginowane powozy, woźnicę, koniuszych, chłopców stajennych...

– Nie ulega wątpliwości, że padliśmy ofiarą żalostnego oszustwa.

– A do tego wydatki na kształcenie Enoli, na jej nauczyciela muzyki, instruktora tańca, guwernantkę...

Na ich twarzach odbiło się zaskoczenie, jakby nagle łamigłówka stała się człowiekiem z krwi i kości. Spojrzeli w moją stronę.

– Enolu, chyba masz tu guwernantkę, prawda? – zadał mi pytanie Sherlock.

Nie miałam. Mama posyłała mnie do szkoły z wioskowymi dziećmi, a kiedy już przyswoiłam całą dostępną tam wiedzę, stwierdziła, że dalej doskonale poradzę sobie sama, a ja przyznałam jej rację. Przeczytałam wszystkie zgromadzone w domowej bibliotece pozycje od *Dziecięcego ogórków*, po wszystkie tomy *Encyclopaedia Britannica*.

Ponieważ się zawahałam, Mycroft zadał pytanie w zmienionej formie:

– Czy odebrałaś wykształcenie należne pannie z dobrego domu?

– Przeczytałam całego Szekspira – odparłam. – A także Arystotelesa, Locke’a, powieści Thackeraya oraz eseje Mary Wollstonecraft.

Ich twarze ściały grymas. Chyba nie przeraziliby się bardziej, gdybym im oświadczyła, że nauczyłam się fikać koziołki na latającym trapezie.

Po chwili Sherlock odwrócił się w stronę Mycrofta i powiedział cicho:

– To moja wina. Wiedząc, że nie wolno ufać żadnej kobiecie, nie należało robić wyjątku dla matki. Powinienem był zaglądać tu co najmniej raz w roku, niezależnie od balastu związanych z tym przykrości.

Mycroft odpowiedział mu równie cichym i zasmuconym tonem:

– Przeciwnie, mój drogi Sherlocku, to ja zaniedbałem swoje powinności. Jestem przecież jej starszym synem...

Przerwał mu dyskretny kaszel i do pomieszczenia wkroczył Lane z tacą, na której znajdowały się kanapki z ogórkiem, pokrojone w plasterki owoce i dzbanek lemoniady. I na kilka chwil potrzebnych, by podać do stołu, zapadła błoga cisza.

Korzystając z milczenia braci, odważyłam się po odejściu Lane’a zadać pytanie:

– Jaki to wszystko ma związek z szukaniem naszej matki?

Bracia nie byli zbyt skorzy do udzielenia mi odpowiedzi. Mycroft skupił całą uwagę na zawartości własnego talerza, a Sherlock bębnił palcami po blacie, zgniatając przy tym nakrochmaloną koronkową serwetę.

– Wypracowujemy teorię – odezwał się w końcu.

– A jakaż to teoria?

Znów zapadła cisza.

– Czy odzyskam swoją mamę, czy nie? – spytałam.

Żaden z nich nie chciał na mnie spojrzeć, ale po bardzo długiej chwili Sherlock zerknął ukradkowo na brata i stwierdził:

– Mycroft, uważam, że ma prawo wiedzieć.

Mycroft westchnął, pokiwał głową, odłożył to, co jeszcze zostało z jego trzeciej kanapki, i podniósł na mnie wzrok.

– Usiłujemy ustalić – powiedział – czy obecna sytuacja jest w jakiś sposób powiązana z tym, co



się wydarzyło po śmier... ehem... po odejściu naszego ojca. Nie przypuszczam, byś coś z tego pamiętała.

– Miałam cztery lata – odparłam. – Pamiętam tylko czarne konie.

– No właśnie. No cóż, po pogrzebie na kilka dni rozgorzał spór...

– Delikatnie rzecz ujmując – wtrącił się Sherlock. – Bardziej pasowałoby określenie „batalia”.

Mycroft zignorował jego uwagę i kontynuował:

– Spór dotyczący sposobu zarządzania majątkiem. Ani Sherlock, ani ja nie chcieliśmy tu osiąść, więc matka uznała, że pieniądze po ojcu powinny spływać na jej rachunek i że to ona przejmie zarząd nad Ferndell Park.

No przecież nim zarządzała, prawda? A jednak Mycroft mówił to z przekąsem, jakby sama myśl o takim rozwiązaniu wydawała się absurdem.

– Jestem pierwotnym synem, więc majątek należy do mnie – kontynuował. – Matka nie oponowała, jednak nie była w stanie pojąć, dlaczego nie chcę, by mnie wyřęczyła w administrowaniu spadkiem, zamiast zdać się w tej mierze na mnie. Kiedy Sherlock i ja przypomnieliśmy jej, że nie ma nawet prawa tu mieszkać, jeśli nie wyrażę na to zgody, zaczęła się zachowywać irracjonalnie i dała nam do zrozumienia, że nie jesteśmy mile widzianymi gośćmi w miejscu naszego urodzenia.

Ojej. Wielkie nieba. Cały dotychczasowy porządek świata zawirował mi w głowie, jakby fiknął kozła na gałęzi drzewa. Do tej pory żyłam w przekonaniu, że bracia unikali kontaktów z nami ze względu na hańbiący fakt mojego istnienia. A tymczasem chodziło o spór z moją matką?

Nie mogłam się zorientować, co czuje Mycroft po tym odkryciu. Ani Sherlock.

Sama też nie potrafiłam dojść do ładu z własnymi emocjami, wywołanymi tą wiadomością, choć przede wszystkim odczuwałam zdumienie. Jednak coś tajemniczego zatrzepotało jak motyl w głębi mego serca.

– Posyłałem jej co miesiąc pieniądze na utrzymanie – ciągnął Mycroft. – A ona regularnie pisała bardzo rzeczowe listy z prośbą o zwiększenie kwoty. Odpowiadałem na to, żądając zestawienia wydatków, a ona je sporządzała. Jej ponawiane prośby o dofinansowanie wydawały mi się uzasadnione, więc nigdy nie traktowałem ich odmownie. Ale teraz widzę, że cała ta buchalteria była fikcją. I że nie mamy zielonego pojęcia o tym, co się z naszymi pieniędzmi stało.

Zauważyłam, że się zawahał.

– Ale macie chyba jakąś teorię – powiedziałam.

– Tak. – Zacerpnął powoli tchu. – Sądzymy, że przez cały czas gromadziła środki z myślą o wyjeździe. – Kolejny, jeszcze dłuższy wdech. – Uważamy, że wzięła pieniądze, które uznała za swoje, i wyjechała gdzieś w nieznane, żeby nam – że się tak wyrażę – zagrać na nosie.

Co on, na Boga, mówi?! Mama mnie opuściła? Siedziałam w milczeniu z rozdziawioną buzią.

– Żałośnie ograniczona pojemność dziewczęcej czaszki, Mycroft – mruknął Sherlock do brata, by po chwili zwrócić się do mnie łagodnie: – Enolu, ujmując to najprościej: uważamy, że uciekła.

Ale... przecież to niedorzeczne, niemożliwe. Nie mogłaby mi tego zrobić!

– Nie – wyrwało mi się. – Nie, to niemożliwe.

– Zastanów się, Enolu – Sherlock mówił zupełnie tak jak mama. – Wszelka logika wskazuje na takie właśnie rozwiązanie. Gdyby spotkało ją coś złego, poszukiwacze już by ją znaleźli. Gdyby padła ofiarą wypadku, dowiedzielibyśmy się o tym. Nikt nie miał powodów, by ją krzywdzić, nie ma najmniejszych śladów wskazujących na przestępstwo. Nie istnieje żaden racjonalny powód, dla którego ktoś miałby ją stąd uprowadzić siłą, poza chęcią zdobycia okupu, a nie pojawiło się takie żądanie. – Przerwał wywód, żeby zacerpnąć tchu przed ciągiem dalszym: – Jeśli jednak matka żyje, to cieszy się dobrym zdrowiem i robi to, na co ma ochotę...

– Jak zwykle zresztą – dodał Mycroft.

– Bałagan w jej sypialni może być jedynie zasłoną dymną.

– Żeby nas skierować na fałszywy trop – zgodził się Mycroft. – Wygląda na to, że jej ucieczkę poprzedziły lata przygotowań i planowania.

Wyprostowałam się nagle jak rażona prądem.

– Skoro mogła się oddalić o dowolnej porze – zakwiliłam – dlaczego wybrała akurat dzień moich urodzin?

I nagle tym razem oni zamilkli i rozdziawili usta. Okazałam się sprytniejsza od nich.

Ale chwilę triumfu przerwało mi nagle wspomnienie, że mama przekazała pani Lane prezenty z prośbą o wręczenie mi ich, gdyby zdarzyło jej się nie wrócić do domu na podwieczorek.

Albo na zawsze.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ponieważ oczy piekły mnie od łez, przeprosiłam braci pospiesznie i odeszłam od stołu.

Musiałam wyjść na zewnątrz. Świeże powietrze ostudziłoby moje rozgrzane uczucia. Zatrzymałam się tylko na chwilę, żeby zabrać podarowany mi przez mamę nowy zestaw do rysunków, i wybiegłam kuchennymi drzwiami. Minęłam warzywnik i puste stajnie, przebiegłam przez wybujały trawnik i dotarłam do zalesionej części majątku. Tam zabrakło mi tchu, więc zwolniłam i już spokojniejszym krokiem szłam pod dębami. Humor mi się nieco poprawił.

Wydawało mi się, że jestem sama. Konstabl i inni przemieścili się na odleglejsze pola i wrzosowiska.

Las rósł na wzniesieniu. Zaczęłam schodzić i dotarłam do mojego ukochanego miejsca, głębokiej kotliny, w której paprocie drapowały się na skałach jak suknia wieczorowa z zielonego aksamitu. Dołem płynął po kamieniach potok, który tworzył rozlewisko pod pochyłą wierzbą. Nie bacząc na to, że mam na sobie sukienkę i pantalone, przelazłam przez skały i paprocie, i dotarłam do drzewa. Objęłam przysadzisty pień i przytuliłam policzek do jego omszałej kory. A potem dałam nura pod koronę wierzy i wpełzłam w cieniste miejsce tuż nad strumieniem.

Ta chłodna nisza była moją sekretną kryjówką, nieznaną nikomu poza mną. Tu trzymałam swoje ulubione znaleziska, które pani Lane z pewnością by wyrzuciła, gdybym je przyniosła do domu. Wzrok oswajał się powoli z ciemnością, umościłam się wygodnie w moim zielonym saloniku. Obejrzałam swoje skarby poukładane na półeczkach, które zbudowałam tam z kamieni. Tak, były tam skorupy ślimaków, moje wielobarwne kamyki, miseczki żółodzi, kilka kolorowych piór sójki, a także spinka od mankietu, uszkodzony medalion-sekretnik i inne błyskotki znalezione przeze mnie w sroczych gniazdach.

Z westchnieniem ulgi podciągnęłam ku sobie zgięte nogi, opierając brodę o kolana w wyjątkowo nieprzystający damie sposób, objęłam ramionami łydki i zapatrzyłam się na spienioną wodę tuż u moich stóp. W stawie kłębiły się młode pstrągi wielkości palca. Obserwowanie, jak raz po raz pierzchają się, by znów się zbić w ławicę, wprowadzało mnie zazwyczaj w swoisty trans.

Ale nie dziś. Dręczyła mnie jedna myśl: co się mogło stać z mamą? W końcu będę musiała wrócić do domu, a ona nie będzie tam na mnie czekać; w zamian za to zastanę w domu swoich braci, którzy na widok siostry w uwalanej ziemi sukience, powiedzą...

A niech ich diabli wezmą!

Wyprostowałam nogi, kolana wróciły na przynależne im miejsce, otworzyłam swój zestaw rysunkowy, wyjęłam ołówek i kilka kart papieru. Na jednej z nich naszkicowałam pospiesznie niezbyt pochlebny portret Mycrofta, w getrach, z monoklem w oku i ciężkim zegarkiem kieszonkowym na grubej dewizce, dyndającej na wypchanej do granic możliwości kamizelce.

A potem narysowałam równie pospieszny portrecik Sherlocka, z jego tyczkowatymi nogami, ostrym nosem i podbródkiem.

A potem chciałam narysować i mamę, bo na nią też byłam zła. Chciałam ją przedstawić tak, jak mogła wyglądać w dniu swojego zniknięcia, w kapeluszu o wyglądzie odwróconej doniczki i w kurteczce z rozcięciem na idiotyczną tiurniurę...

I nie zabrała ze sobą przyborów malarskich.

I wiedziała, że nie wróci na świętowanie moich urodzin.

Musiała mieć jakiś plan. Choć bardzo mnie to bolało, uznałam to z całą stanowczością. A niech ją licha! Ja jej szukałam w panice, a ona doskonale sobie radziła sama, ciesząc się jakąś przygodą beze mnie.

Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że stwierdzenie faktu, iż mama żyje, powinno mi przynieść ulgę. A jednak nie, przeciwnie, poczułam się paskudnie.

Porzuciła mnie.

Dlaczego się mnie od razu nie wyrzekła? Mogła mnie wsadzić do koszyka i zostawić gdzieś na progu zaraz po moim przyjściu na świat.

Dlaczego opuściła mnie właśnie teraz?

Dokąd mogła się udać?

Zamiast szkicować, siedziałam pogrążona w myślach. Odłożyłam na bok rysunki i spisałam listę pytań:

*Dlaczego mama mnie ze sobą nie zabrała?*

*Skoro zaplanowała dalszą podróż, dlaczego nie wzięła roweru?*

*Dlaczego tak dziwnie się ubrała?*

*Dlaczego nie wyszła przez bramę?*

*Skoro ruszyła na piechotę przez pola, dokąd się udała?*

*A zakładając, że znalazła jakiś transport, dokąd się wybrała?*

*Co zrobiła z wszystkimi swoimi pieniędzmi?*

*Skoro zdecydowała się na ucieczkę, dlaczego ruszyła w drogę bez bagażu?*

*Dlaczego uciekła w dniu moich urodzin?*

*Dlaczego nie zostawiła ani słowa wyjaśnienia czy pożegnania?*

Odłożyłam ołówek i zagapiłam się ponownie na spienioną wodę i na baraszkujące pod powierzchnią młodociane pstrągi przypominające małe, ciemne łzy.

Coś zaszeleściło w otaczających wierzbę zaroślach. Odwróciłam głowę, by ujrzeć dobrze mi znany kudłaty łeb, wsuwający się do mojej kryjówki.

– Och, Reginaldzie – jęknęłam. – Daj mi święty spokój. – A jednak pochyliłam się w stronę starego collie. Szturchnął mnie szerokim nosem w twarz i zawachlował ogonem, kiedy objęłam go za skołtunioną szyję.

– Dziękuję ci, Reginaldzie – rozległ się uprzejmy głos. Nade mną stał mój brat Sherlock.

Wydałam stłumiony okrzyk, odepchnęłam Reginalda i sięgnęłam po papiery, które rozsypały się po ziemi. Ale działałam zbyt powolnie i Sherlock zgarnął je pierwszy.

Spojrzał na sporządzone przeze mnie podobizny Mycrofta i siebie samego, a potem, odrzuciwszy w tył głowę, zaśmiał się niemal bezgłośnie, ale za to serdecznie, kołyszając się w przód i w tył, aż w końcu musiał usiąść na kamiennej półce pod wierzbą, łapiąc oddech.

Poczułam palący wstyd, zobaczyłam jednak, że brat się uśmiecha.

– Brawo, Enolu. – Zachichotał, kiedy znów był w stanie coś powiedzieć. – Masz talent karykaturzystki. – Oddał mi szkice. – Byłoby chyba najlepiej, gdyby Mycroft tego nie zobaczył.

Spuściwszy czerwoną twarz, wsunęłam kartki na sam spód skrzynki.

Mój brat stwierdził:

– Pewnego dnia to drzewo zwali się prosto do wody. Należałoby mieć nadzieję, że nie będziesz siedziała pod spodem, kiedy to się wydarzy.

Przynajmniej nie kpił sobie z mojej kryjówki. A jednak wyczułam w jego głosie lekki wyrzut i zrozumiałam, że chciałaby, abym ją opuściła. Zmarszczyłam brwi i wyszłam spod drzewa.

– A co to za papier, który trzymasz w dłoni? Mogę zobaczyć? – spytał.

Moja lista. Podałam mu ją, mówiąc sobie, że nie dbam o to, co sobie o mnie pomyśli.

Przysiadłam przygarbiona na innym wyszcieranym paprociami gładzie i czekałam, aż zapozna się z treścią.

Wczytał się w moją listę bardzo uważnie. Mogę nawet powiedzieć, że się nad nią zamyślił. Jego wąska twarz o orlim nosie przybrała wyraz powagi.

– Zauważyłaś wiele istotnych problemów – powiedział w końcu, a w jego głosie zabrzmiało lekkie zdziwienie. – Sądzę, że możemy założyć, iż nie wyszła przez bramę, ponieważ nie chciała, by stróż zobaczył, w którą udaje się stronę. Także z tego samego powodu wołała nie trzymać się drogi, gdzie ktoś mógłby ją spostrzec i rozpoznać. Okazała się na tyle pomysłowa, że nie przeoczyła żadnej możliwości, która mogłaby nam podpowiedzieć, czy udała się na północ, na południe, na wschód czy na zachód.

Przytakiwałam mu, prostując coraz bardziej plecy. Z niewiadomych przyczyn czułam się całkiem dobrze. Mój brat Sherlock nie wyśmiał moich przemyśleń. Ba, zaszczycił mnie nawet rozmową.

Ten bezimienny motyl trzepoczący w moim sercu – zaczęłam przeczuwać, czym jest.

Obudził się we mnie, kiedy odkryłam, że bracia mają pretensje do matki, a nie do mnie.

Była to... nadzieja. Marzenie. A tak naprawdę niemalże pragnienie. Teraz, kiedy pojawiła się szansa.

Chciałam, żeby moi bracia... Nie miałam odwagi myśleć o czułości, ale chciałam, żeby choć troszeczkę im na mnie zależało.

Sherlock ciągnął:

– A jeśli chodzi o pozostałe twoje wątpliwości, Enolu, to mam nadzieję wkrótce je rozwiązać.

Ponownie pokiwałam głową.

– Tylko jednego punktu nie rozumiem. Poprosiłem Lane'a, żeby mi opisał ubiór twojej matki, ale nie zauważyłem w jego opisie niczego dziwnego.

Spiekłam raka na wspomnienie swojego skandalicznego nietaktu w rozmowie z Lane'em.

– Tiurniura – wymamrotałam cichutko.

– A, kuperek. – Wymówienie tego słowa przyszło mu bez żadnego trudu. – Pewien ludożerca spytał żonę misjonarza, czy wszystkie białe kobiety są tak zdeformowane. No cóż, trudno pojąć, dlaczego damy chcą się w ten sposób upiększać. Fanaberie płci pięknej wymykają się logice. – Wzruszył ramionami i nie podjął tematu. – Enolu, za godzinę muszę wracać do Londynu, więc postanowiłem cię odszukać, żeby się pożegnać i powiedzieć ci, jak przyjemnie było cię znów po tylu długich latach zobaczyć.

Wyciągnął do mnie dłoń – oczywiście w rękawiczce. Przez chwilę próbowałam to ogarnąć rozumem. Zaniemówiłam.

– Mycroft zostanie tu na kilka dni – ciągnął Sherlock. – Chociaż boleje nad tym, że będzie musiał się obejść bez swojego ukochanego klubu Diogenesa.

Przełknęłam ślinę, by odzyskać głos i spytałam:

– A co będziesz robił w Londynie?

– Zgłoszę sprawę w Scotland Yardzie. Przejrzę listy pasażerów statków w poszukiwaniu samotnie podróżujących kobiet, na wypadek gdyby, zgodnie z jedną z hipotez, nasza zabłąkana matka opuściła Anglię, aby udać się na południe Francji lub do jakiejś mekki artystów... albo wyruszyła na pielgrzymkę do jakiejś świątyni sufrażystek. – Spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem. – Enolu, miałaś z nią świeższy kontakt niż ja. Dokąd mogła się udać?

Wielki Sherlock Holmes pyta mnie o przemyślenia? Niestety, nie mogłam mu nic zaoferować. Byłam, bądź co bądź, dziewczyną o minimalnej objętości czaszki. Czując kolejny ciepły rumieniec, rozlewający się powoli od strony szyi, potrząsnęłam głową.

– Miejscowy posterunek policji nie miał żadnych zgłoszeń dotyczących miejsca jej pobytu, więc nic tu po mnie. – Brat wyprostował się, dotykając ronda kapelusza w geście grzeczności, jednak nie uchylając go przede mną. – Bądź dobrej myśli – powiedział. – Nie ma żadnych powodów, by podejrzewać, iż stało się jej coś złego.

Następnie, wymachując laseczką, ruszył w górę skalistego zbocza Ferndell, z pełną godności gracją, jakby wchodził po marmurowych schodach wiodących do jakiegoś londyńskiego pałacu. Kiedy znalazł się w najwyższym punkcie, nie odwracając się za siebie, podniósł laskę i zamachał nią w powietrzu w geście odprawy lub pożegnania, a następnie ruszył w stronę dworu z drepczącym

pokornie u jego boku psem.

Patrzyłam na niego, póki nie zniknął między drzewami. Odprowadzałam go wzrokiem, jakbym wiedziała, że, choć nie ze swojej winy, przez bardzo długi czas nie zamienię z nim ani słowa.

Po powrocie do dworu poszłam poszukać przedmiotu, który Lane określił mianem „wypychacza” i znalazłam go tam, gdzie go zostawiłam – w najmniej odpowiednim miejscu, czyli w głównym salonie na dole. Zastanawiałam się, dlaczego mama położyła tę lekką jak puch poduszczkę na toaletce, zamiast umieścić ją pod suknią. Zamyślona, udałam się na górę, żeby odłożyć ją na miejsce w sypialni, na wypadek gdyby mama jej potrzebowała po...

Powrocie?

Ale nie było najmniejszych przesłanek ku temu, by ją podejrzewać o chęć powrotu.

Bądź co bądź postanowiła zniknąć. Z własnej nieprzymuszonej woli.

Oparłszy się o drewniane poręczę stojącego w holu fotela, przybrałam postać przecinka nad szorstką konstrukcją z końskiego włosia, którą trzymałam w rękach. I zastygłam w tej pozycji na dłuższą chwilę.

Wreszcie podniosłam głowę, a mściwa myśl kazała mi zacisnąć mocno szczęki. Skoro mama porzuciła mnie na pastwę losu, mogę sobie zrobić użytek z przedmiotów znajdujących się w jej pokojach.

Była to decyzja częściowo zrodzona ze splinu, częściowo z konieczności. Pobrudziłam sobie strój, więc musiałam się przebrać. Kilka innych moich sukienek, niegdyś białych, dziś żółtawozielonych od śladów ziemi i trawy, wyglądało jeszcze gorzej. Trzeba będzie sobie wybrać coś z garderoby mamy.

Podniosłam się i dziarskim krokiem przeszłam przez korytarz, wiodący do drzwi jej pokoi, i przekręciłam gałkę.

Niestety, na próżno. Ktoś zamknął drzwi na klucz.

To był naprawdę wyjątkowo frustrujący dzień. Podeszłam do schodów, wychyliłam się za balustradę i pozwoliłam sobie zawołać arogancko podniesionym głosem:

– Lane!

– Ciii! – Dziwna sprawa. Kamerdyner, choć mógł być wszędzie, od strychu po piwnicę, pojawił się na dole w mgnieniu oka. Przykładając palec odzianej w białą rękawiczkę dłoni do ust, poinformował mnie:

– Panno Enolu, pan Mycroft raczył uciąć sobie drzemkę.

Przewróciłam oczami i nakazałam mu gestem przyjść na górę. Kiedy się pojawił, odezwałam się już cichszym tonem:

– Przynieś mi klucz do pokoi mamy.

– Pan Mycroft nakazał, by jej mieszkanie pozostało zamknięte.

Zdziwienie wzięło we mnie górę nad irytacją.

– A z jakiego powodu?

– Nie jestem upoważniony, by tego dociekać, panno Enolu.

– Dobrze, nie potrzebuję klucza, wystarczy, że sam mi otworzysz drzwi.

– Musiałbym spytać pana Mycrofta o pozwolenie, panienko, a jeśli go obudzę, wpadnie w złość. Pan Mycroft wydał polecenie...

Pan Mycroft to, pan Mycroft tamto, pan Mycroft może iść się wypchać. Z zacisniętymi ustami wręczyłam Lane’owi wypychacz.

– Trzeba to odłożyć na miejsce.

Kamerdyner autentycznie splonął rumieńcem, co przyjąłam z zadowoleniem, jako że nigdy dotąd tego przy mnie nie robił.

– Co więcej – ciągnęłam cichym głosem, cedząc słowa przez zacisnięte zęby – muszę przeszukać garderobę matki, żeby znaleźć cokolwiek, w co mogłabym się ubrać. Jeśli zejdę na kolację w tej sukience, pan Mycroft wpadnie w coś gorszego niż złość. Zacznie toczyć pianę z ust. Proszę otworzyć drzwi.



Lane wykonał moje polecenie bez zbędnych słów. Ale nie oddał mi klucza i postanowił czekać na mnie w korytarzu.

Dlatego też, owdądnięta duchem przekory, nie spieszyłam się zbytnio. Jednak przeglądając suknie mamy, rozmyślałam o zaistniałej sytuacji. Drzwi do jej pokoi zamknięte na klucz, wejście tylko i wyłącznie za zgodą Mycrofta? Tak nie może być.

Ciekawe, gdzie mama mogła zostawić swój własny klucz.

I na samą myśl poczułam strach, ponieważ jeśli – ubierając się na całodniowe wyjście – zamierzała wrócić, zabrałaby klucz ze sobą. A zatem jeśli zostawiła go w domu – mogło to oznaczać tylko jedno.

Potrzeba mi było kilku chwil i paru głębokich oddechów, bym odważyła się sięgnąć po jej komplet spacerowy, który wciąż wisiał na stojącym tondzie.

Sięgnęłam do jego kieszeni i od razu natrafiłam na klucz.

Wydał mi się bardzo ciężki. Stałam, przyglądając mu się, jakbym go widziała pierwszy raz w życiu. Owalne ucho z jednej strony, zębaty prostokąt z drugiej. Dziwny zimny przedmiot z żelaza.

Czyli wcale nie planowała powrotu.

A jednak ten nienawistny kawałek metalu stał się nagle moim najcenniejszym skarbem. Ścisnęłam go w dłoni, powiesiłam sobie na przedramieniu maminą sukienkę, żeby nie było go widać, i ponownie wyszłam na korytarz.

– Doskonale, Lane – odezwałam się bezbarwnym tonem, kiedy przekręcił klucz w drzwiach.

\*\*\*

Przy kolacji Mycroft był łaskaw powstrzymać się od komentarzy, dotyczących mojego pożyczonego ubioru: luźnej, powiewnej, utrzymanej w duchu estetyzmu sukni, która nie dość, że odsłaniała mi dekolt, to jeszcze wisiała na mnie jak prześcieradło na miotle. Mimo że obie byłyśmy jednakowego wzrostu, brakowało mi kobiecych krągłości. Tak czy inaczej wybrałam tę właśnie suknię ze względu na jej kolor – brzoskwinowy z odcieniem kremowego, uwielbiałam tę barwę – nie kierując się jej fasonem. Dół ciągnął się nieco po ziemi, z czego się nawet cieszyłam, ponieważ zasłaniał moje dziewczęce sznurowane trzewiki. Przewięzałam swój płaski i równy jak deska korpus szarfą, by stworzyć pozory talii, miałam na sobie naszyjnik, ba, spróbowałam nawet ułożyć sobie włosy, chociaż ich odcień o niezdecydowanym brązie nie czynił z nich jakiejś wyjątkowej ozdoby. Jednym słowem, wyglądałam jak dziecko bawiące się w przebieranki i dobrze o tym wiedziałam.

Mycroft, mimo że zachował milczenie, był najwyraźniej niezadowolony. Kiedy tylko podano rybę, powiedział do mnie:

– Posłałem do Londynu po krawcową, która zaopatrzy cię w stosowne stroje.

Pokiwałam z aprobatą głową. Nowe ubrania byłyby mile widziane, a gdyby mi się nie spodobały, mogłabym wskoczyć w swoje wygodne pumpy, kiedy tylko brat spuści mnie z oczu. Powiedziałam jednak:

– Krawcowa jest tu, na miejscu, w Kineford.

– Tak, wiem o tym. Ale londyńska krawcowa będzie najlepiej wiedziała, czego ci będzie trzeba na pensji.

O czym on mówi? Siłąc się na cierpliwość, poinformowałam go, że nie wybieram się na żadną pensję.

A on równie cierpliwie mi wyjaśnił:

– Oczywiście, że się wybierasz. Zasięgnąłem już języka w kilku znakomitych instytucjach kształcących młode damy.

Mama opowiadała mi o tych instytucjach. Jej żurnale reformowanych mód były przepełnione ostrzeżeniami przed kultem figury à la klepsydra. W jednej z takich „szkół” przełożona osobiście dociągała tasiemki gorsetu na każdej przekraczającej próg przybytku uczennicy, by ta mogła od tej pory szczyścić się talią osy o każdej porze dnia i nocy, z wyjątkiem jednej godziny w tygodniu, kiedy dopuszczalne było zdjęcie gorsetu w celu dokonania „ablucji”, czyli mówiąc normalnym językiem, kiedy wolno jej było się wykąpać. Potem jednak znów ją zasznurowywano w pancerz, pozbawiając ją

możliwości normalnego oddychania, wskutek czego najmniejszy przestach doprowadzał dziewczynę do omdlenia i osunięcia się na ziemię. Uznawano to za „urocze”. Uznawano to także za czynnik umoralniający, ponieważ gorset był „czuwającą przez całą dobę przyzwoitką, zmuszającą noszącą go osobkę do powściągliwości ruchów” – innymi słowy, uniemożliwiając nieszczęsnej ofierze wyginanie ciała czy rozluźnianie mięśni. Współczesne gorsety, w odróżnieniu od noszonych przez mamę modeli usztywnianych wielorybimi fiszbinami, były tak długie, że wymagały dodatkowego stelażu z drutu, będącego sporym wyzwaniem dla żeber. Gorset ścisnął narządy wewnętrzne i deformował kości. Zanotowano przypadek pensjonarki, której połamane pręty przebiły płuca, co doprowadziło do jej przedwczesnego zgonu. Po złożeniu do trumny zmierzono jej talię: miała piętnaście cali obwodu.

Wszystko to przemknęło mi nagle przez umysł, aż upuściłam widelec, który z głośnym brzękiem wylądował na talerzu. Siedziałam zamurowana, zdjeta strachem na myśl o przerażającej perspektywie, nie mogąc jednak wyjawić swoich obiekcji bratu. Poruszanie tak drażliwej kwestii jak kobiece kształty w rozmowie z mężczyzną było nie do pomyślenia. Wyjąkałam tylko:

– Ale mama...

– Nic nie wskazuje na to, by miała w najbliższej przyszłości wrócić, a ja nie mogę tu siedzieć w nieskończoność. – Chwała Bogu – pomyślałam. – A przecież nie możesz tu wegetować w samotności, prawda?

– Czy chcesz odprawić Lane’a i panią Lane?

Zmarszczył brwi i odłożył nożyk, którym smarował kromkę.

– Oczywiście, że nie, ale służba nie zapewni ci odpowiedniego wykształcenia i nadzoru.

Chciałam powiedzieć, że mama nie życzyłaby sobie...

– Twoja matka zaniedbała swoje obowiązki wobec córki. – Jego ton był zdecydowanie ostrzejszy niż nożyk do masła. – Co z ciebie wyrośnie, jeśli nie nabędziesz umiejętności, dobrych manier i ogłady towarzyskiej? Nie będzie dla ciebie miejsca w lepszych sferach, a twoje widoki na zamążpójście...

– Są co najmniej mniejsze niż zero – dokończyłam – ponieważ wyglądam zupełnie jak Sherlock.

Myślę, że ubodła go moja szczerość.

– Moje drogie dziecko – jego ton złagodniał – to się zmieni, albo zostanie zmienione.

Zapewne wskutek wielogodzinnego balansowania książki na głowie podczas ćwiczenia gry na fortepianie. Całe dni mordęgi, plus gorsety, tiurniury i dopinane treski, chociaż o tym akurat nie wspomniał.

– Pochodzisz z dobrego domu i jeśli zapewnimy ci nieco ogłady, z pewnością nie przyniesiesz nam wstydu – kontynuował.

Przerwałam mu.

– Zawsze przynosiłam rodzinie wstyd i zawsze go będę jej przynosić, więc ani myślę dać się wysłać na jakąś pensję dla młodych panien.

– Pojedziesz tam.

Wymieniając nad stołem gniewne spojrzenia w blasku świec, rozświetlającym zapadający zmierzch, przestaliśmy udawać, że spożywamy posiłek. Byłam pewna, że podobnie jak ja, brat był świadom faktu, że Lane i jego lepsza połowa podsłuchiwali na korytarzu, ale na mnie nie robiło to żadnego wrażenia.

Podniosłam głos.

– Nie. Najmij mi guwernantkę, jeśli to konieczne, ale nie poślesz mnie na żadną pensję.

Ton jego głosu złagodniał, jednak oświadczył mi:

– Mogę to zrobić i tak właśnie się stanie.

– Jakim sposobem? Zakujesz mnie w łańcuchy, żeby mnie tam zawieźć?

Podniósł oczy w górę.

– Wykapana matka – oświadczył sufitowi, by po chwili przeszyć mnie tak umęczonym i protekcyjnym wzrokiem, że aż mnie zmroziło. Tonem najłagodniejszej perswazji powiedział:

– Enolu, jestem prawnym opiekunem zarówno matki, jak i twoim. I mogę, jeśli zechcę, zamknąć cię w pokoju na klucz, żebyś nabrała rozumu, czy przedsięwziąć inne środki niezbędne do osiągnięcia celu. Dodatkowo, jako starszy brat, odpowiadam za ciebie w sensie moralnym, a widać jak na dłoni, że zbyt długo wychowywałaś się tu jak dzikuska. I być może zjawiłem się w samą porę, by uchronić cię przed zmarnowaniem sobie życia. Zrobisz to, co ci każę.

W tej chwili zrozumiałam, co musiała przeżywać mama w pierwszych dniach po śmierci mojego ojca.

I dlaczego nie próbowała nawet odwiedzać moich braci w Londynie, ani nie zapraszała ich do Ferndell Park.

I dlaczego wyłudzała podstępnie od Mycrofta pieniądze.

Wstałam.

– Straciłam apetyt. Mam nadzieję, że pozwolisz mi odejść.

Niestety, nie mogę powiedzieć, że opuściłam jadalnię z pełną chłodu godnością, przydepnęłam bowiem rąbek spódnicy i spadłam ze schodów.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tej nocy nie mogłam zasnąć. A nawet trudno mi było usiedzieć w miejscu. Odziana w koszulę nocną, bosa, chodziłam w tę i z powrotem po sypialni, wyobrażając sobie lwicę drepczącą wzdłuż krat w londyńskim zoo. Później, kiedy po przykręceniu knota lampy naftowej i zdmuchnięciu świec umościłam się w łóżku, nie mogłam zmrużyć oka. Słyszałam, jak Mycroft udaje się do pokoju gościnnego, jak Lane i jego żona człapią na poddasze do swojej służbówki, leżałam w bezruchu i gapiłam się na cienie.

Przyczyna mojego niepokoju nie była tak oczywista, jak by się mogło zdawać. Oczywiście, że zdenerwowały mnie słowa Mycrofta, jednak burza myśli o mojej matce doprowadziła mnie do rozstroju nerwowego i niemalże do mdłości. Dziwnie jest myśleć o rodzonej matce jak o kimś podobnym do nas, a nie jak o mamusi, że tak powiem. A jednak nie dało się ukryć: była słaba, będąc jednocześnie niezwykle silna. Żyła tu jak w pułapce, podobnie jak ja. Równie mocno odczuwała niesprawiedliwość własnej sytuacji. Została zmuszona do posłuszeństwa, tak jak mnie do niego zmuszano. Chciała się zbuntować równie rozpaczliwie jak ja, chociaż ja nie wiedziałam, czy się kiedykolwiek na to odważy i czy potrafię.

Ale mama w końcu dopięła swego. Chwalebny akt buntu.

Niech ją diabli, dlaczego mnie ze sobą nie zabrała?

Odrzuciłam kołdrę kopnięciem, wyplątałam się z pościeli, odkręciłam z powrotem knot lampy i podeszłam do swojego sekretarzyka – jego rant zdobiony kwiatkami z szablonu nie nastroił mnie tym razem optymistycznie – wyciągnęłam czystą kartę i ołówek z przybornika rysunkowego, po czym naszkicowałam gniewnie portret mamy, pomarszczonej i obwisłej, z zaciśniętymi w cienką kreskę wargami, kroczącą w swoim podpiwniczonym trzypiętrowcu na głowie, wymachującą parasolką jak szablą, podczas gdy tren, pozbawiony idiotycznego rusztowania, włókł się za nią jak podkulony ogon.

Dlaczego nie dopuściła mnie do tajemnicy? Dlaczego mnie tu zostawiła?

No dobrze, mogę zrozumieć, choć to bardzo bolesne, że nie chciała powierzać swojej tajemnicy podlotkowi... Ale czemu nie zostawiła mi jakichś wskazówek, wyjaśnień czy paru słów pożegnania?

I dlaczego, dlaczego musiała zniknąć akurat w dniu moich urodzin? Mama, która przez całe życie była taka skrupulatna. Musi się za tym kryć jakiś powód. Tylko jaki?

Zrobiła tak, ponieważ...

Usiadłam wyprostowana przy biurku i rozdziawiłam usta.

Teraz rozumiem.

Punkt widzenia mamy.

I wszystko nabrało sensu. Mama była mądra. Mądra, mądra, mądra.

Zostawiła mi wiadomość.

W formie prezentu.

W dniu moich urodzin. Właśnie dlatego wybrała ten dzień, żeby stąd odejść. Bo w tym dniu można coś komuś podarować, nie wzbudzając podejrzeń. Poderwałam się na nogi. Gdzie ją położyłam? Musiałam zapalić świecę i wziąć lichtarz, żeby móc się przejść i rozejrzeć po pokoju. Nie było jej w biblioteczkę, nie dostrzegłam jej na żadnym z krzeseł, ani na toaletce, ani na umywalce, ani na stoliku nocnym. Nie stała oparta o arkę Noego ani o konia na biegunach, zabawki odziedziczone po braciach. Niech diabli porwą moją głupią, skołowaną głowę, gdzie ja ją rzuciłam? Jest! Leży

w zapomnianym od lat domku dla lalek, jakbym nie mogła wybrać innego miejsca. Cienki plik ręcznie malowanych, ręcznie zapisanych, sztywnych kart papieru dla artystów, zagiętych w połowie i zszytych wzdłuż złożenia.

Rzuciłam się na nią: na książeczkę z szyframi stworzoną dla mnie przez rodzoną matkę.

ALO NEP ZSO AKU AZJ IOM CIM YRH NAZ MET IMA

Delikatne pismo mojej mamy.

Po jednym rzucie oka na pierwszą zaszyfowaną wiadomość zamknęłam oczy, żeby się nie rozplakać. Myśl, Enolu.

Zupełnie, jakbym słyszała besztającą mnie matkę. Usłyszałam w głowie echo jej słów:

– Enolu, doskonale sobie sama poradzisz.

Otworzyłam oczy, wpatrzyłam się w pomieszane litery i zaczęłam myśleć.

No dobrze. Po pierwsze, zdanie nie może się składać z samych trzyliterowych wyrazów.

Wyciągnęłam ze szkicownika czystą kartkę, przyciągnęłam do siebie lampę naftową z jednej strony i lichtarz z drugiej, a następnie przepisałam napis w ten sposób:

ALONEPZSOAKUAZJIOMCIMYRHNAZMETIMA

Pierwsze słowo od razu przykuło mój wzrok: „alone”.

Czy też może „Enola”?

Spróbujmy od tyłu.

CHRYZANTEMAMIMOIMIZAPOSZUKAJENOLA

Wpatrzyłam się w początek szeregu liter i spostrzegłam zbitkę „Mami”. A może „mamie”? Mama zostawiła mi wiadomość na własny temat?

MAMI MOIMI ZA POSZUKAJ ENOLA

Słowa zapisane w odwrotnej kolejności.

ENOLA POSZUKAJ ZA MOIMI...

Och, na miłość boską, „chryzantemami”. Wymalowana kwietna ramka powinna od razu naprowadzić mnie na trop. Przedstawiała złote i rdzawe chryzantemy.

Odczytałam zaszyfowaną wiadomość.

Nie byłam tak skończenie głupia.

A może jednak byłam, bo co u diaska może oznaczać zdanie: „Enola, poszukaj za moimi chryzantemami”? Czy mama zakopała coś w klombie? Mało prawdopodobne. Wątpię, by kiedykolwiek miała w ręku łopatę. Od takich robót był Dick, a poza tym mama nie miała cierpliwości do zajmowania się ogrodem. Lubiła wytrzymałe kwiaty, takie właśnie jak chryzantemy, które potrafiły same dać sobie radę.

Chryzantemy na zewnątrz? I które z nich mogła uważać za swoje?

Stojący w sieni na dole zegar wybił drugą. Jeszcze nigdy aż tak nie zarwałam nocy. Miałam wrażenie, że mój umysł unosi się gdzieś w powietrzu, nie do końca zakotwiczony w mojej głowie.

Byłam już na tyle zmęczona i uspokojona, żeby iść spać. Ale nie miałam na to ochoty.

Zaraz. Przecież dostałam od mamy także inną książkę. *Mowę kwiatów*. Sięgnęłam po nią, otworzyłam przy końcu i wyszukałam w indeksie słowo „chryzantema”.

„Obdarowanie kogoś chryzantemami symbolizuje więzi rodzinne oraz to, co się z nimi wiąże, czyli czułość”.

Lepsza czułość symboliczna niż żadna.

Od niechcenia wyszukałam opis groszku pachnącego.

„Do widzenia i dziękuję za przemiłe spędzony czas. Podarek na odchodne”.

Odchodne.

W następnej kolejności sprawdziłam opis ostów.

„Niesubordynacja”.

Uśmiechnęłam się ponuro.

No tak. Jednak mama zostawiła wiadomość. Odchodne i niesubordynację w japońskim wazonie. W jej przestronnej bawialni z setką akwarel na ścianach.

Z setką wizerunków kwiatów.

Zamrugalam i uśmiechnęłam się nieco szerzej.

– Enolu – wyszeptalam do siebie – to jest to.

„Moje”. Chryzantemy namalowane przez mamę.

Oprawione i wyeksponowane na ścianie saloniku.

Już wiedziałam.

Nie miałam jeszcze pomysłu na to, jak czegoś szukać za obrazkiem przedstawiającym chryzantemy i czego właściwie należałoby szukać, wiedziałam jednak, że mój tok rozumowania był słuszny i że trzeba by teraz iść do pokoi mamy i to sprawdzić. Właśnie teraz. W najczarniejszą godzinę nocy. Bez ryzyka, że ktoś mnie przydybie, zwłaszcza Mycroft.

Dziewczynki powinny bawić się lalkami. Przez lata kierowani najlepszymi intencjami dorośli zaopatrywali mnie w różnego rodzaju egzemplarze tych zabawek. Nienawidziłam ich i kiedy tylko mogłam, ukręcałam im główki. I dopiero niedawno okazało się, że można zrobić z nich użytek. Pusta czaszka blondwłosej lali była znakomitym schowkiem na klucz do pokoi mamy. Teraz wystarczyła chwila, żeby go stamtąd wydobyć.

Potem, przykręciwszy knot lampy naftowej i wzięwszy w dłoń lichtarz ze świecą, ostrożnie uchylałam drzwi swej sypialni.

Drzwi do mieszkania mamy znajdowały się na drugim końcu korytarza, dokładnie naprzeciwko pokoju gościnnego, w którym spał teraz smacznie mój brat Mycroft.

Na to przynajmniej liczyłam.

Oraz na to, że ma mocny sen.

Boso, z lichtarzem w jednej dłoni i bezcennym kluczem w drugiej, przemknęłam na palcach przez korytarz.

Za zamkniętych drzwi sypialni Mycrofta dobiegało ordynarne przerywane charczenie, przywodzące na myśl chrząkanie wygrzewającego się w słońcu wieprzka.

Jak widać, mój brat chrapał.

Miałam zatem pewność, że śpi.

Doskonale.

Starając się nie robić hałasu, wsunęłam klucz do dziurki i przekręciłam go delikatnie w zamku. A jednak zasuwa szczęknęła. Kiedy zaś obróciłam gałkę, zatrask ustąpił z brzękiem.

Regularny rytm Mycroftowego chrapania zakłóciło nagle prychnięcie.

Zamarłam, patrząc przez ramię na drzwi jego pokoju.

Usłyszałam odgłosy moszczenia się, jakby przewracał się na drugi bok. Łóżko zaskrzypiało. I po chwili znów rozległo się chrapanie.

Wślizgnęłam się do prywatnego saloniku mamy i zamknęłam za sobą drzwi. Wreszcie mogłam odetchnąć.

Uniosłam świecę i zaczęłam się rozglądać po ścianach.

Mama namalowała tyle wizerunków najróżniejszych kwiatów.

Przyjrzałam się wszystkim czterem ścianom, wysilając wzrok, by cokolwiek dostrzec w wątlym blasku świecy. W końcu udało mi się odszukać chryzantemy. Rdzawe i złociste, jak w mojej księdze szyfrów.

Wspięłam się na palce, żeby sięgnąć do dolnej krawędzi ramki, bardzo delikatnej, rzeźbionej, podobnie jak meble, w kształt bambusowych pędów krzyżujących się i zachodzących na siebie. Delikatnym ruchem odchyliłam akwarelę i zdjęłam ją z gwoździka. Przeszłam z nią do stolika herbacianego, na który odstawiłam lichtarz, i zaczęłam się przyglądać obrazkowi.

**ENOLA POSZUKAJ ZA MOIMI CHRYZANTEMAMI**

Często przyglądałam się, jak mama oprawia swoje malunki. Zaczynała od ułożenia na blacie ramki, ozdobną częścią do dołu. Potem umieszczała w niej czyściutką szybkę. Na szkle układała *passe-partout* z grubego, barwionego kartonu. Na jego górnej krawędzi rozprowadzała odrobinę kleju i przyklepiała do niej akwarelkę. Na to kładła prostokąt z cienkiego drewna pomalowanego na biało.



Małeńkie gwoździki wbite pod kątem w ramkę przytrzymywały całość w miejscu. Na samym końcu mama oklejała tył szarym papierem, by ukryć gwoździki i zapobiec zbieraniu się kurzu.

Odwrociłam obrazek z chryzantemami i spojrzałam na szary papier.

Wzięłam głęboki wdech i podważyłam paznokciem jedną z krawędzi, starając się zerwać cały papier szarpnięciem. Niestety, udarłam tylko wąski szary pasek. Ale to nic. Już dostrzegłam, że coś się pod nim kryje. Coś złożonego. Coś białego.

Liścik od mamy!

Liścik, w którym wyjaśnia przyczyny swego odejścia, wyraża żal i zapewnia o uczuciu, a może nawet zaprasza mnie, bym do niej dołączyła...

Serce biło mi głośno: błagam, błagam... A ja drżącymi palcami wyciągnęłam złożony kilkakrotnie arkusik sztywnego papieru.

Rozprostowałam go, cała się trzęsąc.

O tak, była to z pewnością kartka od mamy. Ale nie do końca taka, na jaką liczyłam.

W środku znajdował się bowiem banknot stu funtowy.

Większość ubogich ludzi i przez cały rok nie zbiera takiej kwoty.

Ale ja nie potrzebowałam od matki pieniędzy.

Do snu ukołysał mnie płacz. W końcu jednak zapadłam w kamienny sen i spałam aż do następnego ranka. Nikt nie zakłócał mi spokoju, poza panią Lane, która obudziła mnie na chwilę, by spytać, czy się aby źle nie czuję. Odpowiedziałam jej, że nie, że jestem tylko zmęczona, więc wyszła. Usłyszałam po chwili, jak mówi do kogoś, prawdopodobnie do swojego męża:

– Jest zupełnie załamana i trudno jej się dziwić, biedulce.

Kiedy obudziłam się wczesnym popołudniem, to – choć marzyłam już o śniadaniu i obiedzie – nie od razu wyskoczyłam z łóżka. Zamiast tego postanowiłam poleżeć przez chwilę w bezruchu i przeanalizować całą sytuację świeżym umysłem.

No, no. Chociaż liczyłam na coś zupełnie innego, pieniądze były nie do pogardzenia.

Mama przekazała mi w sekrecie sporą sumkę.

Z pieniędzy, które uzyskała, w co nie wątpię, od Mycrofta.

Dzięki oszustwu.

Czy wypada mi zatrzymać banknot dla siebie?

Nie były to pieniądze, na które Mycroft zapracował. Z tego, co udało mi się zrozumieć, otrzymał je w spadku po ojcu, jako pierworodny syn.

Była to scheda po szlachcicu. Zbierane przez wieki wpływy z dzierżawy, zasilane co roku nowymi wpłatami. Dlaczego? Dla dobra Ferndell Hall i jego terenów.

W bardzo dosłowny sposób pieniądze, podobnie jak żyrandole, zjawiły się w domu same.

W domu, który należał, lub powinien należeć, do mamy.

Prawnie ani mnie, ani jej nie przysługiwały żadne pieniądze. Ale z moralnego punktu widzenia... wiele, wiele razy mama tłumaczyła mi, jak niesprawiedliwe jest nasze ustawodawstwo. Gdyby kobieta, dajmy na to, zabrała się do pracy i napisała książkę, cały dochód z jej sprzedaży zgarnąłby jej mąż. Czy może być większy absurd?

Czy nie byłoby więc absurdem, gdybym oddała tych sto funtów mojemu bratu Mycroftowi, tylko dlatego że przyszedł na świat jako pierwszy?

Zawiłości prawne mogą iść się utopić w stawie, uznałam nie bez satysfakcji. Moralnie miałam pełne prawo do tych pieniędzy. Mama walczyła z poświęceniem, by wycisnąć je z majątku. I przekazała je w sekrecie córce.

Ile jeszcze tego było? Zostawiła mi wiele zaszyfrowanych wiadomości.

I w jaki sposób miałabym spożytkować te banknoty?

Przeczuwałam to już, w mglisty sposób. Dała mi przykład.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pięć tygodni później byłam gotowa.

To znaczy w oczach domowników Ferndell Hall byłam gotowa do wyjazdu na pensję.

Natomiast w głębi duszy planowałam zupełnie inne przedsięwzięcie.

W sprawie pensji: ściągnięta z Londynu krawcowa urządziła się w nieużywanym pokoju zajmowanym przed laty przez pokojówkę, powzdychała chwilę nad starą maszyną do szycia, a następnie dokładnie mnie zmierzyła. Talia: dwadzieścia cali. Sss... za dużo. Biust: dwadzieścia jeden cali. Sss... o wiele za mało. Biodra: dwadzieścia dwa cale... Sss... straszna niedoskonałość. Ale wszystkiemu można będzie zaradzić. W modnym czasopiśmie, które za rządów mamy nie miałyby prawa znaleźć się w Ferndell Hall, krawcowa wyczytała następujące ogłoszenie:

**„UZDATNIACZ: Idealny Gorset poprawiający niedoskonałości szczupłej figury. Nie da się opisać słowami uroku efektu, którego nie zapewni żaden inny z obecnych na rynku gorsetów. Subtelnie watowane elementy korygujące (łącznie z innymi udoskonaleniami łączącymi miękkość, lekkość i wygodę) można dopasować do gustu użytkowniczkii, która nosząc nasz gorset, będzie mogła się poszczycić przepięknie uformowanym i proporcjonalnym biustem. Gorset wysyłamy za pobraniem na zamówienie w zwykłej przesyłce pocztowej. Pełna gwarancja. Zwrot pieniędzy w przypadku niezadowolenia. Wystrzegajcie się bezwartościowych podróbek”.**

Zamówienie na rzeczony uzdatniacz zostało złożone, a krawcowa zaczęła szyc grzeczne, utrzymane w stonowanych barwach sukienki. Wszystkie miały wysokie, usztywnione fiszbinami kołnierzyki, których zadaniem było dławienie delikwentki. Wszystkie były niemożliwie wąskie w pasie, by udaremnić jakiegokolwiek próby zaczerpnięcia oddechu. Wszystkie miały spódnice, pod którymi mieściło się pół tuzina falbaniastych halek, ciągnących się po podłodze w sposób skutecznie utrudniający chodzenie. Krawcowa postanowiła uszyć dwie sukienki o obwodzie talii równym dziewiętnastu i pół cala, dwie kolejne przewidziane na talię o obwodzie dziewiętnastu cali, i kolejne, coraz węższe i węższe, jakby było sprawą oczywistą, że w miarę rośnięcia będzie mnie ubywać.

Tymczasem coraz bardziej lakoniczne depesze nadsyłane przez Sherlocka Holmesa informowały nas o jego bezowocnych poszukiwaniach. Dotarł do dawnych przyjaciół mamy, zarówno z kręgów artystycznych, jak i tych związanych z ruchem sufrażystek. Udał się nawet do Francji, by zasięgnąć języka u jej dalekich krewnych, Vernetów, jednak i tam niczego się nie dowiedział. Zaczęłam się znów o mamę niepokoić. Jak to możliwe, że tak słynny detektyw nie potrafi ustalić miejsca jej pobytu? Czyżby jednak spotkał ją jakiś wypadek? Albo gorzej, czy padła ofiarą jakiejś ponurej zbrodni?

Jednak mój sposób myślenia diametralnie się zmienił w dniu, w którym krawcowa skończyła pracę nad pierwszą z moich sukienek.

Wymagało to ode mnie przywdziania Idealnego Gorsetu (który nadesłano, zgodnie z obietnicą, w dyskretnej paczce zawiniętej w szary papier) z przednią i boczną regulacją, a do tego – jakżeby inaczej – Patentowanej Tiurniury, uniemożliwiającej mi od tej pory zajmowanie w fotelu pozycji opartej. Ponadto miałam nosić włosy zaczesane w koczek, podtrzymywany przez szpilki wpijające się boleśnie w skórę głowy, ozdobione grzywką ze sztucznych loków, przypiętą nad czołem kolejnymi szpikulcami. W nagrodę za to wszystko pozwolono mi założyć nową sukienkę i nowe, równie zabójcze w noszeniu buciki, żebyśmy mogła wędrować w nich po domu, ćwicząc się w sztuce bycia młodą damą.

Tego dnia pojęłam, z irracjonalną, acz całkowitą pewnością, dokąd udała się moja matka: w miejsce, gdzie nie ma szpilek do włosów, gorsetów (Idealnych czy Wszelkich Innych) ani Patentowanych Tiurniur.

Tymczasem Mycroft przysłał depezę informującą, że wszystkie formalności zostały załatwione. Miałam się stawić w takiej to a takiej pensji dla panien (czyli w domu grozy), dnia takiego a takiego. A Lane miał mnie tam wyekspediować.

Ja skupiłam się jednak na zupełnie innych przygotowaniach. Spędzałam możliwie jak najwięcej czasu, łażąc w szlafroku, nie wyściubiając nosa z sypialni i drzemiąc, co tłumaczyłam wyczerpaniem nerwowym. Pani Lane, która często przynosiła mi galaretkę z nówek cielęcych i inne tego typu specjały (nic dziwnego, że inwalidzi mizernieją!), zaniepokoiła się do tego stopnia, że ośmieliła się przeprowadzić rozmowę z Mycroftem, który uspokoił ją zapewnieniami, że w szkole z internatem, gdzie co rano będę spożywać owsiankę i zakładać wełniane ubrania niemalże na gołe ciało, z całą pewnością powrócę do zdrowia. Mimo to wezwała do mnie najpierw miejscowego aptekarza, a następnie ściągnęła aż z Londynu lekarza z Harley Street. Żaden z nich nie stwierdził, by mi cokolwiek dolegało.

Diagnoza była słuszna. Po prostu starałam się unikać gorsetów, szpilek do włosów, ciasno sznurowanych trzewików i tym podobnych katuszy, odsypiając przy tym zarwane noce. Nikt się nie zorientował, że każdego wieczoru, kiedy po długim nasłuchiowaniu miałam pewność, że domownicy udali się już do łóżek, wstawałam, by pracować w półmroku nad moją książeczką z szyframi. Rozsmakowałam się w odgadywaniu kolejnych wiadomości, ponieważ od zawsze uwielbiałam wyszukiwać rozmaite rzeczy, a zaszyfrowane polecenia mamy otwierały nowe możliwości oddawania się mojej pasji. Odkrywałam tajemne znaczenia, a następnie odkrywałam skarb. Każda rozwiązana zagadka skutkowała odnalezieniem kolejnych ukrytych w pokojach mamy bogactw. Niektóre z łamigłówek przekraczały zdolności mego umysłu; w pewnej chwili przymierzałam się nawet to zerwania szarego papieru na odwrocie wszystkich wiszących u mamy akwarelek... ale wydało mi się to mało ambitne. Zresztą malunków było naprawdę stanowczo zbyt wiele, a nie wszystkie zaszyfrowane wiadomości ich właśnie dotyczyły.

W mojej księdze szyfrów była na przykład strona ozdobiona rysunkiem bluszczu pnącego się po sztachetach płotu. Od razu, nawet nie wczytując się w maminą wiadomość, zakradłam się do jej saloniku i znalazłszy dwie akwarelki przedstawiające bluszcz, zerwałam naklejony z tyłu szary papier, nie znajdując niczego. Wróciłam z ponurą miną do swojego pokoju i zaczęłam się przyglądać zaszyfrowanemu zdaniu:

AOEJAZOŁAGEMŻÓŁ  
LNJYZRDKEOGAK

O co tu chodzi? Wyszukałam znaczenie bluszczu w *Mowie kwiatów*. Pnącze okazało się symbolem wierności. Wzruszyło mnie to odkrycie, ale nadal byłam w kropce. Minęło sporo czasu, zanim skojarzyłam, że można ułożyć moje imię z pierwszych trzech liter w górnym wierszu połączonych z dwiema pierwszymi literami w dolnym. Potem uświadomiłam sobie, że mama namalowała bluszcz oplatający sztachety w dość nienaturalny, zygzakowaty sposób. Bluszcz rósł od prawej do lewej.

Przewracając oczyma, zastosowałam ten sam zabieg i przepisałam tekst:

ŁÓŻKAMEGOGAŁEKDOZAJRZYJENOLA  
ŁÓŻKA MEGO GAŁEK DO ZAJRZYJ ENOLA  
Albo, czytając od prawej do lewej:  
ENOLA ZAJRZYJ DO GAŁEK MEGO ŁÓŻKA

Podreptałam więc na palcach w środku nocy, by odkręcić mosiężne gałki zdobiące łóżko mamy i odkryć, że w ich wnętrzu mieści się całkiem pokaźna liczba banknotów.

Musiałam też poznajdywać w swojej sypialni kryjówki, którym nie zagrozi odkrycie przez uzbrojoną w miotłkę do ścierania kurzu panią Lane. Zakończony podobnymi gałkami karnisze zasłon okazały się niezastąpione.

Wszystkiego tego trzeba było dopilnować, zanim państwo Lane zerwali się o świcie do pracy.

Podsumowując: moje noce były o wiele bardziej zajmujące i przyjemne niż moje dni.

Nie znalazłam tego, czego pragnęłam najmocniej – nie było żadnego liściku pożegnalnego, żadnej oznaki czułości czy słowa wyjaśnienia ze strony mamy. Ale, prawdę mówiąc, na tym etapie nie potrzebowałam już zbyt wielu wyjaśnień. Wiedziałam, że brnęła w swoje oszustwa z myślą o mnie, przynajmniej po części. Wiedziałam też, że pieniądze, które w tak przemyślny sposób mi podrzuciła, miały mi zapewnić wolność.

Dzięki mamie zatem, w zaskakująco pełnym nadziei, acz lekko nerwowym stanie ducha, pewnego słonecznego poranka u schyłku sierpnia wspierałam się na siedzisko środka lokomocji, który miał mnie wywieźć z jedyne go domu, jaki do tej pory znałam.

Lane umówił się z miejscowym rolnikiem w sprawie wypożyczenia konia i swoistej hybrydy, zwanej „dwukółką”: wozu do przewożenia bagażu z dwoma tapicerowanymi miejscami na koźle. Miałam zajeżdżać na dworzec wygodnie, choć nie do końca z klasą.

– Oby tylko nie padało – powiedziała drżącym głosem pani Lane, kiedy wyszła na podjazd, żeby mnie pożegnać.

Od paru tygodni panowała susza. Od chwili, w której wyruszyłam na poszukiwanie matki.

– To raczej niemożliwe – powiedział Lane, podając mi dłoń, żebym mogła wspiąć się w górę jak damie przystało. Jedną dłonią, odzianą w skórkową rękawiczkę, ujął mnie za rękę, drugą pochwycił moją białą, falbaniastą parasolkę. – Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

Uśmiechając się z góry do Lane'a i jego małżonki, usadziłam najpierw swoją tiurniurę, a następnie samą siebie obok Dicka, mojego woźnicy. Kuperek zajął cały tył siedziska. Pani Lane natomiast zadbała, by moje włosy zajęły równie wiele miejsca i zgodnie z najnowszą modą upięła je w ten sposób, że mój kapelusik, przypominający raczej obwiązany wstążkami słomiany talerz obiadowy, przechylał się mocno ku przodowi, ocieniając mi oczy. Miałam na sobie szarobury kostium, który wybrałam po dłuższym namyśle, ze względu na jego nieokreślony, brzydki kolor, dziewiętnaście i pół cala w talii, pełną spódnicę i kryjący szczelnie cały tułów żakiet. Dzięki niemu mogłam nie zapinać paska spódnicy, co umożliwiło mi poluzowanie sznurowania gorsetu w takim stopniu, że było mi prawie wygodnie. Mogłam oddychać.

Wkrótce będzie mi to bardzo potrzebne.

– Wygląda panienka jak dama w każdym calu – stwierdził Lane, robiąc krok w tył. – Przyniesie panienka zaszczyt Ferndell Hall, to pewne.

Gdyby tylko wiedział.

– Będziemy tęsknić – zakwiliła cicho pani Lane i przez chwilę poczułam wyrzuty sumienia, widząc, jak po jej życziwej, starej twarzy spływają łzy.

– Dziękuję – powiedziałam nieco sztywno, zakładając kaganiec wzruszeniu. – Dicku, możemy jechać.

Przez całą drogę, prowadzącą do bramy, wpatrywałam się w końskie uszy. Mój brat Mycroft wynajął ludzi do „uporządkowania” trawnika. Nie potrafiłabym patrzeć na zieloną połąc pozbawioną moich ukochanych krzewów dzikiej róży.

– Do widzenia, panienko Enolu, i powodzenia – powiedział stróż, otwierając nam bramę.

– Dziękuję ci, Cooper.

Kiedy koń truchtał już przez Kineford, westchnęłam i pozwoliłam oczom błądzić na boki, rzucając pożegnalne spojrzenie jatkowi, warzywniakowi, czarno belkowanym pobielanym budynkom krytym strzechą, pubowi, urzędowi pocztowo-telegraficznemu, posterunkowi policji, kolejnym pamiętającym Tudorów chatynkom o malusieńkich oknach, łypiących gniewnie spod ciężkich słomianych grzyw, zajazdowi, kuźni, probostwu, granitowej kaplicy z omszałym łupkowym dachem, nagrobkom chylącym się na wszystkie strony świata na przyległym cmentarzu...

I pojechalibyśmy dalej, lecz nagle – jak gdyby właśnie zaświtało mi to w głowie, zawołałam:

– Dicku, zatrzymaj się, chciałabym się pożegnać ze swym ojcem.

Ściągnął wodze, zatrzymując konia.

– Co panienka powiedziała?

W przypadku Dicka nieodzowne były wyczerpujące i proste wyjaśnienia.

– Pragnę odwiedzić grób mojego ojca – wyjaśniłam mu cierpliwie, słowo po słowie – i zmówić za niego modlitwę w kaplicy.

Biedny tato, z pewnością zachnąłby się na takie modły. Był logikiem i ateistą, a mama powiedziała mi kiedyś, że nie chciał być pochowany w trumnie i zażyczył sobie kremacji, jednak po zgonie nie spełniono jego prośby w obawie, że Kineford już nigdy nie zdoła się otrząsnąć po takim skandalu.

Dick zaoponował, mówiąc rozwlekłe zatroskanym głosem:

– Mam panienkę zawieźć na kolej.

– Jest jeszcze mnóstwo czasu. A czekając na mnie, możesz wstąpić do pubu na kufelek piwa.

– O? Tak! – Zawrócił konia i podjechał pod drzwi kaplicy. Siedzieliśmy przez chwilę w bezruchu, póki nie przypomniał sobie zasad dobrego wychowania; wówczas to zabezpieczył lejce, zsiadł z kozła i przeszedł na drugą stronę, by pomóc mi zsiąść.

– Dziękuję ci – powiedziałam, wysuwając opiętą w rękawiczkę dłoń z jego brudnej łapy.  
– Podjedź tu po mnie za dziesięć minut.

Nonsens. Wiedziałam dobrze, że spędzi w barze co najmniej pół godziny.

– Tak, panienko. – Dotknął uniżenie czapki.

Odjechał, a ja, szeleszcząc halkami i drobiąc krocзки, weszłam do kaplicy.

Tak jak się tego spodziewałam i na co bardzo liczyłam, wewnątrz nie było żywej duszy. Po uważnym przejrzeniu pustych ławek uśmiechnęłam się złośliwie, wrzuciłam parasolkę do skrzyni z datkami dla ubogich, zadarłam wszystkie spódnice aż do kolan i pognałam do tylnego wejścia.

Wybiegłam na zalany słońcem cmentarzyk.

Klucząc zygzakowatą ścieżką, wydeptaną między przekrzywionymi nagrobkami, pędziłam, pilnie bacząc, by kaplica zasłaniała mnie przed wzrokiem świadków, którzy mogliby przechodzić uliczką. Kiedy dotarłam do żywopłotu u stóp kościelnego wzgórza, pokonałam jednym susem przełaz, skręciłam w prawo, przebiegłam jeszcze kawałek drogi i tak! Po stokroć tak! Czekał na mnie mój rower, ukryty w żywopłocie, tam gdzie go wczorajszego dnia zostawiłam. A raczej wczorajszej nocy, niedługo po dwunastej, w blasku zbliżającego się do pełni księżyca.

Na rowerze zamocowałam dwa pojemniki: kosz z przodu i skrzynkę z tyłu, oba wypełnione po brzegi kanapkami, piklami, jajkami na twardo, butelkami z wodą, bandażami na okoliczność wypadku; był tam także zestaw do naprawy opon, pumpy, moje wygodne, stare czarne buty z cholewami, szczoteczka do zębów i tym podobne.

Na sobie miałam też dwa pokaźne, ukryte pod szaroburym strojem pakunki: jeden z przodu, drugi z tyłu. Frontowy był dość nietypowym uzdatniaczem biustu, który uszyłam sobie potajemnie z materiałów wykradanych z garderoby mamy. Podobnie jak zamocowany z tyłu zamiennik tiurniury.

Dlaczego opuszczając dom, mama miała na sobie suknię z ogonem, pod którym nie umieściła jednak konstrukcji z końskiego włosa?

Odpowiedź wydała mi się oczywista: w celu ukrycia tam bagażu niezbędnego podczas ucieczki.

A ponieważ natura poskąpiła mojej klatce piersiowej kobiecości, rozwinęłam maminy pomysły, tworząc kolejne schowki. Najrozmaitsze, aprobowane przez modę uzdatniacze, wypychacze i upiększacze zostały w Ferndell Hall. A konkretnie tkwiły sobie w okapie mojego kominka. W ich miejsce zainstalowałam w gorsiecie rozmaite woreczki – czyli dalsze sztuki bagażu – wypełnione niewymawialnymi owiniętymi wokół zwitków banknotów. Dodatkowo złożyłam starannie wybraną zapasową suknię i podczepiłam ją między halkami, idealnie wypełniając tren sukni. W kieszeniach poupychałam: chustkę do nosa, kostkę mydła, grzebień i szczotkę, moją bezcenną obecnie książeczkę szyfrów, sole trzeźwiące, słodkości na podtrzymanie energii... Doprawdy, rozmieściłam na sobie tyle niezbędnych do życia rzeczy, że wypełniłyby pokaźny kufer.

Wskoczyłam na rower. Halki i spódnice skromnie przykryły moje kostki, a ja popedałowałam przez pola.

Wytrawny rowerzysta może się obyć bez utwardzonej drogi. Chwilowo trzymałam się miedz i pastwisk. Ziemia była spieczona na kamień, nie zostawię zatem żadnych śladów.

Jutro, myślałam, mój brat, wielki detektyw Sherlock Holmes, podejmie próbę odszukania zaginionej siostry przy okazji poszukiwania zaginionej matki. Dojdzie do wniosku, że uciekłam jak najdalej od niego. Więc postąpię inaczej. Udam się jak najbliżej miejsca jego pobytu.

Mieszka w Londynie. Podobnie Mycroft. Z tego powodu, a także dlatego, że jest to największe i najbardziej niebezpieczne miasto świata, będzie ono ostatnim miejscem, do którego mogłabym się w ich mniemaniu udać.

I dlatego tam właśnie postanawiam dotrzeć.

Prawdopodobnie pomyślą, że będę podróżować przebrana za chłopaka. Prawdopodobnie słyszeli już o moich pumpach, a poza tym u Szekspira i w innych dziełach literackich młodociane uciekinierki zawsze przebierały się za chłopców.

I z tego właśnie powodu ja tak nie postąpię.

Wybiorę sobie przebranie, którego moi bracia będą się najmniej spodziewali, ponieważ zapadłam im w pamięć jako nieciekawe, wyrosnięte nad wiek dziecko w sukience ledwo zakrywającej kolana.

Przebiorę się za dorosłą kobietę.

A potem spróbuję odnaleźć matkę.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Mogłabym popedałować prosto do Londynu głównym traktem, nie wchodziło to jednak w rachubę. Zobaczyłoby mnie wówczas zbyt wiele osób. Nie, mój plan dotarcia do Londynu polegał po prostu i – miałam nadzieję, całkowicie wbrew logice – na braku jakiegokolwiek planu. Skoro sama nie będę miała zielonego pojęcia, co dokładnie robię, to jakim cudem domyślą się tego moi bracia?

Oczywiście, będą snuć rozmaite hipotezy. Stwierdzą: „Matka zabrała ją kiedyś do Bath, więc być może tam się właśnie udała”. Albo „W pokoju miała książkę o Walii, w której pozaznaczała ołówkiem kilka miejsc na mapie, może tam teraz właśnie przebywa” (miałam nadzieję, że znajdą książkę, którą schowałam w domku dla lalek, jako fałszywy trop. *Mowę kwiatów*, która okazała się zbyt duża, żebym mogła ją ze sobą zabrać, ukryłam wśród setek innych opasłych tomów w bibliotece na parterze). Mycroft i Sherlock zastosowaliby metodę dedukcji; dlatego też rozum podpowiadał mi, że powinnam się zdać na przypadek. Niech krajobraz wytyczy mi trasę podróży na wschód. Wybiorę najbardziej skaliste przejścia i najmniej dostępne tereny, redukując ryzyko pozostawienia zbyt wielu śladów.

Mniejsza o to, gdzie trafię pod koniec tego czy kolejnego dnia. Będę się żywić chlebem i serem, będę spać pod gołym niebem niczym Cyganka, aż w końcu, błędząc na oślep, trafię na jakąś linię kolejową. Idąc wzdłuż torów, w jedną albo drugą stronę, dojdę wreszcie do jakiejś stacji, i jeśli tylko nie będzie to Chaucerlea (gdzie bracia z pewnością będą o mnie wypytywać), to zadowolę się każdą z nich, ponieważ wszystkie tory w Anglii prowadzą do Londynu.

Żegnajcie: siedemnastocalowa talio, owsianko na śniadanie, welenko zakładana na gołe ciało, widoki na zamążpójście, umiejętności godne młodej damy i temu podobne, i tak dalej, i dalej.

Pełna radosnych myśli pokonałam, pedałuując dziarsko, pastwisko dla krów, przecięłam trawiastą miedzę i wjechałam na wrzosowisko, jakże dalekie od znanych mi stron.

A na niebie nad moją głową skowronek śpiewał równie radośnie jak moje serce.

Trzymałam się bocznych dróg i unikałam skupisk ludzkich, więc mało kto mnie po drodze widział. Od czasu do czasu jakiś rolnik spoglądał znad pola rzepy na pannę z dobrego domu, jadącą na rowerze, jednak nie dziwił się zbyt, ponieważ ostatnimi czasy przybyło zapalonych cyklistek. Sama minęłam się na zwirowej drodze z odzianą w beże kobietę i pozdrowiłyśmy się skinieniem głowy. Rowerzystka aż promieniała od upału i wysiłku. Konie się pocą, mężczyźni perspirują, kobiety natomiast promienieją. Z pewnością ja także wyglądałam promiennie. W rzeczy samej, czułam, jak skutki promienienia ciurkają mi po ciele pod gorsetem, którego drucziany stelaż kłuł mnie w wyjątkowo paskudny sposób pod pachami.

Kiedy słońce było już w zenicie, poczułam pełnię gotowości do chwili wytchnienia i spożycia posiłku, tym bardziej że poprzedniej nocy nie zmrzyłam oka. Kiedy zasiadłam na miękkim mchu pod rozłożystym wiązem, ogarnęła mnie nieprzeparta chęć położenia się i ucięcia sobie krótkiej drzemki. Jednak kiedy trochę sobie podjadłam, przemogłam senność, wskoczyłam z powrotem na rower i popedałowałam dalej; wiedziałam, że muszę się oddalić od domu na jak największą odległość, zanim rozpocznie się pościg.

Tego popołudnia, jakby na zamówienie po moich rozmyślaniach o Cyganach, spotkałam tabor nomadów, podróżujących kolorowymi wozami-domami o półokrągłych dachach. Większość szlachetnie urodzonych osób gardziła Cyganami, jednak mama pozwalała im od czasu do czasu na

rozbitcie obozu na terenie naszego majątku, ku mojej dziecięcej radości. Teraz także zatrzymałam się, żeby popatrzeć na ich przejazd. Zachwyciły mnie konie najróżniejszej maści, rozbrykane i potrząsające grzywami, które mimo upału były tak pełne wigoru, że woźnice musieli je powściągać, by nie wyrwały do przodu. Pomachałam przejeżdżającej grupie bez najmniejszych obaw, ponieważ kto jak kto, ale Cyganie na pewno nie zechcą rozmawiać o mnie z policją. Mężczyźni o ponurych minach udawali, że mnie nie widzą, ale niektóre z kobiet, jadących z odkrytymi głowami, odkrytymi szyjami i odkrytymi ramionami, odpowiadały mi pozdrowieniem, a wszystkie bez wyjątku obdarte dzieciaki machały rączkami, piszczały i nawoływały, prosząc o jakiś datek. Bezwstydna, brudna, złodziejska banda, jakby powiedziała pani Lane. I pewnie miałyby rację. A jednak, gdybym miała w kieszeni jakieś miedziaki, z pewnością bym je rzuciła proszącym.

Tego popołudnia spotkałam na swej drodze wędrownego handlarza, idącego obok wozu obwieszonych garnkami, parasolkami, koszykami, gąbkami, klatkami dla ptaków, tarami do prania i całym mnóstwem innych drobiazgów. Zatrzymałam go i poprosiłam o pokazanie wszystkiego, co ma, od miedzianych czajników po grzebyki z szylkretu do wpinania we włosy, by ukryć prawdziwy powód, dla którego go zaczepiłam: kupno torby podróżnej.

Przełożyłam nowy nabytek przez kierownicę i popedałowałam dalej.

Widziałam też innych wędrowców, poruszających się pieszo lub korzystających z najróżniejszych środków lokomocji, od zaprzężonych w czwórki koni dylizansów po ciągnięte przez osły wózki, ale nie pamiętam szczegółów, ponieważ znużenie przytępiło moją spostrzegawczość. Kiedy zapadła noc, bolało mnie dosłownie wszystko i czułam się zmordowana jak nigdy dotąd. Szłam teraz po trawiastym zboczu, przystrzyżonym niemalże na łyso przez owce, pchając pod górę rower i opierając się o niego; celem mojej wędrówki był bukowy zagajnik na szczycie niewielkiego wzgórza, przetykanego wapiennymi skałami. Kiedy weszłam między drzewa, rzuciłam rower tak, jak stał, a sama padłam na pokrytą zeszlórocznym listowiem ziemię; z nadejściem nocy moje myśli nabrały barw równie mrocznych, jak barwne były o poranku, dręczyła mnie bowiem obawa, że nazajutrz mogę już nie mieć dość sił, by ponownie wsiąść na rower.

Mogłabym od razu zasnąć, tu i teraz. Chyba że... i po raz pierwszy pomyślałam: a jeśli zacnie padać?

Mój plan, polegający na nietrzymaniu się żadnego planu, wydawał się z każdym łapczywym łykiem powietrza coraz bardziej niemądry.

Po krótkiej chwili rozpaczy zdobyłam się jednak na wysiłek, by chwiejnie wstać i pod osłoną mroku zdjąć kapelusz, wyciągnąć szpilki i ściągnąć z siebie cały nałożony na ciało balast, łącznie z narzędziem tortur w postaci gorsetu. Byłam zbyt utrudzona, żeby nawet pomyśleć o jedzeniu; położyłam się ponownie na ziemi i – mając za jedyne okrycie swoje halki i mocno już wybrudzony szarobury kostium – momentalnie usnęłam.

Ale że nabrałam ostatnio zwyczajów nocnego marka, obudziłam się w środku nocy.

Nie czułam już senności, tylko dojmujący głód.

W górze nie świecił księżyc. Niebo pokryło się chmurami. Rzeczywiście mogłoby zacząć padać. A ponieważ panowały egipskie ciemności, których nie rozświetlał księżyc ani nawet gwiazdy, nie widziałam nic i nie mogłam trafić do zapasów, które przywozłam w zamocowanej na rowerze skrzynce. Z tej samej przyczyny nie mogłam sięgnąć po pudełko zapalek, które w swojej głupocie również zostawiłam na rowerze. Będzie cud, jeśli uda mi się do niego po omacku trafić.

– A niech to szlag – zamamrotałam nieprzyzwoicie, przedzierając się przez buczynę. Gałęzie ocierały mi się boleśnie o twarz i zaczepiały o ubranie.

Jednakże w chwilę potem zapomniałam o jedzeniu. Stałam jak wryta i patrzyłam z niedowierzaniem. W niewielkim oddaleniu lśniły światła.

Latarnie gazowe. Mrugały na mnie z dala jak uwięzione na ziemi gwiazdy, połyskując między pniami rosnących na wzgórzu drzew.

Wioska. Wdrapałam się na wzniesienie, nie przeczuwając prawdy i nie mając sił, by ją poznać: po jego drugiej stronie leżała wioska.



A raczej miasteczko, skoro opłacało się tam doprowadzić gaz. Miasteczko, które być może łączyła z resztą świata kolej.

Zdażyłam tylko dokończyć tę myśl, kiedy do moich uszu dobiegł niesiony nocnym powietrzem przeciągły, tenorowy gwizd lokomotywy.

Nazajutrz, bardzo, bardzo wczesnym rankiem wymknęłam się z bukowego lasu. Na tyle wcześnie, by mieć nadzieję, że niewiele osób, a może i żadna, zdoła mnie zobaczyć. Nie, żebym się bała rozpoznania. Ale dziwnie by to wyglądało, gdyby porządnie ubrana wdowa, poruszająca się pieszo, z torbą podrózną w rękę, wychyłała nagle spośród drzew po noclegu w plenerze.

Tak, wdowa. Odziana od stóp do głów w żałobny strój, który wygrzebałam w garderobie mamy. Przebranie to, świadczące o tym, że byłam przedtem mężatką, nie tylko postarzało mnie o co najmniej dziesięć lat, lecz także pozwalało chodzić w moich wygodnych, znoszonych czarnych botkach bez obaw, że ktoś będzie się im przypatrywał, jak również związać włosy w skromny i łatwy w utrzymaniu koczek. Ale najlepsze było to, że przebranie wdowy zapewniało mi nierozpoznawalność. Z ronda mojego czarnego filcowego kapelusza zwisała gęsta czarna woalka, zasłaniająca całą głowę; zupełnie jakbym planowała dokonanie napadu rabunkowego na ul. Na dłoniach miałam rękawiczki z kozłęcej skórki – zadbałam o ten szczegół, ponieważ nie posiadałam obrączki; natomiast całe ciało od podbródka po czubki czarnych butów spowijał szczelnie matowy czarny jedwab.

Dziesięć lat temu mama była szczuplejsza, więc jej suknia leżała na mnie jak ulał i nie musiałam nawet ściągać przesadnie tasiemek gorsetu; prawdę mówiąc, obyłabym się bez niego, gdyby nie to, że służył mi jako magazyn zaimprovizowanych bagaży. Wszystko, co przewoziłam na rowerze, poprzekładałam do torby lub rozmieściłam po kieszeniach. Mama nie znosiła dyndających u ręki torebek, więc pilnowała, by jej suknie miały głębokie kieszenie, w których mogła pomieścić chusteczkę do nosa, dropsy cytrynowe, szylingi, pensy i inne niezbędne drobiazgi. Niech będzie błogosławiony uparty i niezależny umysł mojej matki, dzięki której opanowałam także jazdę na rowerze. Z wielkim żalem pożegnałam swego wiernego mechanicznego wierzchowca, porzucając go w bukowym zagajniku, jednak ani przez chwilę nie żałowałam, że został tam również mój paskudny szarobury kostium.

W szarej poświacie budzącego się dnia przemknęłam na dół pod osłoną żywopłotu i dotarłam do dróżki. Byłam całkiem zeszywniała po wczorajszych wyczynach, jednak szybko pojęłam, że obolałe mięśnie będą dla mnie wybawieniem, wymuszały bowiem powolność ruchów. Tak więc krocząc z godnością, licującą z moim strojem, przeszłam dróżką do zwirowanej szosy, wiodącej do miasteczka.

Świt przeszedł już w zamglony wschód słońca, zwiastujący możliwość opadów. Sklepiarze otwierali okiennice witryn, sprzedawca lodu zaprzęgał swoją łękowatą chabetę do wozu, ziewająca pokojówka wylała wiadro czegoś niegodnego słownego opisu do rynsztoka, jakaś kobiecina w łachmanach zamiatała przejście dla pieszych. Nieletni gazeciarze znosili paczki porannego wydania na brzeg chodnika. Siedzący na rogu sprzedawca zapalek – żebrak raczej – krzychał:

– Niech stanie się światłość! Może jaśnie pan kupi zapaleczkę?

Część przechodniów w cylindrach mogła wziąć to zawołanie do siebie, lecz ulicą przechodzili także robotnicy w czapkach i flanelowych koszulach oraz panowie równie obdarci jak sprzedawca, ten jednak tytułował każdego z nich jaśnie panem. Oczywiście, nie zwrócił się do mnie z propozycją kupna zapalki, ponieważ damy nie paliły.

NAJLEPSZY CYRULIK W BELVIDERE – głosiły złote litery namalowane na szklanej szybie drzwi obok pomalowanego w czerwone i białe spirale słupa. Aha, słyszałam o miejscowości Belvidere, znajdowała się w zadowalającej mnie odległości od Kineford. Rozglądając się dalej, zobaczyłam także napis KASA OSZCZĘDNOŚCI MIASTA BELVIDERE, wyryty na kamiennym gzymsie stojącego nieopodal okazałego budynku. Świetnie: dotarłam do celu. Całkiem nieźle – pomyślałam sobie, bacząc pod nogi, by nie wdepnąć w końskie łajno – jak na dziewczátko o ograniczonej pojemności czaszki.

– Cebula, ziemniaki, pasternak! – wołał mężczyzna pchający taczkę.

– Świeżutkie goździki do butonierki dla dżentelmena! – wołała kobieta, zachwalając kwiaty ze

swego koszyka.

– Bulwersujące porwanie! Czytajcie, czytajcie! – nawoływał gazeciarz.

Porwanie?

– Wicehrabia Tewksbury uprowadzony z Basilwether Hall!

Bardzo bym chciała o tym poczytać, ale najpierw musiałam ustalić, gdzie jest dworzec kolejowy.

W tym celu postanowiłam podążyć za dżentelmenem w cylindrze, rękawiczkach i fraku, usiłującym zamocować świeżutki goździk w pole tego ostatniego. Ubrał się elegancko, więc być może zaplanował całodzienny wypad do City.

Moja hipoteza szybko znalazła potwierdzenie w postaci hurgotu nadjeżdżającej lokomotywy, który wkrótce przerodził się w huk, od którego zatrzęsł się trotuar pod moimi stopami. I chwilę potem zobaczyłam spadzisty dach i wieżyczki budynku dworca. Zegar na wieży przed chwilą wybił wpół do ósmej, a do moich uszu dobiegł zgrzyt i pisk hamulców wtaczającego się na stację pociągu.

Nigdy się nie dowiem, czy mój nieświadomy towarzysz wybierał się do Londynu, czy nie, ponieważ kiedy tylko weszłam na peron, moją uwagę przykuły rozgrywające się tam wydarzenia.

Na peronie zebrał się tłum gapiów. Kilku konstabli utworzyło kordon, by utrzymać ciekawskich w ryzach, podczas gdy kilku innych funkcjonariuszy w granatowych mundurach ruszyło na spotkanie nowo przybyłego pociągu, składającego się z lokomotywy i pojedynczego wagonu, oznakowanego budzącym szacunek napisem: „EKSPRES POLICYJNY”. Z wagonu wysiadło kilku panów w pelerynach podróżnych. Okrycia te zamiatały ziemię w imponujący sposób, jednak nauszники uszytych z tego samego sukna czapek, związane na szczycie głowy tasiemkami, wyglądały jak królicze uszy, czyli dość pocieszenie. Czyniłam te obserwacje, przeciskając się przez tłum w stronę kasy biletowej.

Czułam się trochę tak, jakbym się znalazła w maglu, ponieważ wszędzie wokół huczało od uwag i plotek wymienianych podekscytowanymi głosami.

– To Scotland Yard, rzecz jasna. Detektywi po cywilnemu.

– Słyszałem, że posłali po samego Sherlocka Holmesa.

O, Boziu... Zatrzymałam się i nadstawiłam ucha.

– Ale nie przyjedzie, ze względu na sprawy rodzinne...

Wypowiadający te słowa szedł – niech to licho – w przeciwnym kierunku niż ja, i nie usłyszałam dalszego ciągu rozmowy o moim bracie. W zamian za to dotarły do mnie w obfitości strzępki innych informacji.

– Moja kuzynka jest tam drugą zastępczynią głównej pokojówki na piętrach...

– Ludziska powiadają, że księżna zupełnie postradała zmysły.

– ...i mówią, że...

– Podobno zamieszany jest w to książę.

– Stary Pickering z banku mówi, że wciąż czekają na żądanie okupu.

– Po co porywać takiego chłopaczka, jeśli nie dla okupu?

Hmm. Wygląda na to, że do „bulwersującego porwania” doszło niedaleko stąd. I rzeczywiście, detektywi wsiedli do bardzo ładnego lando, a woźnica skierował się w stronę zielonego parku, położonego w niewielkiej odległości od stacji. Sponad wierzchołków drzew wyłaniały się szare gotyckie wieże – jak domyślałam się z urywków rozmów – samego Basilwether Hall.

To szalenie ciekawe.

Ale po kolei. Najpierw trzeba kupić bilet. Z dużego rozkładu jazdy, wiszącego w gablocie na ścianie dworca, wynikało jednak, że nie ma powodu, żebym się aż tak spieszyła z wyjazdem. Pociągi do Londynu kursowały co godzinę i to do późnych godzin wieczornych.

– Zaginał syn księcia! Czytajcie, czytajcie! – zawołał piskliwie stojący pod gablotą gazeciarz.

Chociaż nie wierzę w zrzędzenia opatrności, zaczęło mnie zastanawiać to, dlaczego ślepy los rzucił mnie właśnie tutaj, gdzie dokonano przestępstwa, podczas gdy mój brat, słynny detektyw, przebywał w zupełnie innym miejscu. Moje myśli zaczęły zbaczać na manowce, a czar manowców

zwiódł mnie na pokuszenie.

Postanowiłam nie iść do kasy biletowej i zamiast tego kupiłam gazetę.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Weszłam do mieszczącej się przy stacji Belvidere herbaciarni i zajęłam stolik w kącie. Usiadłam tyłem do sali, by móc bez obaw podnieść woalkę. Była to czynność niezbędna z dwóch powodów: chciałam się posilić herbatą i gorącymi bułeczkami oraz przyjrzeć się podobnie młodocianego wicehrabiego Tewksbury z Basilwether.

Zajmująca niemal połowę pierwszej strony gazety pozowana fotografia przedstawiała chłopca ubranego w... Niech niebo się nad nim zlituje, mam nadzieję, że nie każą mu biegać na co dzień w tych aksamitach i żabotach – ale jak inaczej miałyby biegać posiadacz takich blond włosów do ramion ufryzowanych w artystyczne loki? Od razu widać, że jego matka należy do wielbicielek „Małego lorda Fauntleroya”, przeklętej książki, która stała się przyczyną udręk dla całego pokolenia chłopców z dobrych domów. Wystrojony zgodnie z wymogami mody à la Fauntleroy, mały lord Tewksbury miał na sobie pantofle z lakierowanej skóry z klamerkami, białe pończochy, czarne aksamitne spodnie do kolan z satynowymi tasiemkami po bokach, satynową szarfę przewiazaną w pasie oraz czarne aksamitne wdzianko z powiewnymi mankietami i żabotem z białej koronki. Patrzył w obiektyw pozbawioną wyrazu twarzą, jednak wydawało mi się, że zacisnął nieco zęby.

### NIELETNI DZIEDZIC ZAGINAŁ

#### W STRASZLIWYCH OKOLICZNOŚCIACH

– krzyczał nagłówek.

Sięgnęłam po kolejną bułeczkę i czytałam dalej:

„Wczesnym środowym rankiem seria wydarzeń o najwyższym stopniu zatrważających konsekwencjach wstrząsnęła mieszkańcami Basilwether Hall, siedziby rodowej książąt Basilwether, położonej na obrzeżach prężnie rozwijającego się miasteczka Belvidere. Jeden z młodszych ogrodników zauważył, że szyba przeszklonej sali bilardowej została wybita z zewnątrz. Służbę postawiono w stan najwyższej gotowości, kiedy okazało się, że ktoś wyłamał zamek drzwi prowadzących z sali do wnętrza domu. Na drzwiach i framudze było widać głębokie ślady po użyciu noża. Majordomus na wieść o włamaniu pobiegł do kredensu ze srebrami, jednak nie stwierdził, by cokolwiek stamtąd zginęło. Również zastawa stołowa i świeczniki w sali jadalnej pozostały nienaruszone; nie brakowało też żadnego z cennych przedmiotów zgromadzonych w bawialni, na galerii, w bibliotece i innych pomieszczeniach rozległej rezydencji Basilwetherów. Żadne z pozostałych drzwi na parterze nie nosiły śladów włamania. Dopiero kiedy pokojówki obsługujące piętro zaczęły roznosić dzbanki z wrzątkiem z myślą o porannych ablucjach członków książęcej rodziny, stwierdzono, iż drzwi sypialni młodego wicehrabiego Tewksbury, markiza Basilwether, są szeroko otwarte. Poprzewracane i porozrzucane po całym pomieszczeniu sprzęty wskazywały niezbicie, że doszło tam do jakiejś rozpaczliwej szamotaniny, natomiast szlachetnie urodzony młodzieniec zniknął bez śladu. Wicehrabia, dziedzic fortuny lorda Basilwethera i jego jedyne męski potomek, zaledwie dwunastoletni...

– Dwunastoletni? – wykrzyknęłam z niedowierzaniem.

– Słucham panią? – rozległ się za mną głos kelnerki.

– Nie, nic. – Pospiesznie odłożyłam gazetę na blat i opuściłam uniesioną woalkę. – Sądziłam,

że jest młodszy. – O wiele młodszy, sądząc po fryzowanych lokach i stroju jak z bajki. Dwunastolatek! No nie, chłopak powinien nosić solidną wełnianą kurtkę i pumpy, kołnierzyk typu eton z krawatką, a włosy mieć krótko i po męsku przystrzyżone...

Podobne spostrzeżenia, uświadomiłam sobie nagle, miał na mój temat Sherlock, kiedy po raz pierwszy ujrzał mnie po latach niewidzenia.

– Mówi pani o biednym paniczku Tewksbury? Tak, matka traktowała go jak małe dziecko. Podobno rozpacza z żalu, nieszczęśliwa pani.

Odsunęłam krzesło, położyłam na stoliku półpensówkę i wyszłam z herbaciarni. Powierzyłam sakwoją bagażowemu ze stacji, po czym ruszyłam w stronę Basilwether Park.

To będzie coś znacznie lepszego niż szukanie kolorowych kamyczków i ptasich gniazd. Zguba była niezwykle cenna, a ja chciałam być jej znalazczynią. I czułam, że mogę nią być. Domyślałam się, gdzie może przebywać lord Tewksbury, chociaż nie potrafiłabym tego dowiedzieć. Krocząc długą aleją, wysadzaną po obu stronach topolami, szłam jak w transie, wyobrażając sobie miejsca, w które chłopak mógł się udać.

Pierwsza brama była otwarta, przy drugiej jednak zatrzymał mnie stróż, któremu powierzono misję odprawiania ciekawskich ludzi, reporterów z gazet i tym podobnych intruzów. Rzucił w moją stronę pytanie:

– Nazwisko szanownej pani?

– Enola Holmes – odparłam bez namysłu.

I w tej samej chwili poczułam się tak niewybaczalnie głupia, że zapragnęłam paść na miejscu trupem. Planując ucieczkę, wybrałam sobie oczywiście nową tożsamość: Ivy Meshle. Imię Ivy na cześć symbolizującego wierność bluszczu, oraz anagramowe nazwisko Meshle. Wystarczy podzielić „Holmes” na dwie sylaby: hol mes, odwrócić ich kolejność, mes hol, uzyskując Meshol, i zapisać to tak, jak to się wymawia, czyli Meshle. Mało kto mógłby mnie skojarzyć z jakąkolwiek osobą w Anglii („Czy jest pani spokrewniona z Meshlami z Tottering Heath w hrabstwie Sussex?”), a tym bardziej z rodziną Holmesów. Ivy Meshle. Tak sprytny kamuflaż. A teraz, jak ostatnia idiotka, przedstawiłam się stróżowi jako Enola Holmes.

Sądząc jednak po niezmiennym wyrazie jego twarzy, moje imię i nazwisko z niczym mu się nie kojarzyły. Jeszcze. Jeśli rozpoczęło się już polowanie na zaginioną, to najwidoczniej nagonka nie dotarła na razie do rewiru tego pana.

– A w jakiej przybywa pani sprawie, pani... mm... Holmes? – zapytał.

Palnąwszy tak piramidalne głupstwo, postanowiłam obrócić je na swoją korzyść.

– Ponieważ pan Sherlock Holmes nie mógł tu przybyć, żeby zająć się sprawą osobiście, poprosił mnie o zorientowanie się w sytuacji – odpowiedziałam.

Brwi stróża uniosły się. Rzucił szybko:

– Jest pani spokrewniona z detektywem?

– W rzeczy samej – odparłam, usiłując zapanować nad tembrem głosu i przeszłam obok stróżówki, wkraczając na teren posiadłości Basilwether Park.

Moim oczom ukazały się podjazd i dom, który pomieściłby dziesięć takich dworów jak nasz Ferndell Hall. Jednak nie skierowałam kroków w stronę szerokich marmurowych schodów i ukrytego za imponującą kolumnadą wejścia. Nie ciekawiła mnie ani szlachecka rezydencja, ani otaczające ją wymuskane ogrody, pełne strzyżonych misternie krzewów i rosnących równiutko róż. Skręciłam przed podjazdem w bok i przeszłam przez rozległy trawnik do miejsca godnego miana Basilwether Park, czyli do zadrzewionej części majątku, okalającej dom i ogrody.

Nie był to las, tylko właśnie park. Weszłam między drzewa, spodziewając się zobaczyć chaszczę, polacie mchu, miłe sercu jeżyny. Zamiast tego ujrzałam miękką trawę, przystrzyżoną tak krótko, że z powodzeniem można by grać na niej w krykieta.

Bardzo uładzone miejsce. Szłam dalej, nie stwierdzając istnienia żadnych interesujących zagłębień terenu, zakamarków czy grot. Tereny zielone wokół Basilwether Hall były płaskie i bez wyrazu. Cóż za zawód, pomyślałam, wracając na trawnik. Jedyna inna możliwość to...

– Pani Holmes! – zakrzyknął desperacko sopranowy głos.

Odwrociłam się, by ujrzeć zrozpaczoną matkę, czyli księżnę we własnej osobie, pędzącą w moim kierunku. Rozpoznałam w niej panią na włościach dzięki wystawności jej codziennego ubioru, składającego się ze zdobionej suto szamerunkami i haftem srebrnoszarej pelerynki, zarzuconej na marszczoną bluzkę w barwie lilaróż, i plisowanej spódnicy z szaroróżowej satyny. Bogactwa nie zdradzały bowiem lśniące na zatroskanej twarzy łzy, a szlachectwo nie licowało z tym, jak frunęła ku mnie między drzewami, niczym skrwawiony łabędź, ze skrzydłami niemal białych już włosów wymykających się spod czepka i trzepoczących u jej ramion.

Zobaczyłam też pędzące za nią dwie przerażone służące. Sądząc po fartuszkach i czepeczkach z białej koronki, musiały wybiec za nią z domu tak, jak stały.

– Jaśnie pani – wołały perswadującym tonem. – Jaśnie pani, proszę wrócić i napić się herbaty. Bardzo panią prosimy, zanosi się na deszcz.

Księżna jednak pozostawała głucha na ich błagania.

– Pani Holmes. – Poczułam uścisk pozbawionych rękawiczek, drżących dłoni. – Jest pani kobietą i ma kobiece serce, proszę mi powiedzieć, kto mógł się dopuścić takiej niegodziwości? Gdzie może być mój mały Tewky? Co mam robić?

Ujęłam jej rozedrgane dłonie, ciesząc się, że woalka nie pozwala jej dostrzec mojej przerażonej miny, a rękawiczki chronią moje ciepłe ciało przed lodowatym dotykiem jej rąk.

– Odwagi... mm... jaśnie pani i... mmm... – szukałam w myślach słów – proszę być dobrej myśli. – A potem popełniłam kolejny błąd. – Niech mi wolno będzie spytać, czy było jakieś miejsce... – Z tego jak na niego chuchała i dmuchała, można było śmiało wnioskować, że śledziła go albo przynajmniej snuła domysły. – Czy jest na terenie majątku jakieś miejsce, w którym pani syn szukał chwil samotności?

– Samotności? – Jej zapuchnięte, zaczerwienione oczy zamrugały ku mnie z wyrazem świadczącym o całkowitym braku zrozumienia. – Co też pani ma na myśli?

– Czysty nonsens – oświadczył dźwięczny alt za moimi plecami. – Ta nic nieznacząca wdówka nie ma o niczym pojęcia. Natomiast ja z pewnością odszukam niebawem zaginione dziecko księżnej pani.

Odwrociłam się, by ujrzeć niezwykłą kobiecą postać, wyższą ode mnie, o nad wyraz pełnych kształtach, obnoszącą bez żenady odkryte i nieuczesane włosy. Szttywne kosmyki okalały głowę od ramienia do ramienia, jakby głowa była białą lampą z nasadzonym na nią czerwonym abażurem. Nie rudawym, nie kasztanowym, ale prawdziwie czerwonym, niemal szkarłatnym, o barwie rozkwitłych maków. Oczy tej kobiety natomiast błyszczały w pokrytej ryżowym pudrem twarzy mroczną jak wnętrze makowego kwiatu czernią. Jej włosy i twarz tak przykuły moją uwagę, że nie przyjrzałam się dokładnie jej ubiorowi. Mam tylko mgliste wrażenie, że była odziana w szatę z egipskiej lub indyjskiej bawełny, zdobionej w jakieś barbarzyńskie karminowe wzory. Szata zwisała na jej masywnych kształtach w beładzie, jakby naśladowując krwistoczerwoną szopę włosów na jej głowie.

Księżna sapnęła:

– Madame Lelia? Och, wysłuchała pani moich błagalnych próśb, madame Lelia!

Madame jaka? Madame Medium Spirytystyczne, wywnioskowałam, ponieważ była to jedyna rola, w której kobiety – ten niższy pod względem moralnym i duchowym gatunek człowieka – potrafiły wzbudzać większy szacunek niż mężczyźni. Ale zaraz, przecież tego typu osoby – nazywane przez moją matkę szarlatankami – przywoływały duchy zmarłych. A jak się mogę domyślać, księżna żywiła chyba nadzieję, że jej syn nie powiększył grona aniołków, więc co tu robiła ta ponadwymiarowa niewiasta...?

– Madame Lelia Sybilla de Papaver, perdytorystka astralna, do usług – oznajmiła posągowa dama. – Cokolwiek zaginęło, z pewnością potrafię to odszukać, duchy bowiem krążą wszędzie, wiedzą i widzą wszystko, a ja żyję w wielkiej z nimi przyjaźni.

Księżna ujęła jej wielkie dłonie w żółtych rękawiczkach, a ja, podobnie jak dwie potulne pokojówki, stałam tam jak rażona piorunem, z otwartymi ustami. Tyle że w moim przypadku nie była

to reakcja na groteskowy wygląd tej kobiety, ani na jej gadanie o duchach. Bo chociaż chciałam wierzyć, że po śmierci swej cielesnej powłoki będę w jakiś sposób trwać dalej, to wyobrażałam sobie, że jako duch będę mieć lepsze rzeczy do roboty niż stukanie w meble, pociąganie za sznurki dzwonek i wprawianie stolików w ruch wirowy. Nie zrobił też na mnie wrażenia przymiotnik „astralna”. Ze wszystkich wypowiedzianych przez Madame Lelię Sybillę de Papaver słów tylko jedno sprawiło, że znieruchomiałam i odebrało mi mowę.

Słowo „perdytorystka”.

Wywodzące się z łacińskiego słowa *perditus*, czyli „zaginiony”.

Perdytorysta: ktoś, kto odgaduje miejsce pobytu tego, co zaginęło.

Ale... że też babsko ma czelność, plotać jakieś banialuki o duchach, uzurpować sobie prawo do tak szlachetnego tytułu. Znawczynie zaginionych, arcymądra poszukiwaczka zaginionych, znalazczynie zaginionych – przecież to moje życiowe powołanie.

To ja byłam perdytorystką. Albo planowałam nią być. I to nie żadną astralną, tylko zawodową. Pierwszą w świecie profesjonalną, logicznie myślącą, korzystającą z najnowszych osiągnięć nauki perdytorystką.

Pojęłam to wszystko w nagłym przypiływie olśnienia i byłam tego pewna. Tak jak byłam pewna, że noszę nazwisko Holmes.

Jakoś umknęło mojej uwadze to, kiedy i jak pokojówki zabrały księżną i Madame Lelię do wnętrza pałacu, być może na herbatę, być może na seansik spirytystyczny. Nie obchodziło mnie to. Powróciłam do okalających Basilwether Park drzew i błędziłam między nimi bez celu, niepomna tego, że zaczął siąpić lekki deszczyk, ponieważ w mojej głowie szalała burza entuzjastycznych myśli, korygujących mój pierwotny plan odszukania mamy.

Plan pozostawał prosty: zaraz po przybyciu do Londynu przywołam dorożkę, każę się zawieźć do jakiegoś szacownego hotelu, w którym spożyję kolację i porządnie się wyśpię. Zatrzymam się tam aż do znalezienia odpowiedniego dla siebie lokum, pozakładam sobie rachunki w banku... Nie, udam się na najpierw na Fleet Street i umieszczę zaszyfrowane ogłoszenia w pismach, które mama do tej pory abonowała. Czy niezależnie od miejsca pobytu zrezygnowałyby z lektury swoich ulubionych periodyków? I oczywiście czekałabym później, aż mama odpowie. Po prostu bym czekała.

To powinno załatwić sprawę, jeśli – i kolejny raz musiałam uspokoić swoje obawy – jeśli mama rzeczywiście jest cała i zdrowa.

Tak czy inaczej byłam skazana na oczekiwanie.

No, może tak do tej pory myślałam. Ale teraz – kiedy odkryłam swoje życiowe powołanie, poczułam, że mogę zrobić o wiele więcej. Niech mój brat Sherlock będzie sobie Jedynym na Świecie Prywatnym Detektywem; ja zostanę Jedyną na Świecie Prywatną Perdytorystką. Ktoś taki będzie się mógł udzielać w kręgach aktywnych zawodowo kobiet, które umawiają się ze sobą w swoich londyńskich herbaciarniach – kobiet, które mogą znać mamę! – i będzie mógł się kontaktować z detektywami ze Scotland Yardu – gdzie Sherlock złożył już zgłoszenie o zaginięciu mamy – oraz z innymi szacownymi osobistościami, a może nawet i z osobnikami cieszącymi się złą sławą, mającymi na sprzedaż ważne informacje, a może... och, otwierały się przede mną nieskończone możliwości! Urodziłam się, by zostać Perdytorystką. Tropicielką zaginionych bliskich. I...

I powinnam ocknąć się z marzeń i przekuć je w czyn. Od razu.

Jedyną inną możliwością – podjęłam myśl, którą mi przed paroma chwilami przerwano – było drzewo.

Powróciwszy do nudnej i uładowanej parkowej części majątku Basilwetherów, skupiłam całą swą uwagę na szukaniu tego właśnie drzewa. Powinno być położone w niewielkiej odległości od Basilwether Hall i jego obsadzonych pod liniijkę ogrodów, może nie nazbyt blisko granicy posiadłości, jednak na tyle głęboko wśród innych drzew, by dorosłe oczy nie zdołały go wypatrzeć. I podobnie jak wierzba w porośniętej paprociami kotlinie Ferndell, wierzba, w której cieniu urządziłam sobie swój azyl, musiałoby się czymś wyróżniać. Być inne. Warte miana kryjówki.

Przestało mżyć, na niebie pojawiło się słońce, aż wreszcie, obszedłszy niemal całą posiadłość,

w końcu na nie natrafiłam.

I to nie jedno, lecz cztery zrosnięte ze sobą drzewa, wyrastające z jednego miejsca. Cztery młode klony wykiełkowały jednocześnie tuż obok siebie, każdy z nich zdołał przeżyć, by stworzyć po latach symetryczną kępę, której cztery pnie odchyliły się od siebie pod kątem ostrym, pozostawiając między sobą niemal idealnie kwadratową pustą przestrzeń.

Postawiłam jedną z solidnie obutych stóp na wystającym sęku, chwyciłam najbardziej poręczną ze zwieszających się nade mną gałęzi i podciągnęłam się, by znaleźć się po chwili jakieś trzy stopy nad ziemią, wewnątrz gościnnych widełek tworzonych przez cztery pnie, w samym środku kwadratowego, osłoniętego liśćmi kosmosu. Coś cudownego. I coś cudowniejszego: okazało się, że ktoś, prawdopodobnie młodociany lord Tewksbury, był tam przede mną. Wbił wielki gwóźdź – a raczej hak szynowy – w wewnętrzną stronę jednego z pni. Niezauważalny dla przechodzących dołem osób, jednak tkwiący pewnie i mocno.

Czyżby coś miało na nim wisieć? Nie, do tego wystarczyłby o wiele mniejszy gwóźdź. Wiedziałam dobrze, czemu miał służyć ten szyniak.

Miał być oparciem dla stopy. Podczas wspinaczki.

O, cudowny dniu, w którym znów można wdrapać się na drzewo po wielotygodniowych przygotowaniach do bycia damą... Ale... ojej, nagła konsternacja. A jeśli ktoś mnie widział? Dostojna wdowa na drzewie?

Rozejrzałam się szybko dookoła, ale nikogo nie zauważyłam, więc postanowiłam zaryzykować. Pozbyłam się kapelusza i woalki, i ukryłam je w listowiu nad głową. Spódnicę i halki zwinęłam nad kolanami w spory kłęb, który unieruchomiłam wyciągniętymi z włosów szpilkami. A potem postawiłam nogę na haku, podciągnęłam się na wiszącej nad głową gałęzi i przemieściłam wyżej.

Gałązki wplątały mi się we włosy, ale się tym nie przejmowałam. Może kilka razy dostałam witką w twarz, ale w sumie było to proste jak włożenie po drabinie. I bardzo dobrze, bo moje obolałe kończyny buntowały się przy każdym większym wysiłku. Okazało się, że lord Tewksbury, szczęśliwie dla mnie, powbił haki w miejscach, w których drogi na górę nie blokowały grubsze konary i gałęzie. Bystry chłopak z tego wicehrabiego. Niewątpliwie powyciągał gwoździe z torowiska, sąsiadującego niemal z majątkiem ojca. Miałam cichą nadzieję, że nie doprowadził tym czynem do żadnej katastrofy kolejowej.

Kiedy byłam już jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią, zatrzymałam się, żeby zorientować się, dokąd właściwie zmierzam. Zadarłam głowę...

Wielkie nieba.

Zbudował na drzewie podest.

Konstrukcję całkowicie niewidoczną z dołu, kiedy drzewa są pokryte liśćmi. Jednak z tej perspektywy mogłam już podziwiać ją w całej krasie: kwadratowa powierzchnia zbita z kawałków niemalowanych desek i osadzona między czterema pniami klonu. Podtrzymywały ją belki biegnące od pnia do pnia, zaklinowane w rozwidleniach konarów i zabezpieczone na rogach sznurem. Na belkach ułożono deski, tworzące chropowatą podłogę. Wyobraziłam sobie, jak wicehrabia wykrada je ze strychów, poddaszy stajni i Bóg jeden wie skąd jeszcze, wlecze je do lasu, zakrada się tu nocą, by wciągać kolejne elementy na górę i wpasowywać je na miejsce. A za dnia matka wciąż kręciła mu włosy żelaznymi szczypcami i stroiła go w satyny, aksamity i koronki. Niech go niebo ma w swojej opiece.

W jednym z rogów podestu zostawiono wolne miejsce, umożliwiające wejście na górę. Kiedy wychyliłam z niego głowę, mój podziw dla młodego lorda wzrósł w dwójnasób. Nad całością wisiał rozpostarty kwadratowy płat sukna – prawdopodobnie było to płótno do przykrywania ładunków na wozie – chroniący kryjówkę przed deszczem. W narożnikach lord poumieszczał złożone w kostkę derki, jak się domyślam „wypożyczone” ze stajni, tworzące wygodne siedziska. We wszystkich czterech pniach tkwiły gwoździe, na których wisiały kawałki lin z węzłami żeglarskimi, wizerunki statków i okrętów, blaszany gwizdek i inne fascynujące przedmioty.

Wczołgałam się na górę, żeby się rozejrzeć.



I niemal natychmiast znieruchomiałam na widok szokującego odkrycia.

Pośrodku podestu leżała sterta ścinków, skrawków, gałganków, pociętych i podartych w tak okrutny sposób, że dopiero po chwili ustaliłam, czym są w istocie: kawałkami czarnego aksamitu, białej koronki i błękitnej satyny. Szczątkami czegoś, co kiedyś było ubraniem.

A szczyt tej góry żałosnych szmatek wieńczyły włosy. Długie złote pasma poskręcanych w pukle włosów.

Najwidoczniej ogolił się na łyso.

Po podarciu swego śliczniutkiego stroju na strzępki.

Wicehrabia Tewksbury udał się do kryjówki. Z własnej i nieprzymuszonej woli. Żaden porywacz nie mógł wpaść na myśl, żeby go tu wciągać. Zresztą nie dałby rady tego zrobić.

I wszystko wskazywało na to, że wicehrabia Tewksbury opuścił kryjówkę tak, jak do niej wszedł, czyli z własnej, nieprzymuszonej woli. Ale już nie po to, by nadal wieść żywot wicehrabiego Tewksbury, markiza Basilwether.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Znów stałam pod drzewem. Spódnice odzyskały dawną długość, czarny kapelusz zasłonił rozczochraną głowę, woalka ponownie zakryła twarz. Ruszyłam przed siebie bez celu. Nie wiedziałam, co mam teraz robić.

Wokół palca wskazującego, na skórze rękawiczki, owinęłam sobie pukiel długich jasnych włosów. Resztę zostawiłam tam, gdzie była. Wyobraziłam sobie ptaki wyciągające pasmo po paśmie do wyścielania swoich gniazd.

Zadumałam się nad tą niemą, pełną wściekłości wiadomością, pozostawioną przez uciekiniera w jego tajemnym azylu.

I przypomniały mi się łzy na twarzy jego matki. Biedna pani.

Ale on był równie biedny. Zmuszony do chodzenia w aksamitach i koronkach. To prawie równie nieludzkie jak wtłaczanie kogoś w gorset.

Nieprzypadkowo pomyślałam w tej chwili o sobie. Ja, Enola, też byłam uciekinierką, jak młody lord Tewksbury. Należało jednak mieć nadzieję, że chłopak był na tyle rozważny, by przedstawiać się innym nazwiskiem. Popeliłam głupstwo, zjawiając się tu jako Enola Holmes. Naraziłam się na wielkie niebezpieczeństwo i powinnam raz-dwa stąd zniknąć.

A jednak muszę przecież pocieszyć nieszczęsną księżnę. Nie, nie. Lepiej wynieść się z Basilwether Park i to piorunem, zanim...

– Pani Holmes?

Przystanąłam na podjeździe dla powozów przed Basilwether Hall, niepewna, czy lepiej będzie pójść dalej przed siebie, czy się cofnąć, kiedy zmroził mnie wołający z góry głos:

– Pani Holmes!

Ściągnęłam z palca pukiel jasnych włosów i zacisnęłam go w dłoni. Odwróciłam się i zobaczyłam zbiegającego ku mnie po schodach mężczyznę w stroju podróżnym. Był to jeden z przybyłych z Londynu detektywów.

– Proszę wybaczyć, że ośmielałam się panią zaczepiać, nie będąc jej przedstawionym – powiedział, zatrzymując się przy mnie – ale stróż poinformował mnie o pani przybyciu i byłem ciekaw... – Stał przede mną drobny, szczerowaty człowieczek, w niczym nieprzypominający postawnych funkcjonariuszy policji, a jednak budzący lęk swoimi rozbieganymi, paciorkowatymi oczkami, które jak lśniące czarne biedronki próbowały się wślizgnąć pod moją woalkę. A on sam ciągnął lekko piskliwym głosem: – Jestem kolegą pana Sherlocka Holmesa. Nazywam się Lestrade.

– Jak się pan miewa? – Nie wyciągnęłam do niego ręki.

– Doskonale, dziękuję pani. Przyznam, że to nieoczekiwana radość móc panią poznać. – Jego ton zdradzał chęć uzyskania dalszych informacji. Wiedział, że nazywam się Enola Holmes. Widział, że jestem wdową, więc tytułował mnie panią, jednak skoro weszłam do rodziny Holmesów przez małżeństwo z ich krewnym, zachodził teraz w głowę, dlaczego Sherlock przysłał mnie tu w swoim zastępstwie. – Przyznam, że Holmes nigdy mi o pani nie wspominał.

– W rzeczy samej – przytaknęłam uprzejmie. – A czy pan omawiał z nim swoją własną sytuację rodzinną?

– Nie! Ee... to znaczy, nie było po temu okazji.

– Oczywiście, że nie. – Staralam się zachować obojętny tembr głosu, ale myśli świergotały mi

w głowie jak stado zięb. Ten szpicel przy pierwszej sposobności opowie Sherlockowi, gdzie i w jakich okolicznościach mnie poznał. Nie, gorzej! Będąc śledczym ze Scotland Yardu, może w każdej chwili otrzymać depeszę w sprawie mojego zaginięcia. Muszę stąd uciekać, zanim to nastąpi. I bez tego czułam, że budzę w nim podejrzliwość. Musiałam zająć uwagę inspektora Lestrade' a czymś innym, by uniknąć inwigilacji.

Otworzyłam dłoń, ujęłam skręcone pasmo płowych włosów i wyciągnęłam je w stronę funkcjonariusza.

– Jeśli chodzi o lorda Tewksbury'ego – powiedziałam władcym tonem, naśladowując sposób mówienia swego sławnego brata – to nie został on wcale uprowadzony. – Uniosłam dłoń, widząc, że chce zaoponować. – Wziął sprawy we własne ręce. Uciekł z domu. Pan też by się na to zdecydował, gdyby strojono pana w aksamitne ubranka niczym lalkę. Chłopak chce być marynarzem i zaciągnąć się na łódkę. To znaczy na statek. – W kryjówce wicehrabiego widziałam wizerunki parowców, kliperów i innych jednostek morskich. – W szczególności zaś darzy podziwem to monstrum, przypominające pływające koryto dla bydła z żaglami na górze i kołami łopatkowymi po bokach. Jakże się toto nazywa? Chodzi mi o jednostkę, z której układano transatlantycki kabel telegraficzny.

Inspektor Lestrade patrzył jak zahipnotyzowany na pukiel jasnych włosów na mojej dłoni.

– Co... gdzie... jak pani wydedukowała...? – wybełkotał.

SS Great Eastern. W końcu przypomniałam sobie nazwę największej jednostki pływającej świata.

– Radzę szukać lorda Tewksbury'ego w jakimś porcie morskim; najpewniej skieruje swoje kroki do londyńskich doków, gdzie będzie starał się zaczepić jako majtek albo chłopiec okrętowy, wiem bowiem, że wprawiał się w wiązaniu węzłów żeglarskich. Ściął też sobie włosy. Zapewne zdobył również ubranie, jakie nosi klasa niższa, być może poratowali go chłopcy stajenni, których dobrze byłoby przesłuchać. Po tak radykalnej zmianie wyglądu z pewnością nikt nie rozpoznał go na dworcu, jeśli postanowił jechać pociągiem.

– Ale stłuczona szyba! Wyłamany zamek!

– Sam poczynił szkody, żeby nakierować poszukiwania na domniemanych porywaczy, a nie na uciekiniera. Nie wykazał się zbyt wielkim sercem – dodałam – przysparzając matce takiego zmartwienia. – Ta myśl sprawiła, że nie czułam się tak podle, zdradzając to, co wiedziałam. – Może zechce pan przekazać to księżnej pani. – Wyciągnęłam do inspektora Lestrade' a dłoń, na której leżał pukiel włosów. – Chociaż szczerze powiem, że nie wiem, czy to jej poprawi, czy pogorszy samopoczucie.

Wgapiony we mnie inspektor Lestrade nie wyglądał na człowieka, który wie do końca, jak postąpić, kiedy wyciągnąwszy rękę, podjął z mojej dłoni pasmo włosów księżęcego potomka.

– Ale... gdzie pani to znalazła? – Wyciągnął w moją stronę drugą rękę, jakby chciał mnie chwycić za łokieć i wciągnąć do Basilwether Hall.

Cofając się przed jego dotykiem, odkryłam, że naszej rozmowie przysłuchuje się trzecia osoba. Na szczycie marmurowych schodów, ukryta wśród balustrad i kolumn, stała Madame Lelia. Stała, obserwowała nas i słuchała.

Ściszyłam głos i udzieliłam inspektorowi Lestrade'owi odpowiedzi.

– Na pierwszym, że się tak wyrażę, piętze klonu o czterech pniach. – Wskazałam mu kierunek palcem, a kiedy odwrócił się, by w tamtą stronę spojrzeć, oddaliłam się w tempie, w którym dama nie powinna raczej się poruszać, i zaczęłam zmierzać ku bramie.

– Pani Holmes! – zawołał za mną.

Nie zmieniając rytmu marszu ani nie oglądając się za siebie, uniosłam dłoń, by pomachać mu grzecznie acz odmownie, naśladowując mojego brata machającego mi na pożegnanie laseczką. Powściągając chęć rzucenia się biegiem do ucieczki, szłam równym krokiem przed siebie.

Kiedy znalazłam się za bramą, wypuściłam z płuc powietrze.

Ponieważ nigdy do tej pory nie podróżowałam pociągiem, zdziwiłam się, że wagon klasy drugiej jest podzielony na małe czteroosobowe saloniki, w których ustawiono naprzeciwko siebie obite

skórą siedziska, jak w powozie. Wyobrażałam sobie bardziej otwartą przestrzeń, coś na kształt wnętrza omnibusu. Ale nie. Konduktor przeprowadził mnie przez wąziutki korytarz, otworzył drzwi i chcąc nie chcąc, znalazłam się w towarzystwie trzech nieznanym osób. Zająłam ostatnie wolne miejsce, położone tyłem do kierunku jazdy.

Chwilę później poczułam, że coś mnie unosi. Najpierw powoli, potem z coraz większą prędkością pomknęłam w tył ku Londynowi.

Zajmowałam pozycję adekwatną do swojej obecnej sytuacji, gdyż rozmowa z inspektorem Lestrade'em obróciła moje wszystkie sprawy o sto osiemdziesiąt stopni i nie byłam już w stanie przewidzieć, co mnie czeka.

Ponieważ rozmawiał z niespełna rozumu wdową, która przedstawiła się jako Enola Holmes, o czym z pewnością nie omieszka powiadomić mego brata Sherlocka, musiałam zrezygnować ze swojego niemal doskonałego przebrania.

Musiałam przemyśleć całą sytuację od nowa.

Westchnęłam, zasiadłam na samym brzeжку fotela, bo musiała się na nim pomieścić tiurniura, a raczej mój bagaż, i zaczęłam rozmyślać o swoich odwróconych postępach. Pociąg kołysał się, gnając co najmniej dwa razy szybciej niż jakikolwiek rower zjeżdżający ze wznesienia. Drzewa i budynki przemykały za oknem w takim tempie, że musiałam odwrócić od nich wzrok.

Było mi niedobrze także z innego powodu.

Musiałam porzucić jakże bezpieczne i wygodne plany podróży dorożką, zatrzymania się w hotelu, poszukania porządnego lokum i spokojnego oczekiwania. Albo Lestrade, albo mój brat Sherlock odtworzą marszrutę młodej wdowy w Belvidere i ustalą, że wsiadłam do popołudniowego ekspresu do Londynu. Cała misterna próba wysłania moich braci do Walii spaliła na panewce. Choć nie zdają sobie sprawy z mojej niezależności finansowej, będą wiedzieć, że udałam się do Londynu, a ja nie mogę nic na to poradzić.

Chyba że zaraz po przyjeździe wsiadę do pociągu i udam się do innej miejscowości.

Ale brat z pewnością weźmie na spytki kasjerów, a ciężka żałoba wyróżniała mnie spośród innych pasażerów. Jeśli Sherlock Holmes ustali, że wdowa wsiadła do pociągu do – dajmy na to – Houndstone, Rockingham i Puddingsworth, zacznie prowadzić dochodzenie. A z pewnością o wiele łatwiej jest odszukać uciekinierkę w Houndstone, Rockingham, Puddingsworth czy innym małym mieście niż w Londynie.

Tym bardziej że przecież chciałam jechać do stolicy. Nie dlatego, żebym myślała, iż odszukam tam mamę – wręcz przeciwnie – ale czułam, że stamtąd byłoby mi najłatwiej prowadzić jej poszukiwania. Zresztą od zawsze marzyłam o Londynie. Pałace, fontanny, katedry. Teatry, opery, panowie we frakach i obsypane brylantami damy.

A do tego – uśmiechnęłam się pod woalką, unoszona tyłem do wielkiego miasta – myśl o ukrywaniu się tuż pod nosem moich braci wydawała mi się coraz bardziej nęcąca, zwłaszcza teraz, kiedy pewnie znali już prawdę. Zadam kłam ich przekonaniu o ograniczonej pojemności czaszki ich przypadkowo powołanej na świat młodszej siostry.

Doskonale. A zatem Londyn.

Niemniej jednak, w związku ze zmianą okoliczności, nie będę mogła po przyjeździe wynająć dorożki. Sherlock Holmes z pewnością przesłucha wszystkich dorożkarzy. Trzeba będzie się przemieszczać na piechotę. A nieuchronnie zbliżała się noc. Hotel również nie wchodził już w grę. Brat nie omieszka przeprowadzić rozmów ze wszystkimi recepcjonistami w mieście. Będę musiała przejść spory kawałek drogi od dworca. Ale dokąd? Jeśli skręcę w nieodpowiednią ulicę, mogę się znaleźć w towarzystwie kogoś, kto nie należy do najzyczliwszych z ludzi. Mogę trafić na kieszonkowca albo nawet na rzezimieszka.

Nieciekawa perspektywa.

I w tej samej chwili znów oderwałam wzrok od przyprowadzających o zawroty głowy widoków za oknem, by spojrzeć w stronę korytarza.

O mały włos nie krzyknęłam głośno.

Do przedziału zajrzała ogromna, przypominająca księżyc w pełni twarz.

Rozpłaszczywszy nos o szybę, mężczyzna lustrował każdego z pasażerów po kolei. Z niezmiennym wyrazem chłodu na twarzy wbił we mnie swoje mroczne spojrzenie. A potem odwrócił się i poszedł dalej.

Przełknęłam głośno ślinę i spojrzałam na współpasażerów, sprawdzając, czy byli równie przerażeni jak ja. Najwyraźniej nie. Miejsce obok mnie zajmował robotnik w czapce. Siedział rozparty, wysunąwszy na środek nogi w buciorach o kwadratowych noskach, i głośno chrapał. Miejsce naprzeciwko niego zajmował jegomość w spodniach w pepitkę i filcowym kapeluszu typu homburg, pogrążony w lekturze gazety, która, sądząc po drzeworytach przedstawiających dżokejów i wierzchowce, skupiała się na sprawach związanych z wyścigami konnymi. Siedząca obok niego, *vis à vis* mnie, korpulentna starsza pani spojrzała na mnie z pogodnym wyrazem twarzy.

– Coś się stało, kaczusiu? – zagadnęła.

Kaczusiu? Przedziwny sposób odzywiania się do obcych, ale nie obruszyłam się, tylko spytałam:

– Kim był ten człowiek?

– Jaki człowiek, kaczeniu?

Albo w ogóle go nie zauważyła, albo rośli łąsi panowie w czapkach, zagląający do przedziałów, byli normą, a ja znów wyszłam na głuptasa.

Potrząsnęłam głową na odczepnego.

– Nic takiego – wymamrotałam, chociaż serce zarzuciło mi jawne kłamstwo.

– Troszku panusia zbladła pod tą krepą – oświadczyła moja nowa znajoma. Prosta, bezzębna starucha zamiast kapelusza miała na głowie ogromny staroświecki czepiec z wyświeconym, przypominającym grzyb rondem, zawiązany pomarańczową wstążką pod jej szczeciniastą brodą. Zamiast sukni nosiła na wpół wyłysiałą etolę, bluzkę, która dawno utraciła śnieżną biel, i starą fioletową spódnicę z nową lamówką naszytą na obszarpany brzeg. Patrząc na mnie jak rudzik czekający na okruszki, spytała:

– To jakaś świeża strata, kaczusiu?

Aha. Chodziło jej o mojego fikcyjnego, zmarłego umiłowanego małżonka. Pokiwałam przytakująco głową.

– A teraz jedziesz panusia do Londynu?

Skinienie głową.

– Historia stara jak świat, prawda, kaczusiu? – Wulgarna stara baba pochyliła się w moją stronę ze złośliwą satysfakcją, przemieszana z litością. – Podłapałaś panusia akuratnego kawalira, a on wziął i umarł. – Użyła tak okropnego sformułowania. – Wziął i umarł, i zostawił panusią bez środków do życia, co? A panusia tak marnie wygląda. Może masz panusia w brzuchu dzieciątka, co?

Początkowo nie zrozumiałam, o co jej chodzi. A potem, ponieważ jeszcze nigdy nie słyszałam, by ktoś tak bez ogródek nazywał publicznie ów nieprzyzwoity fakt po imieniu, i to w obecności mężczyzn (choć wydawało się, że żaden z nich nie zwrócił na to uwagi), zamurowało mnie ze zgorzienia. Twarz zapłonęła mi krwistym pąsem.

Moja życzliwa prześladowczyni uznała mój rumieniec za potwierdzenie. Kiwając głową, przysunęła się jeszcze bliżej.

– A teraz panusia myślisz, że poszukasz sobie w mieście jakiegoś zarobku, co? Byłaś już panusia w Londynie?

Z trudem pokręciłam głową.

– Nie popełniaj najstarszego błędu świata, kaczusiu, cokolwiek ci będą wmawiać panowie. – Pochyliła się w moją stronę, jakby chciała mi zdradzić wielki sekret, jednak nie ściszyła głosu. – Jeśli potrzebujesz panusia zarobić parę pensów, to mam sposób. Wyciągnij panusia halkę albo dwie spod spódnicy. – Byłam bliska omdlenia. Chwała Bogu, robotnik chrapał dalej, jednak drugi mężczyzna ostentacyjnie podniósł gazetę, żeby zasłonić twarz. – Nie szkuduj, panusia – gdakała dalej bezzębna starucha. – Moc kobiet w Londynie nie ma nawet jednej halki, a panusia ma ich pewnie z pół tuzina,

sądząc po tym, jak się puszą i szeleszczą.

Rozpaczliwie pragnęłam, żeby podróż i moja udreka dobiegły końca. Do tego stopnia, że odważyłam się ponownie spojrzeć za okno. Za szybą migał dom za domem, przytulone do siebie kamienne i ceglane budynki stawały się coraz wyższe.

– Zabierz je do Culhane’owej, handlarki starzyzną przy Saint Tookings Lane, w bok od Kipple Street – ciągnęła niestrudzenie stara wiedźma, która teraz wyglądała mi bardziej na ropuchę niż na głodnego ptaszka. – Znaczy się na East Endzie. Trafisz tam panusia po smrodzie z doków. I pamiętaj, kiedy znajdziesz panusia Saint Tookings Lane, nie szukaj innych handlarzy, tylko idź jak w dym do Culhane’owej, która da ci za halki ładną sumkę, jeśli rzeczywiście są z jedwabiu.

Pogrążony w lekturze człowiek zaszeleścił gazetą i chrząknął znacząco. Chwyciłam za krawędź siedziska i odsunęłam się od wstrętnej wiedźmy tak daleko, jak pozwoliła mi na to tiurniura.

– Dziękuję – mruknęłam, bo chociaż nie miałam zamiaru spieniężyć żadnej z halek, to jednak ta koszmarna stara prostaczka pomogła mi rozwiązać palący problem.

Zachodziłam bowiem w głowę, jak się pozbędę żałobnych ubrań i sprawię sobie nowe. Miałam, rzecz jasna, mnóstwo pieniędzy i mogłam obstalować stroje wedle własnych potrzeb, jednak szycie czegoś na miarę zabrałoby sporo czasu, a poza tym mój brat prawdopodobnie przesłuchałby wszystkie londyńskie krawcowe. Kobieta w żałobie zlecająca uszycie czegoś, co nie jest czarne, ewentualnie szare, lawendowe lub białe (bo tylko takie barwy wchodziły w grę po zakończeniu pierwszego roku żałoby), zapadłaby w pamięć. Znając dociekliwość mojego brata, nie mogłam ryzykować lekkiej modyfikacji swego wyglądu. Musiałam go gruntownie odmienić. Ale jak? Wykradając suszące się na sznurach stroje?

Teraz już wiedziałam. Sklepy ze starzyzną, Saint Tookings Lane, w bok od Kipple Street. Na East Endzie. Nie spodziewałam się, że brat zechce zasięgać tam języka.

Ani też nie przewidziałam – choć powinnam – że zapuszczając się tam, będę ryzykować życie.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z okna przedziału widziałam jedynie migające szybko sylwetki londyńskich budynków. Ale kiedy opuściłam już gmach dworca Aldersgate, zamiast zgodnie z zamiarem jak najszybciej się oddalić, chcąc nie chcąc przystanęłam na chwilę, oszołomiona ogromem i ciasnotą metropolii. Wokół mnie wznosiła się zbudowana przez człowieka dżungla. Przytłoczyły mnie budynki wyższe i bardziej nieprzystępne niż największe drzewa.

Moi bracia tu właśnie mieszkają?

W tej groteskowej kamiennie-ceglanej parodii znanego mi dotąd świata? Z tyłoma kominami i szczytami dachów ciemniejących na tle krwawego, zamglonego, lśniącego pomarańczową poświatą nieba? Ołowiane chmury wisiały nisko nad ziemią, a zachodzące słońce przenikało między nimi rozmytymi promieniami; gotyckie wieże budowli sterczały dumnie acz złowrogo na tle płomiennego nieba, niczym świeczki na urodzinowym torcie szatana.

Stałam, gapiąc się, aż wreszcie dotarło do mnie, że wymijają mnie i szturchają całe tłumy obojętnych, podążających za swoimi sprawami mieszczuchów. Nabrałam w płuca powietrza, zamknęłam usta, przełknęłam ślinę i odwróciłam się od tego przedziwnie złowieszczonego zachodu słońca.

Tu, w Londynie, jak w każdym innym miejscu świata, powiedziałam sobie, słońce znika za horyzontem na zachodzie. Dlatego też, przymusiwszy sparaliżowane widokiem molocha kończyny do ruchu, zaczęłam iść szeroką aleją prowadzącą w odwrotnym kierunku. Chciałam bowiem udać się na wschód, ku sklepom ze starzyzną, dokom i dzielnicom nędzy. Na East End.

Minęłam kilka przecznic i zaczęłam kluczyć w wąskich uliczkach, zaciemionych przez stłoczone jedna przy drugiej kamienice. Za moimi plecami słońce zdążyło już zająć. Na miejskim niebie nie było księżycy ani gwiazd. Na chodnikach kładły się jednak plamy żółtego światła, sączącego się z wystaw sklepowych, co sprawiało, że przeplatające się z nimi pasma mroku wydawały się jeszcze czarniejsze. Przechodnie wyłaniali się z ciemności jak zjawy, by po paru krokach ponownie zniknąć z pola widzenia. Jak postacie ze snu pojawiali się i znikali na rogach ulic, rozświetlonych przez blade kręgi światła, rzucane przez latarnie gazowe.

Albo jak postacie z sennego koszmaru. Z cienia w cień śmigały szczury – zuchwałe miejskie gryzonie, których nie deprymowała moja obecność. Staralam się na nie nie patrzeć, udając że ich nie ma. Staralam się nie gapić na nieogolone indywiduum w szkarłatnym fularze, na zagłodzonego chłopaczka w łachmanach, na wielkiego, krzepkiego mężczyznę w zakrwawionym fartuchu, na bosą Cygankę stojącą na rogu – więc w Londynie też byli Cyganie! Ale kobieta nie miała nic wspólnego z dumnymi nomadami, których widywałam na wsi. Patrzyłam na obszarpaną żebraczkę, usmoloną jak kominiarz.

To jest Londyn? A gdzie są teatry i powozy, gdzie obwieszane klejnotami damy w etolach i sukniach wieczorowych? Gdzie sypiący złotem dżentelmeni we frakach i białych muszkach?

Zamiast nich zobaczyłam coś w rodzaju chodzącej psiej budy, czyli bladego mężczyznę z przewieszonymi przez ramiona z przodu i z tyłu tablicami reklamowymi:

Aby uzyskać

NIESKAZITELNY

## POŁYSK WŁOSÓW

użyj

olejku

makarasowego

Van Kempta

Umorusane dzieciaki otoczyły go rojem i zaczęły wyśmiewać, a jeden z łobuzów strącił mu z głowy wgnieciony melonik. Podskakująca dziewczyna pisnęła w jego stronę:

– Gdzie trzymasz musztardę?

Było to zapewne bardzo dowcipne, ponieważ jej koledzy zanieśli się potępieńczym śmiechem.

Ciemne uliczki rozbrzmiewały kakofonią głośnych hałasów. Sklepikarze pokrzykiwali na uliczników:

– Wynoście się stąd!

Po bruku turkotały wozy, a sprzedawca ryb wrzeszczał:

– Łupacz świeży na wieczkę!

Marynarze pozdrawiali się nawzajem.

Z niezamiecionej sieni tłusta kobiecina wołała skrzekliwym głosem:

– Sara! Willie! – Ciekawe, czy to właśnie jej dzieci dręczyły nieszczęsną żywą reklamę.

A tymczasem ocierały się o mnie niezliczone rzesze ludzi rozprawiających podniesionymi głosami. Przyspieszyłam kroku, jakby można było w jakiś sposób od tego uciec.

Trudno się dziwić, że w tym zgiełku i natłoku wrażeń nie zorientowałam się, że ktoś za mną idzie.

Zapadły już nocne ciemności. Tak mi się początkowo wydawało, ale szybko uświadomiłam sobie, że i same ulice stały się bardziej ponure. Nie było już rzucających światło wystaw sklepowych, jedynie położone ma rogach ulic rozświetlone puby, z których niosły się w mrok pijackie pokrzykiwania. Zobaczyłam stojącą w ciemnej sieni kobietę o wymalowanej twarzy, czerwonych wargach, upudrowanych policzkach i poczernionych brwiach; domyśliłam się, że to któraś z „królowych nocy”. Miała na sobie tandetną wydekoltowaną suknię i bił od niej tak silny zapach dżinu, że przebijał się przez odór jej niemytego ciała.

Ale nie była ona jedynym źródłem smrodu – cały londyński East End cuchnął gotowaną kapustą, dymem węglowym, zdechłymi rybami z pobliskiej Tamizy, ściekami z rynsztoków...

I ludźmi. Z rynsztoków.

W jednym z nich leżał pijany lub chory mężczyzna. Parę kroków dalej zobaczyłam dzieci, które spały, wtulone w siebie jak szczeniaki. Zrozumiałam, że nie mają domu. Serce mi się ścisnęło, miałam ochotę je obudzić i dać im pieniądze, żeby nakupiły sobie chleba i pasztecików. Zwalczyłam jednak pokusę i zmusiłam się do dalszego marszu. Przyspieszyłam kroku. Czułam się nieswojo. Czułam się zagrożona...

Na chodnik wypełzła przede mną ciemna postać.

Wypełzła. Na czworakach. Włokąc bosc stopy po ziemi.

Stanęłam jak wryta i znieruchomiałam, nie mogąc oderwać oczu od widoku staruszki w tak skrajnym upodleniu, odzianej w nieokrywającą jej dostatecznie poprzecieraną sukienkę, założoną na gołe ciało. Miała też gołą głowę, nieokrytą nawet gałgankiem. Była zupełnie łysa, a skórę jej czaszki pokrywały liczne strupy. Zdławiłam w sobie okrzyk przerażenia, a kobieta pełznąc powoli w ślimaczym tempie i podpierając się kłykciami, uniosła nieznacznie głowę, żeby na mnie spojrzeć. Zobaczyłam jej zmętniałe oczy, przypominające dwa owoce agrestu...



Ale przystanąłam na jedną chwilę za długo. Usłyszałam za sobą ciężkie kroki.

Rzuciłam się do ucieczki, jednak było już za późno. Kroki przyspieszyły nagle i ktoś chwycił mnie za ramię żelaznym uściskiem. Zaczęłam krzyczeć, ale mocna jak stal dłoń zamknęła mi usta. I tuż przy uchu usłyszałam warknięcie:

– Jeśli się ruszysz albo krzykniesz, zabiję cię.

Zmroziło mnie przerażenie. Wpatrywałam się szeroko otwartymi oczyma w ciemność. Nie mogłam się ruszyć. Zaparło mi dech w piersiach. Stałam, chwytając powietrze, a ręka mężczyzny wypuściła z uścisku moje ramię i owinęła się wokół mnie, unieruchamiając mi obie ręce. Poczułam na plecach twardą powierzchnię, którą mogłabym wziąć za kamienny mur, gdybym nie wiedziała, że mężczyzna docisnął mnie do swojej piersi. Zabrał rękę z moich ust, a po krótkiej chwili, zanim moje drżące usta zdołały wydać jakiś dźwięk, zobaczyłam w mroku błysk stali. Wydłużony, ostro zakończony, zwężający się kształt, jak ułamany kawałek lodowej tafli. Ostrze noża.

W ciemności zamajaczyła także trzymająca go dłoń.

Wielkie łapsko w rękawicze z koźlecej skóry nieokreślonej jasnej barwy.

– Gdzie on jest? – Zadał mi pytanie budzący grozę głos.

Co? Gdzie jest kto? Nie mogłam wydusić z siebie słowa.

– Gdzie jest lord Tewksbury?

Bezsensowna sytuacja. Dlaczego jakiś człowiek z Londynu nagabuje mnie o szlachetnie urodzonego uciekiniera? Kto mógł wiedzieć, że byłam w Belvidere?

Nagle przypomniała mi się twarz przyciśnięta do szyby, zagładająca do przedziału.

– Spytam jeszcze jeden, ostatni raz – zasyczał mężczyzna. – Gdzie jest wicehrabia Tewksbury, markiz Basilwether?

Było już z pewnością po północy. Bełkotliwe od nadmiaru piwa okrzyki i sprośne przyspiewki, intonowane przez fałszujące głosy, wciąż dobiegały z narożnych barów, ale bruk ulicy i chodniki całkiem już opustoszały. No, może tylko te fragmenty, które mogłam dostrzec. W mroku mogło się czaić wszystko co najgorsze. I nie było to raczej miejsce, w którym napadnięta osoba mogłaby liczyć na pomoc.

– Ja... eee... – udało mi się wydukać. – Nie mam pojęcia.

Nóż błysnął pod moim podbródkiem. Przez wysoki kołnierz sukni poczułam, jak przyciska się do mojej szyi. Przelknęłam głośno ślinę i zamknęłam oczy.

– Tylko bez sztuczek – ostrzegł mnie napastnik. – Idziesz do niego. Gdzie on jest?

– Pan jest w błędzie. – Siliłam się na obojętny ton, ale głos mi drżał. – Pan ma jakieś absurdalne urojenia. Nie wiem nic o...

– Łżesz. – Mięśnie jego rąk zdradzały chęć mordy. Ostrze skoczyło w jego dłoni i próbowało poderznąć mi gardło, jednak napotkało na opór w postaci fiszbiny kołnierzyka. Czując, że być może wydaję ostatnie tchnienie, wrzasnęłam. Wykręcając się i wijąc w łapach rzezimieszka, zaczęłam machać sakwojazurem jak cepem, i poczułam, że uderzył go w twarz, zanim wypadł mi z ręki. Mężczyzna zaklął w najokropniejszy sposób, i choć jego chwyt nieco osłabł, trzymał mnie dalej w uścisku. Zapiszczałam głośno i poczułam, że próbuje mnie dźgnąć w bok, jednak ostrze ześlizgnęło się po gorsecie. Zadał mi kolejny cios, szukając nieosłoniętego miejsca, ale tylko rozciął suknię, zostawiając długi i poszarpany ślad, a ja zdołałam mu się wreszcie wyrwać i rzuciłam się na osłep do ucieczki.

– Pomocy! Ratunku! – zaczęłam wrzeszczeć. Biegłam po omacku, biegłam i biegłam, sama nie wiedząc dokąd.

– Tutaj, pszę pani – odezwał się w mroku męski głos, wysoki i skrzeczący.

Ktoś jednak usłyszał moje wołania o pomoc. Poczułam tak wielką ulgę, że omal się nie rozszlochałam; odwróciłam się w stronę głosu i weszłam w wąski, biegnący w dół zaułek między zabudowaniami, cuchnący smołą.

– Tędy!

Poczułam, jak chuda dłoń ujmuje mnie za łokieć, kierując mnie po krzywej nawierzchni ku

czemuś, co połyskiwało w ciemności. Do rzeki. Mój przewodnik wciągnął mnie na wąską drewnianą rampę, której deski ugięły się pod moim ciężarem.

Jakiś instykt, złe przeczucie kazało mi przystanąć, a serce waliło mi jak jeszcze nigdy dotąd.

– Dokąd idziemy? – wyszeptałam.

– Niech pańcia robi, co jej każą.

I nie kończąc tych słów, mężczyzna wykręcił mi rękę i zaczął mnie pchać w nieznanym kierunku.

– Proszę przestać! – Zapałam się obcasami o deski i nagle złość wzięła górę nad strachem. Bądź co bądź zostałam napadnięta, straciłam sakwojaż, grożono mi nożem, miałam podarte ubranie, moje plany legły w gruzach, a osoba, którą uznałam za wybawcę, okazała się kolejnym wrogiem. Ogarnęła mnie furia.

– Przestań, łajdaku! – wrzasnęłam tak głośno, jak zdołam.

– Milczeć! – Napastnik wykręcił mi boleśnie rękę i mocno pchnął do przodu. Zapiierałam się, ale zmusił mnie, bym ruszyła naprzód chwiejnym krokiem. Nie przestałam jednak wrzeszczeć.

– Puszczaj, do diabła!

Coś ciężkiego uderzyło mnie w lewe ucho. Zapadłam w ciemność.

Nie, nie zemdlałam. Nigdy w życiu nie zemdlałam i miałam nadzieję, że nigdy mnie to nie spotka. Powiedzmy, że na jakiś czas mnie ogłuszono.

Kiedy zamrugałam i otworzyłam oczy, okazało się, że spoczywam ni to leżąc, ni to siedząc, na jakiejś dziwnej, wygiętej w łuk podłodze z desek. Ktoś mi związał ręce na plecach, spostrzegłam też konopny sznur, który pętał mi kostki.

Na zbitym z nieheblowanych desek suficie nad moją głową dyndała lampa olejna, wydająca duszące, gorące smrodliwe opary i świecąca nikłym światłem. Zobaczyłam duże głązy, ułożone wokół kałuży wody o barwie terpentyny, znajdującej się u moich stóp; wyglądało to jak parodia mojej ukochanej kotlinki w rodzinnej posiadłości. Miałam wrażenie, że podłoga się pode mną porusza. Czułam dziwną lekkość w głowie. Zamknęłam oczy i czekałam, aż w końcu miną mdłości.

Ale trwało to dalej. Mówię o wrażeniu, że wszystko się rusza. I uświadomiłam sobie, że lekkość w mojej głowie jest efektem tego, że porywacz, kimkolwiek był, zabrał mi kapelusz, obawiając się zapewne, że mogłabym zrobić użytek ze szpilek. Głowa, osłonięta jedynie moimi własnymi spletanymi włosami, wydawała się lekka, a otaczający mnie świat wokół przechylał się i kołysał, nie miałam jednak nudności.

Wyglądało na to, że leżę w piwnicy łodzi.

To znaczy pod pokładem; przypomniałam sobie, że tak się mówi. Nie miałam do czynienia z barkami, statkami i innymi większymi jednostkami, ale raz czy dwa pływałam łodzią wiosłową i rozpoznałam ten unoszący się, chybotliwy ruch małej jednostki stojącej w swojej zagrodzie, że się tak wyrażę. Na wodzie, ale z dziobem przycumowanym do pala. Sufit, z którego zwieszała się lampa, był spodnią częścią pokładu. Brudna kałuża u moich stóp to woda zebrana w tak zwanej zęzie, a kamienie, jak mi się wydaje, służyły za „balast”.

Otworzyłam oczy i wyteżyłam wzrok, żeby się rozejrzeć po moim ciemnym więzieniu i spostrzegłam, że nie jestem sama.

Na przeciwległej ścianie kadłuba siedział chłopak ze związanymi na plecach rękoma. Jego spętane w kostkach nogi dzieliła od moich zęza. Patrzył na mnie.

Badawczo.

Ponure ciemne oczy. Zaciśnięte szczęki.

Tanie, niedopasowane do sylwetki ubrania. Nagie stopy, miękkie, obolałe, blade.

Nierówno przycięta blond szczecinka na głowie.

I twarz, którą już widziałam na zdjęciu na pierwszej stronie gazety.

Wicehrabia Tewksbury, markiz Basilwether.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

To doprawdy jakiś absurd. Niemożliwe. Przecież miał uciec na morze.

Nie bacząc na konwenanse i formalności, zawołałam:

– Co ty tu, na miłość boską, robisz?

Złociste brwi uniosły się w górę.

– Czy panna zakłada, że się znamy?

Rany boskie, niczego nie zakładam. Oburzenie i zaskoczenie kazały mi się wyprostować, co zwyczajnie nie było łatwe. I pogorszyło mi jeszcze bardziej humor.

– Wiem, kim jesteś, Tewky – rzuciłam.

– Nie nazywaj mnie tak!

– Dobrze, lordzie Tewksbury, co pan robi bez butów na łódce?

– Równie dobrze można by dociekać, co tu robi podłotek w przebraniu wdowy. – Jego ostry głos nabrał jeszcze bardziej arystokratycznych tonów.

– O? – Odcięłam mu się. – Chłopak okrętowy z akcentem z Eton?

– O? Wdowa bez obrączki?

Wcześniej nie byłam w stanie spojrzeć na związane na plecach ręce, nie od razu więc zauważyłam jedną ze zmian. Ale teraz, po wyprostowaniu, za sprawą tiurniury odkryłam, że zbyt wyraźnie wyczuwam pod palcami krępujące mnie więzy.

– Dlaczego zabrał mi rękawiczki?! – krzyknęłam.

– Zabrali – poprawiła mnie jego lordowska mość. – Liczba mnoga. Jest ich dwóch. Chcieli ci ukraść obrączkę, ale jej nie znaleźli. – Mówił aroganckim i pyszałkowatym tonem, zauważyłam jednak, że ma poszarzałą twarz, a jego wargi drżą. – Przetrzęsnęli ci też kieszenie, ale znaleźli tylko kilka szylingów, szpile do włosów, trzy kawałki lukrecji, raczej przybrudzoną chustkę do nosa...

– Doprawdy? – Próbowałam przerwać tę wyliczankę, bo na myśl, że kiedy leżałam nieprzytomna, jacyś nieznani mi mężczyźni wsuwali mi łapy w kieszenie, zatrzęsło mną z oburzenia. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że mnie przy tym nie obmacywali, ponieważ mój zaimprovizowany sekretny bagaż osobisty pozostał nietknięty. Czułam, że wypełniacz biustu, nakładki na biodra i tiurniura tkwią na swoich miejscach.

– ...grzebień, szczotkę, jakąś broszurkę ozdobioną kwiatami...

Poczułam ukłucie w sercu, jakby w tej właśnie chwili Tewky zabił mi na moich oczach matkę. Zapiekły mnie oczy. Przygryzłam jednak wargi – ani czas, ani miejsce nie pozwalały mi teraz oplakiwać tej straty.

– ...a ponieważ masz rozciętą z jednej strony sukienkę, zaliczyli też gorszący widok różowego gorsetu.

– Paskudny chłopaku! – Moje nieszczęście dołożyło ognia do buzującej we mnie złości. Płonąc ze wstydu i trzęsąc się z oburzenia, wybuchnęłam: – Zaslugujesz na to, co cię spotkało i na więzy...

– A ty, droga rówieśnico, nie zasłużyłaś na to samo?

– Jestem od ciebie starsza!

– O ile?

O mały włos bym się wygadała, ale w porę przypomniałam sobie, że nie wolno mi nikomu zdradzać swojego prawdziwego wieku. Niech go licha, inteligentny dzieciak!

I – mimo udawanej brawury – przerażony.

Równie przerażony jak ja.

Zaczerpnęłam spory haust powietrza i spytałam go łagodniejszym już nieco tonem:

– Kiedy cię tu uwięzili?

– Jakąś godzinę temu. Kiedy porywał mnie ten mniejszy, ten przerośnięty z jakiegoś powodu cię śledził. Ja... – Przerwał, bo na górze zadudniły ciężkie kroki. Po chwili zapadła cisza, a na dalekim końcu naszego więzienia otworzył się właz i na zęzę padł kwadrat światła z trzymanej przez kogoś latarni. Po chwili stałam się świadkiem dość groteskowego zjawiska, jakim jest obserwacja schodzącego tyłem do mnie po drabinie mężczyzny. Pierwsze pojawiły się podeszwy jego gumowych butów, a następnie stopniowo cała reszta.

– Nie dawniej niż godzinę temu – powiedział złażący po szczeblach człowiek do kogoś na górze. Rozpoznałam ten skrzekliwy głos. Jego chuderlawy, niski i przygarbiony właściciel kulił się jak traktowany zbyt często kopniakami i zagłodzony kundel. – Znalazłem go rychtyczek tam, gdzie mi napisałeś w depeszy, szwendał się po nadbrzeżu, przy którym cumuje Great Eastern. Jeśli chodzi o chłoptysia, to mamy ustalony plan działania, ale co zrobimy z tą pannicą?

– Mniej więcej to samo – zawarczał drugi mężczyzna, który również schodził pod pokład.

Ten głos także rozpoznałam i patrzyłam ze stoickim spokojem, jak najpierw ukazują się czarne buciory, a potem jego zwałista postać, przyodziana w ciemny strój, który mógłby należeć do dżentelmena, jednak takiego, który czasy swojej świetności ma już za sobą. W świetle niesionej przez niego latarni zauważyłam, że ma na dłoniach żółte rękawiczki. Wiele szlachetnie urodzonych osób płci obojga nosiło rękawiczki z koźlącej skóry, nierzadko żółtej barwy, dla podkreślenia pozycji społecznej.

Kiedy jednak pokazała się jego wielka głowa, okazało się, że nie wieńczy jej pański kapelusz, tylko zwykła robociarska czapka.

Byłam przygotowana na to, co zobaczę, kiedy odwróci się w moją stronę.

Tak, była to ta sama zimna, biała twarz, która wychynęła w pociągu zza szyby mojego przedziału niczym złowieszczy księżyc. Albo złowieszcza biała czaszka. Kiedy mężczyzna zdjął czapkę, zobaczyłam, że jest całkiem łysy i świeci obrzydliwą, kojarzącą się z żerującymi pod ziemią robakami białą nagiej skóry. Tylko z uszu wystawały mu kępki grubych rudawych włosów.

– Myślałem, że pójdziesz za nią tylko wówczas, kiedy ja nie znajdę chłoptysia – powiedział chudeusz.

– Ale wolałem mieć podwójną pewność – odezwał się, przeciągając samogłoski, łysy osilek.

– No i także dlatego, że lalunia twierdzi, iż nosi nazwisko Holmes.

Kiedy to mówił, jego kompan obserwował moją twarz ze złośliwą satysfakcją, uśmiechając się znacząco na widok moich szeroko otwartych oczu i rozdziawionych ust. Nie potrafiłam ukryć zaskoczenia. Skąd ten człowiek wie, kim jestem? Jak może to wiedzieć?

Ukontentowany moją reakcją, odwrócił się do kamrata. A tamten ciągnął:

– Mówi, że jest krewną Sherlocka Holmesa. Jeśli to prawda, za nią też dostaniemy okrągłą sumkę.

– No to czemu próbowałeś ją zabić?

A więc dobrze się domyślałam, że to zwałiste chłopisko z włosami w uszach jest nikim innym jak opryskiem, który napadł na mnie z nożem na ulicy.

Osilek wzruszył rozrośniętymi ramionami.

– Zdenerwowała mnie – powiedział z obojętnością.

Udało mi się przywrócić opadłej szczęce należne jej miejsce, bo nagle wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Szukał mnie w pociągu. Szedł za mną ze stacji.

A jednak – nic nie miało sensu. Dlaczego napadł na mnie wiedziony przekonaniem, że znam miejsce pobytu lorda Tewksbury'ego?

– Sekutnica. – Rzeźmieszek zmierzył mnie czarnym jak węgiel i zimnym jak lód spojrzeniem. Coś... ale nie bardzo wiedziałam co... coś mi te oczy przypominały. Ale jednocześnie przerażały do tego stopnia, że wstrząsnął mną dreszcz. Drab dodał: – Tutejszych panien zazwyczaj nie stać na

gorsety. Ale rozplątałem już w życiu parę brzuchów, więc nie próbuj, pannica, drugi raz wyprowadzać mnie z równowagi.

Siedziałam w milczeniu, nie mogąc się zdobyć na żadną sensowną odpowiedź.

Śmiertelnie przerażona, jeśli mam być szczerą.

Wówczas ten drugi, rachityczny opryszek, zepsuł cały efekt, mówiąc kompanowi:

– No, lepiej się miarkuj, żeby nie zdenerwować Sherlocka ‘Olmsa, bo z tego, co o nim gadają, nie warto z nim zadzierać.

Zwalisty dryblas odwrócił się do niego z gniewem.

– Zadzieram, z kim chcę. – Jego groźny głos był jak ostrze noża. – A teraz idę spać. Pilnuj tych dwojga.

– Od początku miałem taki zamiar – zamruczał cherlak, ale dopiero kiedy jego potężny kolega zniknął we władze.

Cherlak, któremu powierzono rolę stróżującego kundla, usiadł, opierając się plecami o drabinę i mierzył nas swoimi wrednymi, małymi ślepiami.

– Kim pan jest? – odważyłam się go spytać.

Nawet w skąpym świetle lampy widać było, że jego wyszczerzone żółte zęby są mocno przerzedzone.

– Książę Charmant von Zgniłen Jabłken, do usług – odpowiedział.

Oczywiście kłamstwo. Skarciłam go wzrokiem.

– Skoro już jesteśmy przy prezentacjach – odezwał się lord Tewksbury – to może dowiem się wreszcie, kim sama jesteś?

Pokręciłam głową.

– Nie gadać – warknął Skrzekliwy Głos.

– A co – spytałam go rzeczowo – pan i pański przyjaciel zamierzacie z nami zrobić?

– Zabrać na tańce, moje złotka. Mówiłem już: nie gadać!

Nie chcąc dostarczać temu odrażającemu indywiduum dalszych uciech, położyłam się na deskach, rozciętą stroną sukni w dół, i zamknęłam oczy.

Nie jest łatwo zasnąć, albo choćby udawać sen osobie, która ma związane z tyłu ręce. Jakby tego było mało, stalowe pręty konstrukcji gorsetu wpijały mi się boleśnie w pachy.

Mój umysł, podobnie jak ciało, dręczyło poczucie narastającego dyskomfortu. W niedawnej rozmowie padła wzmianka o „okrągłej sumce”. Chodziło, rzecz jasna, o pieniądze, więc wywnioskowałam, że zostałam uprowadzona dla okupu. Nie mogłam sobie wyobrazić bardziej poniżającego scenariusza mego powrotu do braci. Nie ulegało wątpliwości, że wyślą mnie zaraz potem na pensję z internatem, dawszy mi przedtem parę solidnych klapsów. Zastanawiałam się, czy odbiorą mi wtedy ukryte pieniądze. Zachodziłam też w głowę, jakim cudem roślejszy ze zbirów dowiedział się o mnie, jak to się stało, że mnie śledził, a co jeszcze bardziej deprymujące, w jaki sposób dowiedział się o ucieczce wicehrabiego Tewksbury i wysłał swemu kundlowatemu wspólnikowi zbrodni informującą o tym fakcie depeszę. Zastanawiałam się, co mogą oznaczać słowa „mniej więcej to samo”. Drżąc z przerażenia, tłumaczyłam samej sobie, że muszę się skupić na wypatrywaniu najmniejszej sposobności do ucieczki. A jednocześnie rozsądek podpowiadał mi, że najsmądziej będzie jednak zapanować nad oddechem, przestać się trząść, oszczędzać siły i spróbować zasnąć.

Ze względu na kształt kadłuba leżałam na pochyłej powierzchni, przypominającej nieco hamak, jednak było mi okropnie niewygodnie, mimo wszystkich miękkich pakunków, które poupychałam pod suknią. Spróbowałam zmienić położenie kończyn, żeby przybrać trochę wygodniejszą pozycję, jednak bez większego powodzenia. Jedyнным odczuwalnym skutkiem tego manewru było to, że ostre końcówki stalowych umocnień przekłętego gorsetu nie tylko wpijały mi się teraz w pachy, lecz także wylazły u dołu przez rozciętą materiał sukni, budząc koszmarnie wspomnienia o tym, jak nóż rzeźmieszka...

Stal. Nóż.

Znieruchomiałam.

Och... Och, gdybyż mi się udało.

Po krótkim namyśle uchyliłam lekko powieki, żeby zerknąć przez rzęsy na Kundla-Szczekacza. Jak dobrze, że skromność kazała mi się położyć na prawym boku, twarzą w jego stronę, by ukryć wystający gorset. Zobaczyłam, że wciąż siedzi oparty o drabinę, lecz głowa mu opadła i kiwała się rytmicznie. Usnął.

Niby dobrze, ale póki siedzi pod drabiną, nie da się go w żaden sposób wyminąć. Dobrze, tym zagadnieniem zajmę się później.

Starając się robić jak najmniej hałasu, zaczęłam manewrować górną częścią ciała tak, by zaczepić wiążący mnie sznur o wystający z gorsetu pręt.

Nie było to proste, ponieważ drań przeciął mi suknię z boku. Ale udało mi się maksymalnie wyprostować górną rękę przy jednoczesnym uniesieniu ciała na łokciu dolnej. Zacisnąwszy zęby, by nie zdradzić się mimowolnym jękiem, zdołałam przełożyć sznur, którym spętano mi przeguby, za czubek odsłoniętego stalowego umocnienia gorsetu.

Przy takim skręceniu ciała możliwość wykonywania ruchów była bardzo ograniczona, jednak udało mi się przesunąć w górę sztywno nakrochmalony materiał, którym obszyto stal.

I wówczas, skręcona do granic wytrzymałości, przystąpiłam do przecinania więzów.

Ani razu nie spojrzałam przy tym w stronę lorda Tewksbury. Próbowałam wcale o nim nie myśleć, a jeśli już, to tylko po to, by utrzymywać się w przekonaniu, że chłopak zasnął. Inaczej nie zniosłabym poniżającej myśli, że ktoś mnie ogląda w tak dziwacznej pozie.

W tę i z powrotem, w tę i z powrotem, mozolnie pracowałam rękoma, dociskając pętający mnie sznur do stalowego pręta. Zaciskałam zęby z bólu i tarłam, tarłam przez wiele godzin. Nie wiem, ile ich minęło, bo przy zamkniętym włazie nie sposób uwięzionej pod pokładem osobie rozpoznać pory dnia. Nie mogłam też stwierdzić, czy robię jakiegokolwiek postępy, ponieważ nie byłam w stanie dostrzec efektów swoich poczynań. Czułam, że się kaleczę. Ale zaciskałam zęby i napierałam na sznur z coraz większą siłą, wpatrując się przez cały czas w śpiącego cerbera, nadstawiając przy tym uszy, by złowić obce dźwięki zagłuszane przez mój ciężki oddech. Bardziej wyczuwałam, niż słyszałam bicie fal o burtę, chlupot wody w zębie czy stłumione uderzenia, kiedy uniesiona przez zabłąkany prąd łódka uderzała burtą o keję. I nagle Skrzekacz wzdrygnął się, jakby łąziła po nim dokuczliwa pchła. Miałam ułamek sekundy na to, by przywrzeć płasko do podłoża i ukryć dłonie za plecami, zanim zdąży otworzyć oczy.

– Słuchaj no – zagderał, rozglądając się wściekłym wzrokiem – i po cholere tak kołyszysz łajbą?



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zamarłam, kuląc się jak królik w gęstwinie. Ale z drugiej strony zęzy odezwał się władczy głos:

– Po co? Bo życzę sobie, żeby łajba się bujała. Chcę, nie – żądam, żeby ta krypa się bujała.

I bujała się aż miło, ponieważ młody wicehrabia Tewksbury, markiz Basilwether, siedział, kołysząc ciałem w przód i w tył, by nasze więzienie nie zamarło w bezruchu.

– Ej, ty! – Skrzekacz wbił w niego roziskrzone gniewem oczy. – Przestań.

– Zmusz mnie – odparował hardo lord Tewksbury, mierząc go wzrokiem i nie przestając się kołysać.

– Zmusić cię, powiadasz? – Skrzekacz skoczył na równe nogi. – Zgrywasz mi tu za jaśnie pana, chłoptasiu? Zaraz ci, do kroćset, pokażę. – Zacisnęła pięści i podszedł do Tewksbury’ego, ustawiając się zarazem tyłem do mnie.

Natychmiast usiadłam i wykręciwszy mocno tułów, pochyliłam się na bok, by ponownie zlokalizować końcówkę stalowego pręta związanymi dłońmi.

A wredny porywacz kopnął z całych sił młodego lorda w nogę.

Chłopak zniósł to w milczeniu, za to ja omal nie wrzasnęłam ze złości. Miałam ochotę chwycić niegodziwca, uderzyć go, powstrzymać. Z tego wszystkiego przestałam myśleć i zaczęłam walczyć z krępującymi moje nadgarstki sznurami tak zawzięcie, że napięte do granic ramiona w każdej chwili mogły mi wyskoczyć ze stawów.

I wówczas coś strzeliło. Przeszył mnie straszliwy ból.

Skrzekacz ponownie poczęstował Tewksbury’ego kopniakiem.

– Nie przerywaj sobie – powiedział chłopak. – Bardzo to lubię. – Ale znać było, że kłamał, bo mówił to przez ściśnięte cierpieniem gardło.

Czułam potworny ból i w pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że zamiast więzów zerwałam sobie coś wewnątrz. Zaraz potem dotarło do mnie jednak, iż spoglądałam na swoje własne dłonie, które pojawiły się znieacka przede mną jak para niecierzących się dobrą sławą znajomków. Skatowane, pokryte krwią, ze zwisającymi z przegubów konopnymi strzępami.

– Lubisz to? Zaraz się przekonamy – zaskrzeczał nasz parszywy strażnik, kopiąc lorda Tewksbury’ego po raz trzeci, z jeszcze większą zawziętością.

Tym razem Tewky wydał przeciągły jęk.

W tej samej chwili podniosłam się do pozycji stojącej. Miałam jeszcze spętane stopy, jednak nie musiałam się przemieszczać, ponieważ znalazłam się tuż za plecami porywacza. Moje dłonie, które najwyraźniej wiedziały lepiej niż ja sama, co robić, chwyciły spory kamień balastowy akurat w tym momencie, kiedy Skrzekacz cofnął nogę, szykując się do kolejnego kopniaka. Jednak ledwie zdążył wziąć zamach, uniosłam swoją prymitywną broń i opuściłam ją szybkim i pewnym ruchem, celując prosto w jego ciemię.

Padł bez żadnego dźwięku, rozbryzgując na boki zebraną w zęzie wodę, i znieruchomiał.

Zamarłam na chwilę, gapiąc się na pokonanego opryszka.

– Idiotko, rozwiąż mi ręce! – krzyknął lord Tewksbury.

Powalony drań leżał tam, gdzie padł, w zupełnym bezruchu, zauważyłam jednak, że oddycha.

– Rozwiąż mnie, głupia!

Apodyktyczny ton chłopaka obudził mnie z chwilowego marazmu. Stałam plecami do żęzy.

– Wariatko, co ty wyprawiasz?

Robiłam wszystko, żeby zachować mizerne resztki skromności, jednak nie poinformowałam go o tym. Rozpięłam guziki stanika swej sukni, zagłębiłam dłoń w czeluści mojego frontowego przenośnego magazynu i wygrzebałam z niego scyzoryk, wyjęty z zestawu do rysowania i ukryty w uzdatniaczu biustu razem z ołówkiem i paroma złożonymi arkusikami papieru. Zapiąwszy się ponownie aż po szyję, otworzyłam scyzoryk, pochyliłam się i rozciąłam ostatnie krępujące mnie sznury.

Lord Tewksbury, który nie miał pojęcia, co robię, ponieważ widok przesłaniała mu moja rozkloszowana czarna spódnica, zmienił ton z władczego na błagalny.

– Proszę cię... Bardzo proszę! Widziałem, co robisz, więc ci pomogłem, prawda? Proszę cię...

– Cii, za jedną chwilę.

Uwolnwszy stopy, odwróciłam się, przeszłam nad znieruchomiałym ciałem naszego strażnika i pochyliłam się nad młodym współwięźniem. Jednym szybkim cięciem rozprawiłam się ze sznurem, którym splecano mu ręce na plecach. Potem podałam mu nożyk, żeby sam mógł uwolnić z więzów stopy. Wytarłam o spódnicę zniszczonej czarnej sukni krew z przegubów rąk, oceniłam skaleczenia – były na tyle płytkie, że nie stanowiły większego zagrożenia – a potem sięgnęłam do włosów, które już od dawna nie próbowały nawet udawać spiętych w koczek i wisiały w strąkach u moich ramion. Wyszukałam w spletanym kołtunach kilka szpilek i spróbowałam spiąć nimi dwa brzegi rozdartej tkaniny sukni.

– Pospiesz się – ponaglił mnie młody wicehrabia Tewksbury, który zdołał już się podnieść i czekał w pełnej gotowości, trzymając w dłoni niezamknięty scyzoryk.

Oczywiście. Miał rację. Szkoda czasu na myślenie o doprowadzaniu się do ładu. Pokiwałam głową i ruszyliśmy ramię w ramię w stronę wiodącej ku wolności drabiny. Kiedy jednak przed nią stanęliśmy, spojrzeliśmy po sobie z wahaniem.

– Panie mają pierwszeństwo? – spytała niepewnie jego lordowska mość.

– Ustąpię pola dżentelmenowi – odparłam, pomna nauk, że dobrze wychowana panna nigdy nie powinna dopuszczać do sytuacji, w której osobnik płci przeciwnej mógłby jej zajrzeć pod spódnicę. Nie pomyślałam jednak o tym, co może nas czekać na górze.

Tewksbury kiwnął potakująco głową i, nie wypuszczając z dłoni scyzoryka, zaczął piąć się w górę. Kiedy uniósł osłonę włazu, oślepił mnie jaskrawy blask. Noc zdążyła już przejść w dzień, chociaż trudno było mi określić, czy to jeszcze ranek, czy już popołudnie. W pamięci utrwalił mi się jedynie przerywany szybkim mruganiem obraz ciemnej sylwetki wicehrabiego, kiedy ten wystawił głowę ponad właz i rozejrzał się ostrożnie wokół. Nie robiąc hałasu, uniósł pokrywę, odłożył ją na bok, wy dostał się na pokład i ponaglił mnie gestem.

Wdrapałam się za nim w błyskawicznym tempie i zobaczyłam, że czeka na mnie z wyciągniętą ręką, by pomóc mi się wydobyć na pokład. Mimo że niedawno nazwał mnie kolejno idiotką, głupią i wariatką, chłopak zachował jednak jakieś odruchy rycerskości. Najrozsądniejszym dla niego wyjściem byłaby, oczywiście, dalsza ucieczka bez mojego udziału. A jednak wydało nam się samo przez się słuszne, że skoro razem popadliśmy w niewolę, to i razem powinniśmy się z niej wyzwolić. Mnie, rzecz jasna, nie przyszłoby do głowy myśl, żeby zostawić go na pastwę losu i uciec, ale odniosłam wrażenie, że i on nie wyobrażał sobie sytuacji, w której mnie opuszcza.

Dotarłszy do ostatnich szczebli drabiny, chwyciłam jego dłoń...

Straszliwy głos wyrzycał straszliwe przekleństwo. Nigdy nie słyszałam ani nawet nie przeczuwałam czegoś równie plugawego. Kiedy tylko moje oczy znalazły się ponad deskami pokładu, ujrzałam jakąś monstrualną, szkarłatną postać, która wyłoniła się z kabiny, by po chwili jednym susem pokonać niewielką odległość dzielącą drewniane drzwi od włazu.

W tym pełnym grozy ułamku sekundy odkryłam ku swemu zdumieniu, że niektórzy z dżentelmenów, a może panów niegodnych miana dżentelmena, używają górnych i dolnych niewymownych części garderoby uszytych z krwistoczerwonej flaneli.



Wrzasnęłam w panice.

– Szybko!

Tewksbury wyprostował się, pociągnął mnie w górę i uskoczył przed szarżującą zgrozą.

– Biegnij!

Odniosłam wrażenie, że zechce powstrzymać napastnika, grożąc mu malutkim scyzorykiem.

– Nie, ty biegnij. – Jedną dłonią zebrałam spódnice i halki, podciągając je nad kolana, drugą chwyciłam go za kołnierz i ruszyłam w stronę burty. Razem – choć z konieczności musiałam go wtedy puścić – skoczyliśmy nad wodą, lądując na chybotałych deskach czegoś, co można chyba było określić mianem pomostu. A potem, podtrzymując już oburącz dolną część sukni i halek, pognałam po wąskiej, nierównej powierzchni co sił w nogach.

– Daleko nie uciekniecie – zawył dziki głos z łódki. – Wrzucę coś na siebie i zaraz was dorwę w swoje ręce.

Jako długonogie z natury stworzenie, uwielbiałam biegać, jednak nigdy dotąd nie robiłam tego, płacząc się we własny strój po labiryncie pomostów, zbitych z butwiejących, pokrytych zielonym szlamem desek. Biegliśmy na oślep po przedzielonych mętną wodą pirsach, kejach i kładkach, patrząc z przerażeniem, że coraz większa połać cuchnącej wody oddziela nas od stojących nad brzegiem Tamizy tawern i magazynów.

– Któ... rędy? – wysapał Tewky.

Nie potrafiłam już myśleć o nim jak o lordzie, wicehrabim czy synu księcia. Teraz stał się moim towarzyszem niedoli, dyszącym tuż za mną z wysiłku.

– Nie mam pojęcia! – rzuciłam.

Nagle znaleźliśmy się na końcu pomostu, otoczonego z trzech stron smolistoczną wodą, więc ślizgając się i potykając, zawróciliśmy, by poszukać odwrotu. Po chwili trafiliśmy na kolejny wiodący donikąd pomost. Zaczęłam drżeć, wiedząc, że gdybym się znalazła w wodach tej czarnej rzeki, pożegnałabym się z życiem. Utopiłabym się. Miałam zresztą poważne wątpliwości, czy Tewksbury opanował kiedykolwiek sztukę pływania. Ale nie było czasu na wahanie. W nazbyt niewielkim oddaleniu nasz zwalisty prześladowca ponownie wychynął z kabiny swojej łodzi, tym razem w nieco bardziej przyzwrotnym odzieniu, wrzeszcząc:

– Ukatrupię was oboje! – Po czym jak rozjuszony niedźwiedź skoczył ciężko z pokładu na pomost.

Gorzej. Tuż za nim podążała nieduża, skulona postać, przypominająca biegającego za żebrakiem wygłodzonego psa. Najwyraźniej nie zadałam Skrzekaczowi wystarczająco mocnego ciosu.

– Skacz! – zawylałam i z łopotem spódnic dałam susa na sąsiednią keję.

Pomost zachybotał się pode mną, ale udało mi się utrzymać równowagę, jednak kiedy stałam już pewnie na nogach, łapiąc powietrze, rozkołysał się ponownie, i to mocniej, gdyż obok mnie wylądował z hukiem Tewksbury. Nie mając tchu na porządny wrzask, kwiknęłam jak zarzynane prosię. Tewky chwycił mnie za ramię, krzycząc:

– W nogi! – I tym razem pobiegł jako pierwszy.

Zauważyłam, że zgubił gdzieś po drodze scyzoryk, a jego bezbronna prawa ręka drży. Sama natomiast zaczęłam się trząść jak galareta, ponieważ poczułam pod stopami drgania, wywołane ciężkimi krokami zmierzającego ku nam bandyty.

– O, nie! – jęknęłam, kiedy znów zatrzymaliśmy się nagle na końcu prowadzącego donikąd pomostu.

Tewky powiedział coś, czego nie da się powtórzyć.

– Wstydz się. Tędy! – Zawróciłam, przejmując ponownie prowadzenie, i po paru chwilach znaleźliśmy się wreszcie na znacznie pewniejszym podłożu z kamieni, cegieł i zaprawy. Jednak nasi nieprzyjaciele, obyci z terenem, dotarli do nadbrzeża w tej samej chwili co my i byli już o rzut kamieniem od nas. Dostrzegłam krew na głowie Skrzekacza i wściekłość w jego zmrużonych oczkach. Znów widziałam wyraźnie włoski wystające z uszu większego z rzezimieszków i jego okrągłą, czerwoną z gniewu twarz. Krwawy księżyc, zła wróżba.

Tak, przyznaję się, ponownie krzyknęłam. A raczej zakwiliłam jak trafiony kulą królik.

Pociągnęłam Tewky'ego za rękę, wbiegłam na oslep w jakąś wąską uliczkę i skręciłam na pierwszym skrzyżowaniu.

– Szybko!

Kluczac między wyładowanymi po brzegi wozami, ciągnionymi z wysiłkiem przez konie pociągowe, przebiegliśmy w poprzek jezdni ku kolejnej przecznicy. A ja, zdyszana, z twarzą ociekającą potem i mokrym od niego ubraniem, w skwarze upalnego dnia, wciąż słyszałam odgłosy depczącego nam po piętach pościgu.

Tewky najwyraźniej osłabł. Ciągnąc go za rękę, nie mogłam nie zauważyć, że każdy krok wywołuje u niego spazm bólu. Jego stopy. Gołe, pocierane, objijające się o twarde bruk. A droga wiodła pod górę, ponieważ oddalaliśmy się od rzeki.

– Chodź!

– Nie mogę – wydyszał chłopak, próbując wyrwać mi dłoń. Ścisnęłam ją mocniej.

– Owszem, możesz. Musisz.

– Idź... sama. Ratuj się.

– Nie. – Trzepotałam szybko powiekami, żeby odegnać oslepiającą mnie panikę, i rozglądałam się w biegu wokół siebie. Wyglądało na to, że dotarliśmy już w okolice, w których przestały dominować wozy dostawcze, doki i magazyny. Biegliśmy teraz biedną uliczką pełną nędznych zabudowań i jeszcze nędzniejszych sklepików; minęliśmy kram handlarza ryb, lombard, zakładzik naprawy parasoli. I całą masę przekupniów: „Żywe małże, żywe ostrygi!”, „Lody dla ochłody! Zimne i słodkie lody truskawkowe!”. Wszędzie uwijali się jacyś ludzie: śmieciarz z zaprzężonym w osiołka wozem, zbieracze złomu z taczkami pełnymi żelastwa, kobiety i dziewczyny biegające w czepkach i fartuchach, które powinny być białe, ale zarosły brudem i przybrały barwę grzybów. Ludzie, którzy raczej nie byliby skorzy nam pomóc, i nie na tyle liczni, by bosy młodociany uciekinier mógł się przemknąć między nimi, nie budząc zdziwienia, że o ledwo dyszącej, potarganej dziewczynie bez kapelusza, odzianej w podartą i usmarowaną krwią wdową suknię nie wspomnę.

– Łapać złodziei! – Rozległ się zachrypnięty, ale wciąż donośny ryk. – Zatrzymajcie tę łajdacką dwójkę! Szubrawcy! Kieszonkowcy!

Gapie obracali głowy za Tewkym i za mną, a my skręciliśmy w uliczkę pełną składów i sklepów ze starzyzną: były tu meble z drugiej ręki, używane ubrania, warsztaciki naprawy kapeluszy, zakłady szewskie, kolejne używane ubrania. Dostrzegałam pojedyncze twarze, ukazujące się zamglonym przez skwar i przerażenie oczom, by po chwili znowu się rozplynać.

Jedna z mijanych osób wydała mi się znajoma, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie ją przedtem widziałam. Dopiero po chwili wróciła mi pamięć.

– Tewky! Szybko! – Skręciłam pod ostrym kątem w wąski pasaż między dwoma sypiącymi się zajazdami, przebiegłam za stojącą na rogu oborę i zaczęłam bieć przez położone na tyłach budynków cuchnące podwórza, z których unosił się zapach osłów, kóz, gęsi i kur. Kolejny skręt...

– Nie uciekniecie nam! – ryknął zza obory wywołujący grozę głos, zbyt dobrze słyszalny, by budzić choć cień nadziei.

– Poddajcie się! – wrzasnął drugi, skrzekliwy głosik.

– Kretynko! – zawołał Tewksbury, najwyraźniej mając na myśli moją osobę. – Dlaczego biegamy w kółko? Złapią nas!

– Zaraz się przekonasz. Biegnij za mną!

Puściłam jego rękę i – żegnając się z ostatnimi resztkami skromności – rozpięłam jednym szarpnięciem guziki góry mojej sukni. Kiedy znaleźliśmy się w jakimś niezwykle brudnym zaułku, wcisnęłam rękę do mojej frontowej skrytki. Natrafiłam na pakiecik pakuneczków ze sztywnego papieru i wyciągnęłam jeden z nich. Zacisnęłam go w dłoni i pokonawszy ostatni róg dzielący nas od mijanej przed paroma chwilami ulicy, pognałam w kierunku sklepu z używaną odzieżą.

Jego właścicielka stała w wejściu, rozkoszując się widokiem uliczki i chłodnym wiatrem. Kiedy jednak spostrzegła, że biegnę w jej stronę, malująca się na jej twarzy błogość zniknęła, ustępując

zaniepokojeniu. Nie przypominała mi już ani rudzika, ani ropuchy. Wyglądała jak mysz, którą kot przygwoździł do ziemi łapą.

– Nie! – zawołała z przestraczem, kiedy do niej podbiegłam. – Nie, Nożownik by mnie zabił. Szkoda mi życia...

Nie było czasu na dyskusje. Tewky i ja mieliśmy do dyspozycji krótki moment poprzedzający wyłonienie się zza rogu dwóch złoczyńców. Wykorzystałam go więc, by wcisnąć stufuntowy banknot w rękę – jak się domyśliłam – pani Culhane, chwyciłam Tewky’ego za rękaw i wciągnęłam go za sobą do Składu Używanych Ubrań Pani Culhane’owej.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Łapiąc oddech, wpadliśmy do ponurego, zapyziałego i zawalonego rzeczami pomieszczenia, w którym brakowało tylko dziada z babą. Pod jedną ze ścian ustawiono wieszaki z ogromną liczbą długich płaszczy i peleryn; chcąc się jak najszybciej ukryć, wcisnęliśmy się pomiędzy ich rzucające cień fałdy. Stałam tam rozdygotana, z zaciśniętymi dłońmi, i obserwowałam wejście, chcąc się zorientować, czy moja łapówka przyniosła pożądany skutek.

– Schowaj się pod stołem – szepnął Tewky.

Potrząsnęłam głową. Gotowa w każdej chwili rzucić się ponownie do ucieczki, zerkałam przez frontowe drzwi i okno. Po chwili zobaczyłam, jak przechodnie uskakują na boki, ustępując drogi zwalistemu rzezimieszkowi i jego skrzeczącemu kundlopodobnemu kamratowi, którzy wtoczyli się z impetem na środek ulicy, rozglądając się na wszystkie strony. Dostrzegłam, że większy z nich chwycił za kołnierz jakiegoś włóczęgę, niemal unosząc go nad ziemię, i wrzeszczy mu coś w twarz. Biedak zamachał rękoma i pokazał w naszą stronę.

Nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie się podziała pani Culhane’owa.

Ale po chwili znów stała w drzwiach, odwrócona do mnie plecami. Wyglądała trochę jak żółw, któremu zawiązano na kraciastej skorupie cienkie tasiemki fartucha.

Po chwili zatrzymał się przy niej nasz prześladowca z twarzą jak księżyc w pełni oraz jego nieodłączny giermek. Górowali nad nią. Nawet rachityczny Skrzekacz był od niej o wiele wyższy. I nie wiem, czy sama byłabym w stanie znieść ich przepełnione żądzą krwi spojrzenia.

Jednak przysadzista stara kobieta stała na straży wejścia jak korek. Zobaczyłam, jak potrząsa przecząco głową, a następnie gestykuluje w stronę dalszego końca ulicy.

Dostrzegłam, że wpadające przez drzwi światło tworzy wokół niej aureolę chwały.

Zobaczyłam, jak dwaj złoczyńcy odwracają się i ruszają w dalszą drogę.

Przytrzymując się jakiejś starej peleryny, żeby nie upaść, oparłam się z westchnieniem ulgi o ścianę.

Tewky złożył się jak sztaluga i osunął na podłogę.

Pani Culhane’owa wykazała się sporą przytomnością umysłu i zamiast od razu schować się do wnętrza, postąpiła jeszcze kilka chwil w drzwiach swego sklepu. Kiedy wreszcie weszła do środka, zdążyłam już odzyskać siły, odszukać na zapleczu pomieszczenie z bieżącą wodą, namoczyć prostokątny kawałek spłowiałej czerwonej flaneli i położyć go na twarzy Tewky’ego. Kiedy usiadł, zajęłam się jego zmaltretowanymi stopami. Przykładałam raz po raz zaimprovizowany kompres, próbując zetrzeć ziemię i krew, delikatnie, żeby sprawić mu jak najmniej bólu. I właśnie w chwili, w której przyglądałam się jego poranionym i obolałym podeszwowom, nasza ropuchowata wybawicielka weszła do sklepu, zamknęła drzwi wejściowe na klucz, zasłoniła ich szybką roletą i podreptała w moją stronę.

– A więc – odezwała się – jednego dnia jesteś wdówką pograżoną w smutku, a nazajutrz okazuje się, że jesteś potarganą pannicą uciekającą przed Nożownikiem i Skrzekaczem.

– Doprawdy? A kim są ci panowie? Nie przedstawiono nas sobie.

– Ja myślę. A ty zrobiłaś sobie kompres z mojego pasa na brzuch.

Podniosłam się.

– Na miłość boską, chyba pani za niego zapłaciłam.

Spojrzała na mnie bez cienia uśmiechu. Ani śladu wczorajszej dobroduszości i rudzikowego świergotu, ani jednej skierowanej do mnie „kaczusi”.

– Z tego, co mi panna dałaś, opłaciłam sąsiadów. Tych, którzy widzieli – powiedziała.

To, pomyślałam sobie, z pewnością po części prawda. Zniknęła z progu i poszła przekupić gapiów, by zachowali milczenie.

Jednak chytry błysk w oku zdradził mi też, że po części jest to nieprawda. Z pewnością suma obiecana sąsiadom zamknęła się w kwocie kilkunastu szylingów lub co najwyżej paru funtów.

Aczkolwiek dostrzegłam także coś szczerzego w ponurym wyrazie jej twarzy, kiedy mi oświadczyła:

– Oby panna znalazła tego więcej. Nożownik wypatroszyłby mnie aż miło, gdyby się dowiedział, bez dwóch zdań. Narażam dla was życie.

– Jeśli zapewni nam pani to, co będzie nam potrzebne, znajdzie się tego więcej – obiecałam.

I, koniec końców, następnego dnia Tewky i ja wymknęliśmy się z jej sklepu przez zaplecze, z podreperowanymi siłami i całkowicie odmienionym wyglądem. Pani Culhane’owa zaprosiła nas do swej raczej niechlujnej kuchni na pięterku – zajmowała nad sklepem trzyizbowe mieszkanie – a my z wdzięcznością przyjęliśmy poczęstunek w postaci klajstrowatej owsianki. Tam też spędziliśmy noc; ja na obrzydliwie cuchnącej kanapie, Tewky zaś na wymoszczonych kołdrami podłodze. Obmyliśmy się z grubsza mokrą gąbką. Potraktowaliśmy stopy Tewky’ego „balsamem dójki”, czyli maścią do smarowania wymion, i owinęliśmy je bandażami. Skompletowaliśmy sobie nowy przyodziewek z oferty Składu Używanych Ubrań Pani Culhane’owej, a nasze stare łachy skończyły swój żywot w jej piecu kuchennym.

Nie podejmowaliśmy żadnych innych rozmów, nie próbowaliśmy się nawet przedstawić. Nasza skwaszona gospodyni nie zadawała żadnych pytań, a my nie udzielaliśmy jej żadnych dotyczących nas informacji. Powstrzymywaliśmy się także od rozmów między sobą, w obawie, że stara może nas podsłuchiwać. Nie ufałam tej kobiecie i podejrzewałam, że bez skrupułów pozbawiłaby mnie wszystkich pieniędzy, gdyby tylko odkryła, gdzie je trzymam. Dlatego też nie rozbierałam się w jej obecności i ani na chwilę nie zdjęłam gorsetu, nawet do snu. Znienawidzona do niedawna część garderoby okazała się najcenniejszą rzeczą w moim skromnym dobytku. Oczywiście pod warunkiem, że nie zachodziła potrzeba jego sznurowania. Stelaż uratował mi życie. Krochmalona na sztywno struktura podtrzymywała uzdatniacz biustu, wypychacz ogona sukni i wypełniacze bioder, ukrywające niedostatki figury, skrywały moje zasoby finansowe.

Wierzę i mam nadzieję, że pani Culhane’owa – jeśli było to jej prawdziwe nazwisko – nigdy nie odkryła mojej tajemnicy. Nasze rozmowy dotyczyły tylko i wyłącznie dokonywanych przez nas transakcji: Czy w asortymencie jej sklepu znajdzie się komplet niezbyt znoszonych ubrań dla młodego chłopca? Czy da się dobrać do kompletu odpowiednią czapkę, wygodne buty i parę grubych skarpet? Czy mogę prosić o wyszukanie bluzki, spódnicy szytej z klinów lub wyposażonej w ogon (modele wybierane przez maszynistki z biura lub panny sklepowe ze sklepów rękawicznych), wykonanej z praktycznej tkaniny i zaopatrzonej w liczne kieszenie? A do tego żakiet, również z kieszeniami, z szeroką plisą u dołu, pod którą zmieści się góra rzeczony spódnicy? I rękawiczki, możliwie mało poplamione, tudzież kapelusz, którego fason nie wyszedł zbyt dawno temu z mody? I czy mogłaby mi pani pomóc w doprowadzeniu do porządku moich włosów?

Kiedy następnego ranka opuszczałam jej królestwo, pozbawiona gęstej wdowiej woalki, skrywającej rysy twarzy, poczułam się wystawiona na ludzkie spojrzenia. Pocięczałam się wszakże, iż nawet rodzeni bracia mieliby teraz trudności z rozpoznaniem swojej siostry. Starłam się chodzić przygarbiona, markowałam także krótkowzroczność, spoglądając z wysiłkiem spoza moich nowych binokli typu *pince-nez*, które przysiadły mi u nasady nosa jak egzotyczny metalowy ptak. Nad okularami piętrzyła się spora grzywka ze sztucznych włosów, zdobiąc i ukrywając czoło; do spótki z binoklami utrudniała rozpoznanie mnie z profilu. Na głowie miałam słomkowy kapelusz przystrojony kawałkami koronki i piórami, tanie nakrycie głowy typowe dla młodej osoby na dorobku, zatrudnionej w wielkim mieście.

– Teraz brakuje mi tylko parasolki – powiedziałam pani Culhane’owej.

Wyszukała mi egzemplarz farbowany na okropny, acz bardzo modny, pozyskiwany za sprawą chemii odcień zieleni, a następnie odprowadziła nas do tylnych drzwi i wyciągnęła rękę. A ja, zgodnie z obietnicą, położyłam na jej dłoni kolejny banknot. Kiedy wyszliśmy, zamknęła za nami drzwi, nie odezwaawszy się nawet słowem.

Kiedy tylko znaleźliśmy się na ulicy, zaczęłam powłóczyć nogami i udawać osobę o upośledzonym wzroku, która musi wymacywać przed sobą drogę czubkiem zamkniętej parasolki. Wynikało to po części z konieczności zmiany wizerunku, a po części wiązało się z planem, by Tewky, któremu nadal dokuczały obolałe stopy, nie sprawiał wrażenia kogoś, kto ma trudności z poruszaniem się; przechodnie mieli w nim widzieć chłopca, który spowalnia krok ze względu na niezborność towarzyszącej mu kobiety, czyli mnie. Nasze ubrania nie były ani nowe, ani zbytnio znoszone, nie zdradzały ani ubóstwa, ani bogactwa; liczyłam na to, że pomogą nam się poruszać bez zwracania na siebie uwagi, ponieważ bałam się, że ktoś mógłby donieść o nas Nożownikowi.

Okazało się, że moje obawy były bezpodstawne. Otaczający nas ludzki tłum krzątał się hałaśliwie wokół własnych spraw, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Londyn, niczym ogromny kocioł z cegieł i kamienia, bez przerwy buzował aktywnością swoich mieszkańców. Jegomość z taczka nawoływał:

– Piwo imbirowe! Świeżutkie i zimne piwo imbirowe schłodzi twoje wysuszone gardło!

Minął nas beczkowóz, za którym pojawili się uzbrojeni w miotły chłopcy, by zamieść ulicę. Widzieliśmy dostawcę pedałuującego na najdziwniejszym trójkołowym pojeździe, jaki zdarzyło mi się widzieć, z dwoma kołami z przodu, zamiast z tyłu, i z ogromną skrzynią przytroczoną do kierownicy. Na rogu stała trójka ciemnowłosych dzieci i śpiewała w nieznanym mi języku jakąś anielską melodię, rozłożoną na głosy; stojący pośrodku malec trzymał w rączce fajansowy kubek, wyciągając go po mojego pensa. Za nimi, w górze, balansował na drabinie obdartus z wiaderkiem kleju i pędzlem, oblepiając ścianę budynku afiszami zachwalającymi czernidło do butów, antyreumatyczne opaski elastyczne i patentowane trumny ratunkowe. Mężczyźni w białych kitlach i białych spodniach przybijali na drzwiach jednej z kamienic powiadomienie o kwarantannie. Zaczęłam się niepokoić, czy unoszące się znad cuchnących wód Tamizy wyziewy nie są aby wylęgarnią febry albo innych śmiertelnych chorób, i przestraszyłam się, że mogę umrzeć za młodu na cholera lub szkarlatynę wskutek przebywania na łodzi Nożownika.

Nożownik. Czarujący zbir. W jednej z kieszeni, obok pieniędzy i innych użytecznych przedmiotów, przeniesionych tam z uzdatniacza biustu, znajdowała się lista, którą spisałam podczas kilku bezsennych godzin poprzedniej nocy:

*Dlaczego Nożownik węszył w pociągu?*

*Dlaczego mnie śledził?*

*Dlaczego uważał, że znam miejsce pobytu Tewky’ego?*

*Czego chciał od Tewky’ego?*

*Dlaczego wysłał Skrzekaczowi depeszę, że ma go szukać w dokach?*

*Co miał na myśli, mówiąc „mniej więcej to samo”.*

*Czy trudni się kidnaperstwem?*

*Skąd w ogóle miał wiadomości, dotyczące Tewky’ego i SS Great Eastern?*

No właśnie, skąd? Powiedziałam o tym inspektorowi Lestrade’owi. A naszą rozmowę podsłuchiwała madame jak-jej-tam, perdytorystka astralna.

Czy inspektor Lestrade powiadomił innych? Możliwe, że w końcu tak, ale czy nie musiałby podjąć uprzednio kroków, by potwierdzić moje rewelacje? A jednak depesza dotarła do Skrzekacza niemal chwilę po tej rozmowie.

Hmm.

Takie myśli kołatały mi w głowie, kiedy wraz z utykającym towarzyszem niedoli pokonywałam kolejne przecznice, przechodząc do nieco elegantszych części miasta. Moim oczom ukazała się namiastka parku, czyli rozległy trawnik z czterema drzewami na krzyż, pod którymi spacerowały

kobiety z wózkami, a mężczyzna z osiołkiem krzyczał:

– Przejazdźki! Spraw radość dziatkom, po pensie od malucha.

Obok parku zobaczyłam rząd dorożek. Będę mogła którąś wynająć, żeby moja mała lordowska mość nie musiała nadwerężyć zmordowanych nóg chodzeniem.

Do tej pory, z nadmiaru ostrożności, w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy, ale teraz, kiedy zniknęło krążące nad nami widmo Nożownika, odwróciłam się do mojego towarzysza z uśmiechem.

– No cóż, Tewky – powiedziałam.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Doskonale, lordzie Tewksbury czy Szarobury z Basilwether... – zjeżyłam się. Jednak moja irytacja wyparowała nagle, bo przyszła mi do głowy pewna myśl. – Jak mam się do ciebie zwracać? Jakie imię sobie wymyśliłeś, planując ucieczkę? – spytałam.

– Ja... – Potrząsnął głową i odwrócił twarz. – Mniejsza o to. To już nieistotne.

– Dlaczego? Co masz teraz zamiar zrobić?

– Nie wiem.

– Czy wciąż ci się marzy morska przygoda?

Odwrócił się i wpił we mnie spojrzenie.

– Ty wszystko wiesz. Ale skąd? Kim ty jesteś? Czy naprawdę jesteś krewną Sherlocka Holmesa?

Ugryzłam się w język, ponieważ czułam, że dla własnego bezpieczeństwa nie powinnam nic więcej o sobie mówić. Tewky i tak wiedział już za dużo. Na szczęście w tej samej chwili stojący na rogu ulicy obok postoju dorożek gazeciarz krzyknął na cały głos:

– Czytajcie, czytajcie! Żądanie okupu za wicehrabiego Tewksbury’ego Basilwethera!

– Co? – krzyknęłam. – Ależ to nedorzecznosc!

I ledwie pamiętając o powłóczeniu nogami i mrużeniu oczu, pobiegłam tam i kupiłam gazetę.

### **SENSACYJNY PRZEŁOM W SPRAWIE PORWANIA**

– głosił nagłówek nad powielonym po raz kolejny zdjęciem przedstawiającym Tewky’ego, stylizowanego na małego lorda Fauntleroy.

Przysiedliśmy obok siebie na parkowej ławeczce, żeby móc jednocześnie zapoznać się z treścią artykułu. Tewky wydał z siebie zduszony okrzyk przerażenia.

– Moje zdjęcie?

– Obejrzał je cały świat – poinformowałam go z pewną, przyznam się bez bicia, dozą satysfakcji. A ponieważ zareagował na moje słowa przedłużającym się milczeniem, zerknęłam na niego ukradkiem i stwierdziłam, że twarz mu płonie rumieńcem udręczonej i poniżonej miłości własnej.

– Nie mogę tam wrócić – oświadczył. – I nigdy nie wrócę.

Poczucie triumfu zniknęło. Spytałam:

– A jeśli ktoś rozpozna cię po zdjęciu? Na przykład Culhane’owa?

– Ona? A jakim cudem wpadłaby jej w ręce gazeta? Przecież jest niepiśmienna. Kto w dzielnicach nędzy umie czytać? Widziałas w dokach sprzedawców gazet?

Miał oczywiście rację, ale zamiast mu ją przyznać, skupiłam całą swoją uwagę na treści artykułu:

„Zaskakujący zwrot w sprawie miał miejsce dziś rano, kiedy nadszedł anonimowy list z żądaniem okupu, adresowany do Basilwether Hall pod Belvidere, skąd zniknął przed paroma dniami wicehrabia Tewksbury, markiz Basilwether. Mimo starań inspektora Lestrade’a, który wykazał się niezwykłym talentem śledczym, odnajdując zbiór marynistycznych parafernaliów, ukryty przez młodego lorda w kryjówce w koronie drzewa...”

– O nie – szepnął Tewky, robiąc znów zbolalą minę. Wzdrygnęłam się, ale czytałam dalej, puszczając to mimo uszu.

„...a następnie przeprowadził energicznie dochodzenie w londyńskich dokach, gdzie udało mu

się dotrzeć do naocznych świadków, którzy zeznali, iż widzieli tam zaginionego młodzieńca w dniu jego zniknięcia...”

Nagle zdałam sobie sprawę, że był to dzień po moim własnym zaginięciu. Tyle się od tamtej pory wydarzyło... Aż trudno uwierzyć, że zaledwie trzy dni temu opuściłam Ferndell Hall.

„...wszystko wskazuje na to, że wicehrabia, dziedzic tytułu i fortuny Basilwetherów, padł jednak ofiarą porwania. Wraz z poranną pocztą dostarczono dziś krótką wiadomość w formie naklejonych na papier liter, wyciętych z prasy, z żądaniem zapłaty ogromnej kwoty, której wysokość pozostaje, zgodnie z wolą rodziny, nieujawniona publicznie. W obliczu braku jakichkolwiek dowodów na to, że lord Tewksbury rzeczywiście wpadł w ręce niezidentyfikowanego sprawcy lub sprawców, władze apelują do rodziców o powstrzymanie się z zapłaceniem żądanego okupu. Tymczasem słynne medium i uznana perdytorystka astralna, madame Lelia Sybilla de Papaver, wezwana na miejsce przez Basilwetherów w dniu zniknięcia ich syna, namawia ich usilnie, by przyszykowali jednak okup, który ma zostać przekazany porwawcom w złotych suwerenach i gwineach po wskazaniu w kolejnym liście miejsca i czasu jego uiszczenia; twierdzi, że duchy z zaświatów, które pozostają z nią w kontakcie, potwierdziły fakt, iż wicehrabia Tewksbury dostał się do niewoli, i że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli rodzina chłopca nie zastosuje się w pełni do wymagań kidnaperów”.

Madame Lelia...

Tekstu było więcej, ale w tym miejscu przerwałam lekturę. Zapatrzyłam się w milczeniu na postój dorożek. Na to, co roztaczało się przed nami: na szykowne dwukołowe bryczki oraz przysadziste, acz bardziej pojemne czterokołowe powozy; na konie – i te wymuskane i lśniące, i te wymizerowane, wymachujące ogonami, z pyskami zanurzonymi w workach z owsem, na woźniców – i tych zażywnych, i tych obdartych, nagabujących pieszych w nadziei na zarobek. Ale patrzyłam na to wszystko, nie dostrzegając niczego, ponieważ próbowałam sobie przypomnieć wygląd madame Lelii. Jednak natłok wrażeń ostatnich trzech dni sprawił, że zachowałam w pamięci jedynie strzępy wspomnień: czerwone włosy, szeroka twarz, potężne ciało, wielkie dłonie w żółtych rękawiczkach z koźlecej skóry...

– Muszę wracać. – Cichy głos przerwał moje rozmyślenia.

Chwilę trwało, zanim się odwróciłam, by spojrzeć na Tewky'ego, bladego, przystojnego i tak młodego... Nasze oczy spotkały się.

– Muszę wracać do domu – oświadczył z mocą. – Nie pozwolę tym złoczyńcom ograbić rodziny z majątku.

Kiwnęłam głową.

– A zatem domyślasz się, kto wysłał żądanie okupu?

– Tak.

– I jesteś świadom, podobnie jak ja, tego, że ci ludzie wciąż cię szukają?

– Szukają nas obojga. Tak.

– Powinniśmy więc zgłosić to na policję.

– Pewnie tak.

Uciekł ode mnie spojrzeniem i zaczął się pilnie wpatrywać w nosy swoich nowych butów – nowych w takim znaczeniu, że pozszywano je z kawałków skóry odzyskanych z kilku par starego obuwia.

Czekałam. W końcu znów się odezwał:

– I tak okazały się zupełnie inne, niż to sobie wyobrażałem. Mówię o dokach i stoczniach. Woda jest brudna. Ludzie także. Traktują z pogardą tych, którzy dbają o czystość. Uważają ich za snobów. Nawet żebracy spluwają na ich widok. Ktoś mi ukradł pieniądze, buty, nawet pończochy. Niektórzy z tych ludzi są tak zepsuci, że nie zawahają się okraść nawet pełzaczy.

– Pełzaczy?

– Nazywają ich też śniętymi krabami, bo najczęściej przesypiają całe dnie, leżąc na ulicy. W życiu nie widziałem takiego upodlenia. – Ściszył głos. – Staruszki, którym życie odebrało wszystko, łącznie z siłami, by utrzymać się na nogach. Biedują przed wejściami do przytułków, pogrążone



w półśnie, nie mają się gdzie podziać na noc, nie mają w sobie nawet tyle woli życia, by żebrać. Jeśli ktoś rzuci im pensa na kubek herbaty, pełzną, żeby go podnieść z ziemi.

Ze ściśniętym sercem przypominałam sobie bezwłosą starą kobietę z głową pokrytą strupami, która pełzła przede mną po chodniku.

– A potem pełzną z powrotem na dawne miejsce – ciągnął Tewky coraz cichszym i zdławionym głosem. – I nic, tylko tam siedzą. Trzy razy w miesiącu właściciele przytułków wpuszczają ich do środka na posiłek i nocleg. Tylko trzy razy. Jeśli domagają się więcej, trafiają do aresztu i muszą odpracować trzy dni ciężkich robót.

– Co takiego? Myślałam, że przytułki niosą pomoc takim nieszczęśnikom.

– Ja też tak myślałam. Wszedłem tam, żeby poprosić o jakieś buty, a oni... wyśmiali mnie i udzielili kijem. Przegonili mnie. A potem... ten okropny człowiek...

Na wspomnienie Skrzekacza zaszkliły mu się oczy. Zamilkł.

– Cieszę się, że postanowiłeś wrócić do domu – odezwałam się po chwili. – Twoja mama oszaleje z radości, że się odnalazłeś. Bo teraz tonie we łzach.

Pokiwał głową, nie kwestionując tego, że o tym wiem, bo przecież sprawiałam wrażenie wszechwiedzącej.

– I na pewno zdołasz ją przekonać, żeby nie wciskała cię więcej w ubranka godne małego lorda Fauntleroya.

Wyszeptał cicho:

– Ubrania to nieistotna kwestia. Nie wiedziałem...

Nie dokończył. Ale sędzę, że myślał o śniętych krabach, o biednych, na wpół żywych kobietach pełzających po ulicy. A może o bosych, zmalretowanych stopach, o nadbrzeżu, o Skrzekaczu i o tym, że skopano go jak psa.

Dwa dni spędzone w Londynie odkryły i przede mną wiele spraw, o których dotąd nie miałam pojęcia.

I odkąd wiem o ich istnieniu, moje własne nieszczęścia wydają mi się błahe.

Wstałam i przywołałam dorożkę. Taką otwartą, na dwóch kołach. Chciałam zadać szyku. Tewky podał mi przy wsiadaniu dłoń, niczym prawdziwy dżentelmen. Zająwszy miejsce, powiedziałam dorożkarzowi, dokąd chcemy jechać.

– Do Scotland Yardu.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Poza dotrzymaniem towarzystwa Tewky'emu miałam do załatwienia w Scotland Yardzie własną sprawę.

– Jak tu pięknie! – krzyknął Tewksbury, podziwiając Londyn z dwukołowej dorożki, ciągniętej przez pobrękującego uprzężą konia, którego zad znajdował się tuż przed nami.

Ale ja zatonełam we własnych myślach. Trzeba coś zrobić z Nożownikiem i madame Lelią Sybillą de Papaver, perdytorystką astralną. Nie miałam wprawdzie dowodów, ale im bardziej analizowałam całą sprawę, tym większą miałam pewność, że współpracowali ze sobą w szajce porwaczy. Prawdopodobna opcja: to ona mu o mnie powiedziała. No bo kto inny mógł to zrobić? Stróż z bramy, księżna, pokojówki? Nie przypuszczam. Ze wszystkich osób, które poznałam w Basilwether Hall, jedynie inspektor Lestrade i madame Lelia słyszeli moje wywody na temat domniemanego miejsca pobytu lorda Tewksbury'ego. Jedno z tych dwojga dało cynk Nożownikowi, każąc mu zadeszować do Skrzekacza, który odszukał Tewky'ego i wziął go do niewoli. Z pewnością nie był to Lestrade. Wniosek: musiała to być madame Lelia.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu woźnica siedzi na górze z tyłu, tak daleko od konia. Teraz już wiem. Żeby nic mu nie zasłaniało widoku – odezwał się Tewky.

– Mhm – zamruczałam i snułam dalej mroczne rozmyślenia o madame Lelii. Choć sprawiała wrażenie sprzymierzeńca aniołów, kobieta ta była w istocie w zмовie z diabłami: Nożownikiem i Skrzekaczem. Ci dwaj szykowali plan uprowadzenia ofiar, po czym zgłaszali się do madame Lelii, by skorzystać z jej wątpliwych usług. A kiedy Nożownik i Skrzekacz odbierali okup, madame Lelia otrzymywała sowite wynagrodzenie za swoje uduchowione dywagacje na temat miejsca pobytu zaginionych. Wszyscy mieli się wzbogacić i wszyscy byli zamieszani w ten jakże podły proceder. W przypadku Tewky'ego, który sam postanowił uciec z domu, Nożownik i Skrzekacz skorzystali z nadarzającej się okazji, by go odszukać i uprowadzić.

Choć nie miałam jeszcze pomysłu na to, jak powiadomić władze, nie narażając się na zdemaskowanie, wiedziałam, że muszę coś zrobić, by położyć kres temu łajdactwu.

– Jak miło czuć wiaterek na twarzy w tak upalnym dniu – odezwał się znowu Tewky.

Nieznośny chłopak. Czy musi trajkotać jak sroka? Nie odpowiedziałam i, zaciskając usta, sięgnęłam do jednej z kieszeni, by wyciągnąć ołówek i złożoną kartkę. W pośpiechu i ze złością, trzymając papier na kolanie, naszkicowałam w przesadny nieco sposób portret mężczyzny. Kiedy Tewky zobaczył, co robię, przestał gadać i zaczął się gapić.

– To Nożownik – powiedział.

Nie komentując jego uwagi, dokończyłam podobiznę.

– Nożownik jak żywy, ma nawet włosy w uszach. Zdziwiasz mnie. Gdzie się nauczyłaś tak rysować?

Nie odpowiedziałam mu, tylko odwróciłam złożoną kartkę, by na czystej stronie naszkicować inną osobę. Byłam w stanie silnego pobudzenia umysłu, wzmożonej percepcji i pełna energii, udało mi się więc to zrobić bez namysłu i świadomego sięgania do pokładów pamięci. Ołówek śmigał swobodnie po papierze, jakby kierowała nim jakaś siła z głębin mojej jaźni.

– Kto to? – spytał Tewky.

Ponownie zbyłam go milczeniem. Skończywszy portret wielkiej i postawnej kobiety,

rozłożyłam arkusik, by spojrzeć na obie podobizny jednocześnie. Karykatura mężczyzny obok karykatury kobiety.

I już wiedziałam.

To oczywiście. Żeby stać się kobietą, wystarczy peruka, kilka patentowanych uzdatniaczy, upiększaczy, polepszaczy i regulatorów oraz stosowne przebranie: suknia, kapelusz, rękawiczki. Znałam się przecież na tym jak nikt inny.

Tewky też to dostrzegł.

– To ta sama osoba – wyszeptał.

Wielka czerwona peruka miała ukryć szczecinę w uszach i odwrócić uwagę od twarzy. Wargi i oczy trzeba było nieco podkreślić specjalnymi pomadami. Żadna szanująca się dama nie przyznałaby się do stosowania tego typu specyfików, jednak obilo mi się o uszy, że jest to wśród pań dość częsta praktyka. Nie, żeby sportretowana przeze mnie osoba była kimś szanującym się, a tym bardziej damą.

Tewky spytał, wskazując kolejno palcem na portrety:

– Jeśli to jest Nożownik, to kim jest ta druga postać?

– Madame Lelia Sybilla de Papaver – odparłam, wiedząc, że nic mu to nie powie.

– Niech by sobie był i samym księciem Walii – odezwał się sierżant zza biurka, nie podnosząc nawet na nas oczu – macie siąść i czekać na swoją kolej, jak wszyscy inni. Proszę zająć miejsce. – Nie odrywając wzroku od papierzysk i suszki, machnął mięsistą dłonią w stronę znajdującego się za nim korytarza.

Uśmiechnęłam się do Tewky’ego, który przedstawiwszy się przed chwilą jako wicehrabia Tewksbury Basilwether, wydał mi się równie bliski śmiechu co łez.

– Zaczekam z tobą – szepnęłam.

I w jakiś sposób, korzystając z naszej bytności w Scotland Yardzie, załatwię tu także swoją sprawę. Ponownie, jak podczas pamiętnej ucieczki rowerowej z Kineford, czułam, że najlepszym planem będzie brak jakiegokolwiek planu.

Zajęliśmy miejsca na jednej z wielu ławek ustawionych pod pokrytą ciemną boazerią ścianą korytarza. Były to ławki wyjątkowo toporne i niewygodne, a siedzenie na nich powodowało jeszcze gorszą mękę niż przebywanie w kościelnej ławie. Przycupnięty obok mnie Tewky mruknął:

– Szczęściara z ciebie, że masz te wszystkie swoje poduszeczki.

Co za nieprzyzwoita uwaga.

– Cicho! – rzuciłam.

– Nie uciszaj mnie. Powiedz mi, kim jesteś.

– Nie. – Zaczęłam mówić niemal szeptem, ponieważ wszystkie ławki w korytarzu były zajęte przez liczne chętne do rozmowy z policją osoby. Jednak ludzie ci byli tak zaaferowani własnymi rozmowami i kłopotami, że nikt się nami nawet nie zainteresował.

Tewky był na tyle rozsądny, by również przyciszyć głos:

– Ale ocaliłaś mi życie, zdaje się. Albo przynajmniej mój honor. No i... tyle dla mnie zrobiłaś.

Chcę ci podziękować. Kim jesteś?

Potrząsnęłam głową.

– Dlaczego chcesz wyglądać jak stara panna?

– Nieznośny chłopaku, uważaj na słowa.

– Nieznośna dziewczyno, nigdy nie poznam twojego imienia?

– Ciii! – Nie, miałam nadzieję, że nigdy, ale głośno tego nie powiedziałam. – Cicho!

– powtórzyłam, chwytając go za rękę, ponieważ w głębi korytarza otworzyły się drzwi, w których ukazała się znajoma męska postać.

A nawet dwie znajome męskie postacie.

Przez chwilę poczułam, że mogę zemdleć, i to wcale nie za sprawą gorsetu.

Niebiosa, miejcie mnie w swojej opiece!

Jednym z wychodzących był inspektor Lestrade. Decydując się towarzyszyć Tewky’emu podczas wizyty w Scotland Yardzie, wiedziałam, że mogę tam spotkać Lestrade’a. Miałam jednak

pewność, że nie rozpozna we mnie zawołanej czarnej wdowy, którą spotkał przelotnie w Basilwether Hall.

Nie. Przeraził mnie widok drugiego z panów, czyli Sherlocka Holmesa.

Siłą woli przymusiłam płuca do oddychania, przyjął naturalną pozę i starałam się złączyć z otoczeniem, czyli ciemną boazerią, oparciem ławki i zdobitymi ścianami oprawionymi w ramki sztychami, jak ukrywająca się kuropatwa wtapiająca się w zarośla.

Błagam cię, losie, niech mnie nie zauważą. Jeśli któryś z nich mnie rozpozna, żegnajcie dni wolności.

Powoli zbliżali się w naszą stronę, zatopieni w rozmowie. Górujący nad szczerkowatym Lestrade'em Sherlock musiał pochylać nisko głowę, żeby słyszeć kolegę. Rzuciwszy na nich pierwsze, przerażone spojrzenie, wbiłam wzrok we własne kolana, puściłam Tewky'ego i ukryłam drżące, zaciśnięte w pięści dłonie w fałdach spódnicy.

– ...jestem w kropce, jeśli chodzi o sprawę Basilwethera – dobiegł mnie ostry głos Lestrade'a.

– Może zechciałbyś się z nią zapoznać, Holmes?

– Holmes? – wykrztusił Tewky, prostując się nagle jak struna. – To on? Ten sławny detektyw?

– Siedź cicho! – skarciłam go szeptem.

Z pewnością wyczuł w moim głosie silne poruszenie, ponieważ zamilkł.

Sherlock odpowiedział koledze:

– O wiele bardziej zależy mi na tym, żebyś wysłał więcej funkcjonariuszy na poszukiwania mojej siostry. – W głosie mego brata, mimo że starał się mówić opanowanym tonem, brzmiało skrywane napięcie. Było w jego tonie coś niewypowiedzianego, co sprawiło, że motyl emocji znów zatrzepotał żałośnie w moim sercu.

– Chciałbym bardzo, drogi kolego. – W tonie Lestrade'a zabrzmiało współczucie, podszyte jednak, jak mi się wydało, nutką triumfu. – Skoro jednak nie możesz mi podsunąć więcej poszlak...

– Kamerdyner potwierdza, że nasza matka od dziesięciu lat nie portretowała ani siebie, ani Enoli. Niech ją licha!

– Mamy jej podobiznę, naszkicowaną przez twoją siostrę. – Teraz już byłam pewna: w głosie inspektora Scotland Yardu zabrzmiała nutka wesołości.

Mój brat chwycił go nagle za ramię, zatrzymując go wpół kroku. Obaj stanęli tuż przed Tewkym i mną. Nie wiem, czy dziękować opatrności, czy ślepemu losowi, ale Sherlock ustawił się do mnie plecami.

– Słuchaj, Lestrade. – Brat mówił spokojnie, bez gniewu, ale tak władczym, niemal hipnotyzującym tonem, że moje serce wypełnił podziw, a inspektor Lestrade, chcąc nie chcąc, słuchał go z uwagą. – Wiem, uważasz, że zniknięcie mojej matki i mojej siostry to wielki cios dla mojej dumy, wiem, że pierwsza przepadła bez śladu, a tobie jestem winien wdzięczność za informacje o drugiej, jednakowoż...

– Zapewniam cię – przerwał mu Lestrade i mrugnawszy nerwowo, uciekł spojrzeniem w bok – że ani razu tak nie pomyślałem.

– Bzdura. Nie zarzucam ci wcale, że nie jesteś gorszy od lepszych od ciebie. – Zbywszy to ostatnie frapujące stwierdzenie machnięciem opiętej w czarną rękawiczkę dłoni, Sherlock wpił ponownie wzrok w twarz inspektora. – Ale pragnę, żebyś coś zrozumiał, Lestrade: możesz skreślić lady Eudorię Vernet Holmes ze swojej listy. Wiedziała, na co się decyduje, i jeśli spotkało ją jakieś nieszczęście, może mieć o to pretensje tylko i wyłącznie do siebie.

Poczułam, że serce ściska mi ból. Już nie trzepocąca jak motyl żałość, ale przejmujący ból. W tamtej chwili nie miałam pojęcia o jedynej słabości, która upośledzała w pewien sposób mego genialnego brata. Nie wiedziałam jeszcze, że te okrutne słowa kazała mu wypowiadać dręcząca go melancholia.

– Jednak sprawa Enoli Holmes to zupełnie inna kwestia – ciągnął Sherlock. – Moja siostra jest niewinną ofiarą. Zaniedbywana, niedouczona, pozbawiona ambicji, marzycielka. Czuję się winny, że nie zostałem z nią w majątku, zamiast powierzać ją opiece mojego brata Mycrofta, ponieważ mimo

bystrości umysłu cechuje go zupełny brak cierpliwości. Nie potrafi zrozumieć, że układanie żrebaka nie polega na założeniu mu uzdy, lecz wymaga sporego nakładu czasu. No i pannica nam uciekła, mając więcej animuszu niż inteligencji.

Moje brwi, przysłonięte grzywką i *pince-nez*, ściągnęły się w grymasie niezadowolenia.

– W rozmowie ze mną sprawiała wrażenie całkiem rozgarniętej – stwierdził Lestrade. – A nawet udało jej się wywieść mnie w pole. Dałbym sobie głowę uciąć, że ma co najmniej dwadzieścia pięć lat. Pewna siebie, elokwentna, wnikliwa...

Czoło ponownie mi się wygładziło. Ten Lestrade może nawet budzić sympatię.

Mój brat był jednak odmiennego zdania.

– Umysł być może niepozbawiony wnikliwości i wyobraźni, jednak obarczony wszystkimi słabościami i skłonnością do irracjonalnego zachowania, cechującymi płęć piękną. Dlaczego, dajmy na to, przedstawiła się stróżowi z imienia i nazwiska?

– Może z nadmiaru brawury, żeby mieć pewność, że ją wpuści. Ale później wykazała się sprytem, jadąc do Londynu, gdzie trafienie na jej ślad będzie graniczyć z cudem.

– I gdzie nawet na dwudziestopięcioletnią kobietę czyhają niebezpieczeństwa. A ona ma zaledwie czternaście lat. – A nawiązując do poprzedniej rozmowy, także i na chłopca w znacznie młodszym wieku: syna księcia Basilwether.

W tej samej chwili Tewky odchrząknął, powiedział:

– Ehem – i wstał.

Tak więc nie miałam chwili na zastanowienie. Uznałam, że mam w tym momencie tylko jedno wyjście.

Uciekłam.

I kiedy inspektor w towarzystwie wielkiego detektywa odwrócili się, by spojrzeć na skromnie odzianego chłopaczka, i kiedy zaczęli mrugać z niedowierzaniem, przyglądając się rysom jego twarzy, tak łudzaco do kogoś podobnej, podniosłam się i oddaliłam spokojnym krokiem. Udało mi się przez moment dostrzec twarz brata i gdybym wiedziała, że wyraz zdumienia na obliczu Sherlocka Holmesa to niezwykle rzadki widok, z pewnością rozkoszowałabym się tą chwilą nieco dłużej. Jednak wolałam nie zwlekać, przeszłam kilka kroków, otworzyłam pierwsze z brzegu drzwi i weszłam do pokoju, zamykając je cicho za sobą.

Znalazłam się w gabinecie, w którym stało kilka biurka, jednak tylko za jednym z nich ktoś siedział.

– Przepraszam – zwróciłam się do młodego konstabla. Uniósł głowę znad papierów, którymi był zajęty. – Pan sierżant wzywa pana do siebie.

Uznał zapewne, że jestem nowo zatrudnioną w Scotland Yardzie stenotypistką czy kimś w tym rodzaju, ponieważ kiwnął głową, podniósł się zza biurka i wyszedł.

Ja także wyszłam, tyle że przez okno. Przesunęłam w górę przeszkloną ramę i przełożyłam nogę przez parapet, jakbym wsiadała na rower, a potem spuściłam ją na chodnik, jakbym zsuwała się z siodełka. Oczywiście przechodzili tamtędy ludzie, ale nawet na nich nie spojrzałam, jakby opuszczanie w ten sposób budynków użyteczności publicznej było dla mnie chlebem powszednim. Ściągnęłam z nosa binokle i cisnęłam je na ulicę, gdzie po chwili wgniótł je w ziemię spory koń. Wyprostowałam się i ruszyłam przed siebie dziarskim krokiem, jak przystoi młodej pracującej zawodowo kobiecie. Widząc zatrzymujący się na rogu omnibus, wsiadłam, uiściłam opłatę i zajęłam miejsce na dachu wśród innych londyńczyków, nie oglądając się za siebie. Mój brat i Lestrade zapewne przesłuchiwali jeszcze Tewky'ego, kiedy mój pojazd opuścił przystanek.

Wiedziałam jednak, że lada chwila podejmą trop. Tewky opowie im, że uciekł z łodzi Nożownika w towarzystwie dziewczyny przebranej za wdowę. Dziewczyny o nazwisku Holmes. Prawdopodobnie Tewky zdążył się już odwrócić w moją stronę, żeby mnie przedstawić, ale nie zobaczył nic prócz dwóch szkiców – miałam nadzieję, że Lestrade po rozmowie z Tewkym zda sobie sprawę z ich znaczenia – dwóch karykatur porzuconych na twardym siedzisku obok wściekle zielonej parasolki.

Zrobiło mi się smutno, że porzuciłam Tewky'ego tak nagle, bez pożegnania.

Ale nie było wyjścia. Musiałam odszukać mamę.

Żałowałam też, że nie było mi dane spędzić więcej czasu w towarzystwie mojego brata Sherlocka, choćby tylko w przebraniu, żebym mogła się na niego napatrzeć, posłuchać go i podziwiać. Najzwyczajniej za nim tęskniłam, a w sercu czułam niepokój, jakbym była niemogącą powrócić do gniazda jaskółki.

No i proszę, mój brat, słynny detektyw, nie chce szukać naszej mamy. Niech go wszyscy diabli! Wszystkie moje roztrzepotane uczucia złożyły skrzydełka, a serce ścisnął mi dojmujący żal.

Chociaż może to i dobrze. Sherlock i Mycroft ściągęliby mamę z powrotem do Ferndell Hall, a przecież najwyraźniej miała go dość. Natomiast ja, jeśli w ogóle ją odnajdę, nie będę żądać od niej czegoś, co ją unieszczęśliwi. Nie szukam jej po to, żeby jej teraz odbierać wolność.

Chcę tylko mieć mamę.

To wszystko.

Być z nią w kontakcie. Może od czasu do czasu umówić się na pogawędkę przy herbacie.

Znać miejsce jej pobytu.

Chociaż wciąż podświadomie bałam się – co było silniejsze ode mnie – że spotkało ją coś złego, czułam, iż najprawdopodobniej uciekła gdzieś, gdzie nie nosi się gorsetów, tiurniur, a nawet wolno chodzić bez kapelusza i na bosaka. W jakieś miejsce pełne kwiatów i zieleni. Pomyślałam od razu, że sama, idąc w jej ślady i podejmując ucieczkę, obrałam sobie za cel to odrażające miasto, w którym nie dane mi było zobaczyć ani jednego pałacu, złoconego powozu czy damy w gronostajach i brylantach. Miasto, które zamiast tego uraczyło mnie widokiem starej kobiety z grzybicą na głowie, pełzającej po chodniku.

Ale mama na pewno nie stoczyła się tak nisko.

A może jednak?

Muszę mieć pewność, że nie. I mam tylko kilka godzin na podjęcie działań, zanim brat postawi na nogi całą londyńską policję, żeby mnie wytropić.

Wyskoczyłam na pierwszym przystanku, minęłam kwartał domów i przywołałam dorożkę. Tym razem był to czterokołowy pojazd z zamkniętą budą. Wołałam nie pokazywać twarzy.

– Fleet Street – rzuciłam woźnicy.

Podczas gdy dorożkarz lawirował między innymi pojazdami, ponownie wyciągnęłam papier i ołówek, i zapisałam tekst wiadomości:

DZIĘKUJĘ MOJE CHRYZANTEMY KWITNĄ? PRZYŚLIJ PROSZĘ IRYS.

Zapamiętałam z *Mowy kwiatów*, że irys oznaczał wiadomość. Irysy w bukecie były dla obdarowanego znakiem, nakazującym mu zwrócić uwagę na symbolikę pozostałych kwiatów. Grecka bogini Irys schodziła po tęczę z Olimpu, by przynieść wieści ze świata ludzi do świata bogów.

Jednak nie wszystkie hasła z *Mowy kwiatów* utkwily mi w pamięci. Kiedy tylko wyszukam sobie jakieś mieszkanie, muszę się postarać o inny egzemplarz tej książki.

Gorzko żałowałam, że odebrano mi tę drugą, niepowtarzalną książeczkę, którą podarowała mi mama. Bezcenną pamiątkę, księgę szyfrów. Nigdy się nie dowiem, co z nią zrobił Nożownik.

(Tak mi się wtedy wydawało).

Ale, pocieszałam się, i tak nie miałabym z niej żadnego praktycznego pożytku.

(To też okazało się złudzeniem).

Zapisałam ułożoną przez siebie wiadomość od końca:

SYRIEZSORPJILŚYZRP?ANTIWKYMETNAZYRHCEJOMEJUKĘIZD

Następnie rozbiłam tekst na dwie linijki, przestawiając litery zygzakiem:

S R Ę S R J L Y R ? N I K M T A Y H E O Ę U Ę Z

Y I Z O P I Ś Z P A T W Y E N Z R C J M J K I D

A potem, poddając się kołysaniu turkoczącej po bruku dorożki, odwróciłam kolejność wierszy, tworząc ostateczną wiadomość, którą zamierzałam zamieścić w dziale ogłoszeń „London Times”, ponieważ mama nie opuszczała prawie żadnego wydania dziennika, a także w „Magazynie

Nowoczesnej Kobiety”, „Żurnalu Mody Reformowanej” i innych lubianych przez nią periodykach. Moja zaszyfrowana wiadomość wyglądała tak:

Góra bluszcz Y I Z O P I Ś Z P Ą T W Y E N Z R C J M J K I D dół bluszcz S R Ę S R J L Y R  
? N I K M T A Y H E O Ę U Ę Z twój Bluszcz.

Wiedziałam, że mama, która uwielbiała szyfry, od razu się tym tekstem zainteresuje.

Wiedziałam też, niestety, że mój brat Sherlock, który miał zwyczaj czytać – jak to nazywał – „rubryki dla desperatów” w „London Times”, również go zauważy.

A jednak, ponieważ nie miał pojęcia o tym, że bluszcz może się piąć odwrotnie po sztachetach, nie będzie w stanie go odczytać.

A jeśli nawet mu się to uda, wątpię, czy zrozumie sens wiadomości, ani czy skojarzy ją ze mną.

Jakiś czas temu – mogłoby się wydawać, że działo się to wieki temu i w innym świecie, choć w rzeczywistości minęło zaledwie półtora miesiąca – jadąc na rowerze polną drogą i myśląc o bracie, ułożyłam sobie w głowie listę własnych talentów, porównując je na swoją niekorzyść z umiejętnościami brata.

Teraz, jadąc londyńską dorożką, zaczęłam zestawiać w myślach całkiem inną listę swoich talentów i umiejętności. Znałam się na sprawach, o których Sherlock nie miał zielonego pojęcia. Umknęło jego uwadze znaczenie maminej tiurniury (bagażu) i wysokiego kapelusza (w którym, jak mniemam, upchnęła pokaźną ilość gotówki), ja natomiast orientowałam się w budowie i przeznaczeniu kobiecych „niewymownych” i ozdób. Okazało się, że mam dar wymyślenia sobie przebrań. Znałam tajemną mowę kwiatów.

Co więcej, Sherlock Holmes gardził „płcią piękną”, przypisując jej nierozważność i lekceważąc jej zalety, ja tymczasem znałam się na sprawach, które wymykały się jego „logicznemu” rozumowaniu. Miałam w małym palcu wiedzę o sposobach porozumiewania się kobiet, znałam ukryte związki między rondami kapelusza a buntem, chusteczkami do nosa a podstępem, wachlarzami z piór a utajonym zagrożeniem, wiedziałam, co mogą oznaczać woskowe pieczęci, sposób naklejenia znaczków na koperty i bileciki wizytowe. W całą tę misterną sieć kobiecych spisków mogłam teraz wpleść swoje losy. Spodziewam się, że bez większego trudu mogłabym ukryć w gorsiecie broń, środki obrony i inne potrzebne rzeczy. Mogłabym jeździć w najdziwniejsze miejsca i święcić takie triumfy, jakich Sherlock Holmes nie byłby w stanie pojąć ani nawet przeczuć, nie mówiąc już o osiągnięciu podobnych sukcesów.

I planowałam wcielić swoje marzenia w czyn.

## LONDYN, LISTOPAD 1888 ROKU

Bezimienna nieznajoma w czerni opuszcza późnym wieczorem swoje mieszkanie, by krążyć po ulicach East Endu. Ma na sobie całkiem niemodną, niedopasowaną w talii szatę. U pasa dynda różaniec, którego hebanowe paciorki postukują w rytm jej kroków. Czarny habit okrywa szczelnie jej chudą postać od szyi po stopy, twarz ocienia welon. Niesie przed sobą jedzenie, koce i ubrania dla ubogich starych kobiet, gromadzących się na schodach przytułków, pełzających „śpiochów” i innych nieszczęśników w potrzebie. Ludzie z ulicy przyjmują dary z wdzięcznością i nazywają ją Siostrą. Nikt nie zna jej pod innym imieniem, ponieważ zakonnica nigdy się nie odzywa. Najwidoczniej złożyła śluby milczenia. A może nie chce przemówić czystą angielszczyzną w obawie, że akcent zdradzi jej przynależność do wyższych sfer. Milcząca postać pojawia się i znika; zrazu budziła ciekawość, jednak po kilku dniach jej obecność jest prawie niezauważana.

W znacznie zamożniejszej i nieco dekadencjonalnej części miasta ktoś zakłada nowe biuro w neogotyckiej kamienicy, w której do niedawna urzędowała seanse spirytystyczne madame Lelia Sybilla de Papaver, perdytorystka astralna, zanim jej – a raczej jego – aresztowanie stało się skandalem sezonu. Wkrótce po osadzeniu poprzedniego najemcy w więzieniu za szybą wykuszowego okna pojawił się afisz: *Niebawem zacnie tu udzielać konsultacji dr Leslie T. Ragostin, naukowiec i perdytorysta*. Uczony, czyli rzecz jasna mężczyzna, ceniony w kręgach nauki, zajęty dzień i noc pracą na uniwersytecie i w czytelni Muzeum Brytyjskiego. Pewnie z tego właśnie powodu żaden z mieszkańców tej eleganckiej okolicy nie miał jeszcze okazji spotkać wielkiego dr. Ragostina osobiście. Natomiast każdego ranka pojawia się tu jego sekretarka, pilnując urządzania biura i prowadząc jego sprawy. To młodziutka kobieta, niewyróżniająca się niczym szczególnym poza pracowitością, jak tysiące jej podobnych młodych maszynistek i księgowych, które zaczęły się w stolicy, by móc posyłać drobne sumki rodzinom. Dziewczyna nazywa się Ivy Meshle.

Każdego dnia, jak przystoi cnotliwej i skromnej kobiecie mieszkającej samotnie w wielkim mieście, Ivy Meshle stołuje się w położonej najbliżej biura Herbaciarni Dla Pań Pracujących. Tam, nienarażona na kontakt z drapieżnymi samcami swego gatunku, zasiada samotnie przy stoliku, by przejrzeć „London Times” i kilka innych periodyków. W jednej z tych publikacji znalazła już wcześniej ogłoszenie, które zafrapowało ją do tego stopnia, że wycięła je z gazety i nosi przy sobie. Brzmi ono:

Irys góra dół do Bluszczu  
RZWTMSOCNEYKCRZNEALIÓANC  
OKIAWŁŃUITLOHYATMAERŻPAA

Czasem, w samotności swego wynajętego za bezcen pokoiku, panna Meshle (a może milcząca, bezimienna Siostra) wyciąga ów mały skrawek papieru z kieszeni i przygląda mu się badawczo, chociaż już dawno odczytała zaszyfrowany tekst:

ROZKWITAM W SŁOŃCU NIE TYLKO CHRYZANTEMA ALE I RÓŻA PNĄCA

Ogłoszenie nadesłała, jak można się domyślać, zadowolona z życia kobieta, wędrująca swobodnie po świecie, w którym nie ma szpilek do włosów, gorsetów czy upiększaczy sukien. Przysłała do włączających się po wrzosowiskach Cyganów.

*Skoro miała do pokonania spory szmat drogi, dlaczego nie pojechała na rowerze?*

*Dlaczego nie wyszła przez bramę majątku?*

*Skoro postanowiła przemieszczać się na piechotę, to dokąd zmierza?*

Jest jedna hipoteza, która odpowiada na wszystkie trzy pytania: uciekinierka nie miała do pokonania większej odległości, wystarczyło, że przeszła przez pola, by napotkać – być może umówiony wcześniej – tabor angielskich nomadów.

Wedle *Mowy kwiatów* róża pnąca symbolizuje wolność i swobodę cygańskiego życia.

Cygańskiej nacji chętnie przypisuje się wrodzoną skłonność do kradzieży; przejawiała ją także Eudoria Vernet Holmes. Dowiodła tego, prowadząc podwójną grę z Mycroftem Holmesem. Prawdopodobnie czuje się teraz jak w siódmym niebie.



Jedno pytanie pozostaje bez odpowiedzi:

*Dlaczego mama jej ze sobą nie zabrała?*

Ale myśl ta nie burzy już spokoju tak jak dawniej. Stęskniona za swobodą kobieta ma swoje lata i prawdopodobnie zostało jej już niewiele życia na realizację swego marzenia. Zadbała jednak, jak potrafiła najlepiej, o interesy swej późno urodzonej córki. Któregoś dnia – planuje prowadząca samotniczy tryb życia dziewczyna – może na wiosnę, kiedy będzie już na tyle ciepło, aby móc wybrać się w podróż, uda się na wyprawę po cygańskich obozach w poszukiwaniu matki. Tymczasem patrzy na wycinek z gazety i jej pociągła twarz o ostrych rysach łagodnieje i rozświetlona uśmiechem, staje się niemal piękna. Wie bowiem, że w tajemnym języku kwiatów każda róża oznacza miłość.

KONIEC

## **ROZSZYFROWANA WIADOMOŚĆ**

„Góra dół” oznacza układ tekstu.

Żeby go odczytać, trzeba go podzielić na pół:

RZWTMSOCNEYKCRZNEALIÓANC

OKIAWŁŃUITLOHYATMAERŻPĄA

Pierwsza linijka tekstu to „góra bluszczu”, dolna – „dół bluszczu”. Skacząc między wierszami, uzyskujemy:

ROZKWITAMWSŁOŃCUNIETYLKOCHRYZANTEMAALEIRÓŻAPNĄCA

Potem wystarczy podzielić ciąg liter na słowa:

ROZKWITAM W SŁOŃCU NIE TYLKO

CHRYZANTEMA ALE I RÓŻA PNĄCA